

Christine Rimmer

**ŚLUBNY
MEDALION**

Rozdział 1

Księżniczka Brit Thorson uniosła wolno powieki i zobaczyła rozmazany srebrzysty krążek. Za nim majaczyła tablica rozdzielcza cessny.

Zamrugła. Metalowy krążek, zimny i ciężki, nadal dotykał jej nosa, ograniczając znacznie pole widzenia. W jej głowie włączył się sygnał alarmowy. Za popękaną szybą rozciągał się kamienisty grunt. Nieco dalej czarne skały, upstrzone tu i ówdzie plamami zieleni, opadały stromo w dół, by się połączyć z jasnoblękitnym niebem.

Było zimno i cicho - zbyt cicho, jeśli nie liczyć szumu wichru i dobiegających z zewnątrz dziwnych trzasków.

Bardzo bolała ją głowa. Świat rozplywał się przed oczyma, aż wreszcie otępiałe zmysły zaczęły działać jak należy.

Zrozumiała, że zwisa głową w dół, przypięta pasami do fotela pilota. A zamazany krążek? To srebrny medalion, który dostała od Medwyna Greyfella, tuż przed wyjazdem na lotnisko. „Aby cię strzegł od wszelkiego zła” - powiedział doradca jej ojca.

Biorąc pod uwagę obecne położenie, medalion mógł spisać się nieco lepiej.

Chociaż... nawet jeśli nie udało jej się dotrzeć na łąkę, która miała być jej bezpiecznym lądowiskiem, wyszła przecież z wypadku z życiem.

Zamknęła z jękiem oczy i zaczęła odtwarzać w pamięci bieg wydarzeń. Bezproblemowy start z lotniska Lysgard. Szybkie podejście na wysokość 2000 metrów. Gdy osiągnęła wymagany pułap, skręciła w prawo, na północny zachód, posuwając się wzdłuż falistej linii wybrzeża. Nad ujściem fiordu Drakveden skręciła pod kątem prostym w prawo.

I wtedy...

Rutynowy odczyt poziomu oleju: zero!

Straszliwe, otępiające poczucie niereczywistości, gdy schodziła, wykonując kolejne punkty instrukcji na wypadek zagrożenia. Przewodnikowi, siedzącemu na tylnym fotelu, kazała zapiąć pasy, nadała przez radio sygnał SOS, a jednocześnie przez cały czas spoglądała w dół, szukając miejsca, na którym można by bezpiecznie wylądować. W końcu, w ostatniej sekundzie, wypatrzyła wąski pas suchej ziemi.

Lądowanie było brutalne, ale się udało. Dopiero w trakcie hamowania straciła panowanie nad maszyną. Pewnie najechała kołem na większy kamień... Wciąż pamiętała to ostre szarpnięcie i widok prawego skrzydła unoszącego się raptownie w górę.

A potem wszystko spowitła głęboka czernść... Odpięła pasy i z głośnym stęknięciem wylądowała na podłodze - a raczej na suficie kabiny - po czym z trudem podźwignęła się do pozycji siedzącej. Popatrzyła na martwą tablicę rozdzielczą i spróbowała zebrać myśli.

Cessna to piękna, precyzyjna maszyna. Dlatego to absolutnie niemożliwe, by poziom oleju sam z siebie spadł do zera. Chyba że ktoś mu w tym dopomógł.

Jeżeli coś się zepsuło, nie było to z pewnością dziełem przypadku. Ktoś próbował ją zabić.

Trzeba przyznać, że prawie mu się udało.

Dotknęła ostrożnie guza, wzbierającego tuż pod linią włosów. Bolało jak wszyscy diabli. Jednak poza tym nic poważnego jej nie dolegało, a uczucie dezorientacji zaczęło ustępować. Była jedynie obolała i posiniaczona w najbardziej nietypowych miejscach. Ale to przejdzie. Teraz trzeba się wygramolić z rozbitej maszyny, a potem, razem z Rutlandem, ruszą w dalszą drogę do...

Rutland... Przypomniała go sobie, jak tuż przed startem, błądzący jak kreta, powiedział: „Nie lubię latać, Wasza Wysokość. Jeżeli można, usiądę z tyłu”.

Po tym przykrym doświadczeniu pewnie już nigdy nie wsiądzie do samolotu.

W kabinie robiło się coraz zimniej, a wiatr na dworze zawodził i poświstywał. Brit zadrżała.

- Rutland? - Jej głos zabrzmiał słabo i niepewnie. Odwróciła się i spojrzała do tyłu. - Nic ci się nie sta... - ostatnie słowo przerodziło się w krzyk.

Mężczyzna tkwił zakleszczony pomiędzy tylnymi fotelami. Głowę, zgiętą pod nienaturalnym kątem, wtulił w ramiona. Z bladej jak papier twarzy spoglądały na Brit szkliste, martwe oczy.

Więc jednak się nie myliła, gdy pomyślała, że Rutland Gottshield już nigdy więcej nie poleci samolotem... Chyba że w trumnie, na swój własny pogrzeb...

Zakryła dłonią usta i wciągnęła przez nos powietrze. Potem zrobiła wydech. I jeszcze raz powtórzyła to samo.

Miała ochotę krzyczeć. Bez reszty pogrzyźć się w bólu, poddać panice. Czuła, że jeszcze moment, a do reszty się załamie.

Zakłęła cicho.

- Nie wolno ci się poddawać - nakazała sobie przez zęby. - Musisz się trzymać.

Udając, że nie widzi martwych oczu Rutlanda, uważnie rozejrzała się po wnętrzu kabiny. Drzwi z lewej i z prawej strony były zablokowane. Szarpnęła za klamki, a potem spróbowała wypchnąć drzwi - bez skutku.

No cóż, trudno. Tą drogą nie uda jej się wyjść. Oczywiście wydostanie się jakoś na zewnątrz. Zabierze też swój bagaż, kurtkę oraz broń, spoczywającą bezpiecznie w siatce za tylnym fotelem. Wzięła głęboki oddech i zaczęła się przepychać pomiędzy przednimi siedzeniami. Gdy próbowała przecisnąć się obok Rutlanda, jego bezwładne martwe ciało przygniotło Brit.

Znów zaczerpnęła tchu. I jeszcze raz...

Potem z wysiłkiem odepchnęła zwłoki pod okno, zza tylnego siedzenia wyciągnęła siatkę ze swoimi rzeczami, po czym przeczołgała się z powrotem do przedniej części kabiny.

- Broń... - mruknęła. To przecież dziki kraj. Nie mówiąc już o tym, że nie spadła z nieba przypadkiem. Powinna o tym pamiętać.

Na szczęście umiała strzelać. Nauczył ją tego przed laty wuj Cam, właściciel rozległych winnic w Napa Valley. Ćwiczyła później tę umiejętność na terenie pewnej strzelnicy w San Fernando Valley. Kiedy się mieszka i pracuje w jednej z bardziej niebezpiecznych dzielnic Los Angeles, warto wiedzieć, jak można się obronić. Zarówno w domu, jak i w pracy. Zatrudniła się wtedy w pizzerii, we wschodniej części Hollywood, gdzie dorabiała jako kelnerka.

Bolesna prawda była taka, że Brit, choć umiała posługiwać się bronią i prowadzić samolot, nie zdołała ukończyć studiów i mimo że rodzina wyznaczyła jej pensję, nieustannie brakowało jej pieniędzy. Wszystko przez to, że miała za dużo zajęć. Lekcje pilotażu. Kursy samoobrony i wspinaczki. Treningi na strzelnicy. A jeśli przy okazji ktoś z przyjaciół znalazł się w potrzebie i prosił o pożyczkę, nigdy nie potrafiła odmówić.

Stąd w jej życiu pojawiła się pizzeria. Paolo, Roberto i reszta uważali, że to bardzo zabawne, kiedy mówiła im, że mają trzymać ręce przy sobie, jeśli nie chcą stanąć oko w oko z jej sigiem .22. „Dzielna kobitka” mówili o niej, śmiejąc się życzliwie.

Niestety, teraz nie było już się z czego śmiać. Brit umocowała kaburę, naładowała broń i wsunęła ją pod lewe ramię, a na wierzch włożyła ciepłą kurtkę. Choć to dopiero wrzesień, w Vildelundzie, dzikim, północnym rejonie ojczyzny jej przodków, panowały dotkliwe chłody.

Na koniec narzuciła na ramię plecak i była gotowa do drogi.

Jednak nie ruszyła się z miejsca. W kabinie panowało przenikliwe zimno, ale na dworze musiało być jeszcze gorzej. Może mimo wszystko lepiej zostać tutaj, w towarzystwie zmarłego Rutlanda, pośród dziwnych odgłosów? Przynajmniej wiadomo, czego można się spodziewać.

Sięgnęła do kieszeni i odetchnęła z ulgą, gdy palce jej natrafiły na pełną torebkę drażetek orzechowych M&M. Lubiła je podjadać, zwłaszcza gdy pisała na laptopie jedną ze swoich niedokończonych powieści, niezmiennie zaczynających się od wielkiego wybuchu. Pocieszała się

drażetkami także w chwilach zdenerwowania lub raczej z zadowolenia...

Zresztą, okazja nie była ważna. Lubiła je, i tyle. Niektórzy palą, a Brit pogryzała orzechowe drażetki. Wkładała je do ust po jednej, a potem wolno ssała, póki nie rozpuściła się warstwa czekolady, i dopiero wtedy wbijała zęby w orzeszek. Było to bardzo miłe, relaksujące zajęcie.

W tej jakże trudnej sytuacji przydałoby się trochę spokoju. Musi się też skupić. Wyjęła z kieszeni torebkę, rozerwała opakowanie i wzięła jedną drażetkę. Żółtą. Lubiła żółte. Co tu kryć - lubiła właściwie wszystkie kolory. Nawet zielone.

Zwinęła rozdarte opakowanie i wsunęła z powrotem do kieszeni, a cukierek wsadziła do ust. Mmm, pycha!

Wstyd przyznać, ale zaczynała żałować, że nie jest u siebie, w Hollywood, w swoim ślicznym, przytulnym mieszkanku. Mogłaby właśnie wiązać sznurowadła przed wyjściem z domu, jak zwykle spóźniona na popołudniową zmianę, szykować się na wysłuchanie paru słów reprymendy od szefa i...

- Nie! - Wyprostowała się gwałtownie i wbiła zęby w orzeszek, zanim jeszcze rozpuściła się czekoladowa otoczka. Nawet o tym nie myśl! - nakazała sobie w duchu. Sama tego chciałaś. Dlatego, że musiałaś to zrobić, zginął człowiek. Nie próbuj się teraz wycofać.

Dosyć dekowania się w roztrzaskanej kabinie samolotu. Pora zrobić następny krok. Czas ruszyć w drogę.

Przezołgała się pomiędzy fotelami, napała na zablokowane drzwi i wypchnęła z ramy strzaskaną szybę z pleksiglasu. Potem wyrzuciła na zewnątrz plecak, a na koniec sama przecisnęła się przez ciasny otwór.

Kiedy wydostała się z wraku, znów przeżyła coś w rodzaju szoku. Jednak lepsze to niż wylewanie łez i krzyczenie ze strachu.

Przede wszystkim przeżyła, a to już coś.

Gdyby tylko Rutland mógł pełznąć teraz obok niej...

Drżąc z zimna, przycupnęła na twardym skalistym gruncie i zajrzała w głąb postrzępionej dziury, z której dopiero co wylazła.

Powinna chyba wrócić do środka i spróbować wyciągnąć zwłoki Rutlanda, by zapewnić mu godny, choć płytki pochówek w skalistej ziemi.

Znów się wzdrygnęła i potrząsnęła głową. Wykopanie grobu kosztowałoby sporo czasu i sił, a ona musiała teraz za wszelką cenę oszczędzać i jedno, i drugie. Poza tym Rutlandowi i tak jest już wszystko jedno.

Podpierając się na kolanach i łokciach, spróbowała się podnieść. Łups! Zakręciło jej się w głowie, a żołądek podjechał do gardła. Przez kilka sekund wciągała do płuc zimne powietrze, a potem wypuściła je, ze wzrokiem wbitym w ziemię. Słyszała ostry krzyk krążącego nad głową jastrzębia, szum fal rozbijających się o przybrzeżne skały, szept wiatru i skrzypienie wraku, który był niegdyś jej samolotem. Czuła chłodny dotyk mgły i balsamiczny zapach sosen. Nagle dotarło do niej, że musiała skaleczyć się w rękę, bo zobaczyła strużki zakrzepłej krwi.

Poruszyła palcami. W porządku. Nic jej nie jest. Podniosła się i otrzepała błoto z kurtki i dżinsów.

Da sobie radę.

Prócz kilku zadraśnień oraz nabrzmiewającego guza na skroni, wyszła z katastrofy praktycznie bez szwanku. Jej niezawodny timex był wyposażony w kompas, miała też ze sobą mapę z zaznaczoną strzałkami trasą. Dostała ją, wraz ze szczegółową instrukcją, od Medwyna, który urodził się w Vildelundzie. Zapasy żywności powinny wystarczyć jej na kilka dni, potrafiła rozniecić ogień, a pod ciepłą kurtką miała gruby wełniany sweter oraz dobrej jakości termiczną bieliznę. Miała też solidne buty oraz skarpetki z najlepszej wełny. I oczywiście broń, którą z

łatwością się posłuży, gdy znajdzie taka konieczność.

Wprawdzie nie skończyła studiów i miewała trudności ze znalezieniem pracy, ale w sytuacjach ekstremalnych potrafiła sobie doskonale poradzić.

Wędrowała przecież przez góry Sierra, zaliczyła Appalachy oraz parę szlaków nizinnych. Dlatego też nie wątpiła, że uda jej się trafić do wioski mistyków, gdzie miał jakoby mieszkać Eric Greyfell, syn Medwyna oraz jedyny człowiek, który mógłby jej powiedzieć prawdę o śmierci jej brata Valbranda. Taką miała przynajmniej nadzieję.

Dotrze do Greyfella i przeprowadzi z nim rozmowę, na którą tak niecierpliwie czekała. A później wróci na łono cywilizacji i odnajdzie tego, kto uszkodził samolot i tym samym zamordował biednego Rutlanda. Dopilnuje, by winni zostali ukarani, i wyśle ludzi po zwłoki przewodnika.

Patrząc na dziki, posępny krajobraz, pomyślała, że można na to wszystko spojrzeć i z innej strony. Katastrofa samolotu i śmierć Rutlanda były najgorszym, co mogło się wydarzyć. I stało się.

Czyli najgorsze już minęło, a ona szczęśliwie nadal jest wśród żywych.

Ledwie zdążyła to pomyśleć, coś przeleciało jej tuż nad uchem. Tak blisko, że niemal musnęło włosy.

Wniosek nasuwał się sam: Otóż najgorsze bynajmniej nie minęło.

Brit przyklękła na jedno kolano i sięgnęła po broń, ale nie zdążyła jej wyciągnąć do końca z kabury, gdy usłyszała świst i poczuła silne uderzenie w lewe ramię.

Strzała! Zdumionym wzrokiem powiodła wzdłuż brzeszczotu aż po ostrze zanurzone w kilku warstwach materiału. Na przedzie kurtki wykwitła nagle czerwona plama. Ciepła, wilgotna krew rozlała się pod swetrem.

Dobre choć to, że prócz uderzenia nie czuła bólu.

Można również zaliczyć na plus to, że jeszcze nie umarła i myślała zupełnie trzeźwo.

Przeczesała wzrokiem teren, szukając napastnika. Jest! Zza czarnego głazu, jakieś piętnaście metrów dalej, wyłonił się młody chłopak, co najwyżej osiemnastoletni. Miał długie złote włosy, ubrany był w skóry, a w rękę trzymał kuszę, wycelowaną w jej kierunku. Ona jednak zdążyła już wyjąć pistolet. Niezdarnie odbezpieczyła broń, gdyż lewa ręka zdawała się nie funkcjonować zbyt dobrze, i wtedy lewa dłoń do reszty odmówiła posłuszeństwa. Dziwna sprawa, ale poradzi sobie. Potrafi przecież strzelać ze swojego siga .22 także jedną ręką. Wycelowana, świat zastygł na moment w miejscu, by zaraz potem zawirować.

Prawa ręka! Z nią także stało się coś dziwnego. Nagle zaczęła Brit tak ciężać, że nie mogła jej już utrzymać przed sobą. Potem ramię opadło bezwładnie, a pistolet wyślizgnął się z pozbawionej czucia dłoni i wylądował u jej stóp.

No tak! Już po niej!

Jednak, nim strzała pofrunęła w jej kierunku, a jej zdrętwiałe, ociążałe ciało zdążyło osunąć się na ziemię, usłyszała wystrzał. Jej zbyt młody, niedoszły morderca runął z jękiem do tyłu. Strzała, wycelowana w jej serce, zboczyła z kursu.

Brit leżała na plecach, kompletnie oszołomiona. Pewnie od ostrza, przebijającego jej ramię. Nie straciła jeszcze przytomności, to znaczy nie do końca, tylko zawisła w dziwnej, mglistej przestrzeni pomiędzy jawą a nicością.

Leżała na kamieniach, a wiatr świstał jej nad głową. Teraz widziała już jastrzębia, którego krzyk słyszała przed chwilą. Krążył nad nią, hen, w górze, a jego czarne skrzydła wyraźnie rysowały się na tle zimnego błękitu nieba.

I nagle usłyszała kroki. Ktoś szedł ku niej po skalistym gruncie. Potem nachylił się nad nią jakiś mężczyzna. Z pociągłej, uderzająco przystojnej twarzy spoglądały na nią głęboko osadzone, hipnotyzujące zielonkawe oczy. Znała tę twarz ze zdjęć, które pokazywał jej stary, poczciwy

Medwyn.

To Eric Greyfell, jedyny syn Medwyna. Człowiek, dla którego tu przyjechała.

Zaraz potem u boku Greyfella pojawił się ktoś jeszcze. Od stóp do głów w czerni. Z twarzą ukrytą pod czarną skórzaną maską.

Pomyślała, że to omamy poprzedzające moment śmierci, i odruchowo zamknęła oczy.

Zapadła cisza.

Ogarnął ją błogi spokój.

A potem wchłonęła ją nicość.

Z początku była aksamitna czerń i absolutna cisza. Potem przyszło uczucie gorąca. Trawiona gorączką, spływała potem.

Miewała też sny, w których odwiedzali ją goście. Najpierw Elli. Elli to jej środkowa siostra. Bo było ich trzy; trojaczki, urodzone w ciągu kilku godzin. Najpierw Liv, po niej Elli, a potem Brit.

- Och, Brit... - Elli, odziana w ślubną suknię wikingów, spoglądała na nią ciepło i pobłaźliwie. W rękę trzymała weselny miecz, ostrzem w dół. Wysadzana klejnotami rękojeść rzuciła tęcze refleksy. Liv unosiła się nad ziemią, spowita złotą jak jej włosy poświatą. - W coś ty się znowu wpakowała, dziewczyno?

- Elli, wyglądasz rewelacyjnie!

- Przykro mi, ale nie można tego powiedzieć o tobie.

- To dlatego, że... strasznie mi gorąco. Cała płonę... Elli cmoknęła i pokręciła głową.

- Nie uważasz, że powinnaś przynajmniej skończyć studia? Albo jedną z tych zaczętych powieści, zanim wyjechałaś i dałaś się zabić?

- To nieprawda, przecież jeszcze żyję.

- Czy cię nie ostrzegałam? - Teraz Liv, kobieta sukcesu, w szykownym kremowym kostiumie i naszyjniku z pereł po ich babce, nachylała się nad Brit, spoglądając z wyrzutem błękitnymi oczami. Gładkie jasne włosy opadały jej na policzki. - Jego królewska mość, nasz kochany tatuś, kazał założyć podsłuch w całym pałacu. Nie mówiąc już o tym, że wszędzie ma swoich szpiegów. Jak możesz nazywać go tatą? Nie chciał nas przecież. Córki nie były mu potrzebne. Przypomniał sobie o nas dopiero wtedy, gdy stracił obu synów.

- Jest, jaki jest...

- Powinnaś trzymać się danej mamie obietnicy. Byłabyś wtedy ze mną, a nie tutaj, spocona i na wpół przytomna. Umierająca...

- Boże, jak mi gorąco... - Brit zamknęła oczy.

Kiedy je znowu otworzyła, zobaczyła ojca. Stał za masywnym biurkiem w prywatnej sali audiencyjnej swojego pałacu, w Isenhalli. Wydawał jej się taki odległy, a zarazem był tak blisko. Nachylał się nad nią i spoglądał z góry. Ciemne włosy, przyprószone siwizną, lśniły ciepło w blasku ognia. Królewski pierścień z rubinem skrzył się krwawymi refleksami na serdecznym palcu.

- Brit, bądź silna.

- Tak mi gorąco...

- Walcz! W twoich żyłach płynie królewska krew. Mam co do ciebie wielkie plany. Dlatego nie waż się umrzeć. Nie możesz sprawić mi zawodu.

- Nie umrę, tato, przysięgam...

Ojciec potrząsnął smutno głową i zniknął. Miejsce jego zajęła matka - wysmukła, piękna i zdesperowana.

- Co ty wyprawiasz, Brit? Coś ty sobie właściwie wyobrażała?

- Mamo! - zawołała, wyciągając ręce. A potem krzyknęła ponownie, gdy ostry ból przeszył jej ramię. - Och, mamo, przepraszam... - Matka zniknęła, podobnie jak inni.

Czyjeś silne ręce zaprowadziły ją z powrotem na posłanie i otuliły troskliwie futrami. Kobieta w starszym wieku, o dobrych oczach, nachyliła się nad Brit i powiedziała kojącym szeptem:

- Już dobrze. Odpocznij. Tu jesteś bezpieczna. Słyszała też inne, przyciszone głosy. Szeptały o truciznie,

która paliła jej wnętrze; mówiły, że teraz można już tylko zapewnić jej wszelkie możliwe wygody i czekać. Przemawiały do niej cicho i łagodnie, gdy czyjeś ręce ocierały jej spoconą twarz mokrym ręcznikiem.

A potem, w poświęceniu ognia pojawił się ktoś, kogo zdjęcie miała w plecaku. Zaginiony brat, którego nigdy nie poznała.

Valbrand.

Serce Brit napełniło się niewysłowioną radością. Więc on nie zginął! Nie umarł!

Wiedziała, była tego pewna, choć do tej pory nie śmiała się przyznać nawet przed samą sobą!

Wierzyła w to jednak głęboko i szczerze, wbrew faktom. Gdy oświadczyła, że pojedzie do Vildelundu i dowie się prawdy o jego losie, nikt nie wierzył w powodzenie tej misji. No, może jeden ojciec - przynajmniej do pewnego stopnia. A także Medwyn. Tak czy owak, wysłali ją tu, żeby spróbowała się czegoś dowiedzieć.

Natomiast inni dawno wyzbyli się wszelkiej nadziei. Zarówno matka, jak i siostry, a nawet Jorund Sorenson, dobry znajomy z tajnych służb.

Wszyscy uporczywie powtarzali to, co było powszechnie wiadome - że Valbrand utonął w morzu.

Brit mówiła sobie, że pewnie mają rację, że musi znaleźć Erica Greyfella tylko po to, by poznać bliżej okoliczności śmierci brata.

Jednak w głębi duszy czuła, że Valbrand żyje.

I, jak się okazuje, miała rację!

Spróbowała wymówić jego imię, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jej spalonych gorączką ust.

Valbrand. Silny, wysoki i żywy! Stał obok jej posłania, cały w czerni, jak ta zamaskowana postać, którą widziała w górach, nim straciła przytomność.

Czy możliwe, że to był on?

Valbrand spoglądał na Erica Greyfella, który stał tuż obok niego.

- Uważaj, bo ona cię widzi i poznaje - mówił Eric. - Nie powinieneś jej się pokazywać bez maski.

Jedna z pielęgniujących ją kobiet wyszeptowała:

- Do niej nic nie dociera. Żyje w świecie gorączkowych zwidów.

Nie spuszczać wzroku z Greyfella, Valbrand uśmiechnął się ze smutkiem.

- Moja mała siostrzyczka... Najmłodsza z trójki moich sióstr...

Nie taka znów mała, pomyślała z irytacją Brit. To, że była młodsza o zaledwie dwie godziny, nie dawało prawa nikomu - nawet jej dawno zaginionemu bratu - by nazywać ją „małą”.

Próbowała mu to powiedzieć, ale znów nie udało jej się sklecić ani słowa. Valbrand nadal patrzył na Erica i uśmiechał się czule.

- Twoja narzeczona - powiedział, a jego słowa odbiły się echem od drewnianych ścian chaty.

Twoja narzeczona. Twoja narzeczona. Twoja narzeczona...

- Jeżeli przeżyje - odparł Greyfell z kamienną twarzą.

- Przeżyje - zapewnił go Valbrand. - Thor i Freja będą ją strzegli. Ma w gwiazdach zapisane wojnę i miłość... - zaśmiał się cicho.

Gdy wreszcie zwrócił ku niej głowę, oczom jej ukazał się potworny widok. Lewa strona jego twarzy była poorana siatką białych blizn, pomiędzy których wyzierała siniofioletowa, zwyrodniała tkanka.

Co mogło spowodować tak straszliwe obrażenia? Kwas? Lutownica?

Z jej ust wyrwał się okrzyk rozpacz i współczucia. Delikatne ręce chwyciły ją i przycisnęły do poduszki. Ciche, kojące głosy powtarzały: - Odpocznij, jesteś już bezpieczna.

Rozdział 2

Żar trawiący jej ciało z wolna ostygł, a i sny przestały ją w końcu nękać.

Brit obudziła się osłabiona i wyczerpana. Leżała w przestronnej izbie o ścianach z potężnych bali i stropie z grubo ciosanych krokwi. Przez małe, wysoko umieszczone okna, sączyło się blade światło. Ostrożnie odwróciła głowę, żeby się rozejrzeć.

Środek izby zajmował ogromny piec z kominem, przebijającym strop. Po obu stronach stołu z jasnego drewna stały proste drewniane ławy. Brit gotowa była się założyć, że meble wykonano z norweskich świerków. W ściennych wnękach paliły się lampy naftowe.

Zobaczyła, że leży na czymś w rodzaju ławy wbudowanej w ścianę. Pościel zastępowały miękkie futra. Ktoś przebrał ją też podczas choroby w bawełnianą nocną koszulę.

W pomieszczeniu była kobieta - szczupła, o dumnej postawie i siwych włosach. Miała na sobie grubo tkaną suknię do kostek i solidne sznurowane buty. Siedziała na wysokim stołku, w przeciwległym rogu izby, zwrócona plecami do Brit. Pracowała na czymś, co wyglądało jak staroświecki warsztat tkacki.

Brit oblizwała spierzchnięte wargi. Czy to dzieje się naprawdę? A może nadal majaczy?

Zebrała siły i usiadła. Dotkliwy ból przeszył jej ramię i zakreślił jej się w głowie, ale się nie położyła.

- Valbrand? - wychrypiła przez wyschnięte gardło. - Eric Greyfell?

Kobieta wstała i podeszła do niej.

- Uspokój się, dziecko. Będzie dobrze. Tu nic ci już nie grozi.

Pomyślała, że zna tę miłą, pomarszczoną twarz, to zatroskane spojrzenie.

- Ja... ja panią znam. Pani się mną opiekowała.

- Byłaś bardzo chora - powiedziała kobieta, kładąc ją z powrotem na poduszki i otulając futrami. - Baliśmy się już, że cię stracimy. Jesteś silna, więc wydobrzejesz.

Wtedy przypomniała sobie wszystko - feralny lot, przymusowe lądowanie i śmierć przewodnika.

- Rutland... - wyszeptła w nadziei, że jego śmierć to tylko wytwór gorączkowych majaków.

Stara kobieta o dobrotliwej twarzy potrząsnęła głową.

- Zrobiono wszystko, co było możliwe. -Ja...

Kobieta już się odwróciła, podeszła do pieca i drewnianą łyżką nabrała płynu z żeliwnego garnka. Potem, z kubkiem w ręku, wróciła do Brit.

- Zwłoki twojego przewodnika zostały odesłane do jego rodziny, mieszkającej w następnej dolinie na południe od tej, w której leży nasza wioska.

Po policzkach Brit spłynęły dwie łzy.

- To moja wina.

- Nie. Żaden śmiertelnik nie może zmienić zrzędzenia losu.

- To nie los, tylko mój upór i wiara, że potrafię...

- Masz. - Kobieta nachyliła się i przytknęła jej kubek do ust. - Pij. To cię uspokoi.

-Ale ja...

-Pij.

Brit zabrakło sił na dalsze dyskusje. Upiła spory łyk. Ciepły słodki napój podziałał jak balsam na jej wyschnięte gardło.

- Już dobrze - powiedziała kobieta i odstawiła pusty kubek na podłogę. Musiał się przewrócić, bo Brit usłyszała, jak potoczył się pod ławę, służącą jej za posłanie. Kobieta poprawiła na niej futra i dopiero potem schyliła się, żeby go podnieść. - Teraz odpocznij. - Sięgnęła pod łóżko, podniosła

się z westchnieniem i chciała odejść.

- Poczekaj! - Brit podniosła głos. Stara kobieta zawróciła. - Mój brat. Chcę się z nim zobaczyć.
Kobieta potrząsnęła głową.

- Przecież wiesz, że twoi bracia odeszli.

- Kyran tak. - Kyran był drugim z kolei dzieckiem jej rodziców. Zmarł wiele lat temu, jako mały chłopiec. - Ale nie Valbrand. Widziałam go. W tym pomieszczeniu. Kiedy byłam taka chora. Jego twarz... lewa strona... była tak potwornie okaleczona.

Na moment zapadła cisza. Tylko ogień trzaskał w palenisku. Po dłuższej chwili kobieta powiedziała:

- To był tylko sen. Wszystko przez gorączkę. -Nie. On tu był. On...

- Księżę Valbrand nie żyje. Utraciliśmy go na zawsze. Musiałś o tym słyszeć. W lipcu minął rok, jak pochłonęło go morze. - Kobieta powiedziała to tonem łagodnym, pełnym współczucia.

Brit otworzyła usta, by zaproponować, ale wtedy kobieta nachyliła się nad nią i na jej szyi błysnął srebrny medalion. Musiał jej się wyslizgnąć spod sukni, kiedy wyciągała kubek spod łóżka. Brit mimowolnie wyciągnęła rękę i dotknęła medalionu, a on obrócił się na łańcuszku, odbijając płomień z paleniska. Widok ten wywołał błady uśmiech na jej twarzy.

Kobieta także się uśmiechnęła, a jej twarz stała się jeszcze bardziej pomarszczona.

- To mój ślubny medalion.

Ślubny? Brit zamyśliła się, a potem westchnęła.

- Ja mam taki sam. - Położyła dłoń na piersi. Był tam, pod nocną koszulą. - Dostałam go od Medwyna, doradcy ojca. Miał mnie tylko uchronić przed nieszczęściem.

- Ach tak. - Twarz kobiety przybrała dziwny wyraz. -A teraz śpij.

Brit była bardzo zmęczona, ale chciała zadać mnóstwo pytań.

- Gdzie ja jestem?

- Tam, gdzie sobie życzyłaś. Wśród tych, których nazywają mistykami.

- Jak długo... chorowałam?

- To już czwarty dzień.

Samolot, którym leciała, rozbił się w poniedziałek.

- Czwartek? Dziś jest czwartek? . - Tak.

- W jaki sposób...?

- Eric cię znalazł i przyniósł do nas.

W duszy Brit zatlił się płomynek nadziei.

- Greyfell mnie znalazł? W fiordzie Drakveden?

- Tak.

- W takim razie to musi być prawda - powiedziała Brit.

- Widziałam go, tego Erica Greyfella, w Drakveden, tam, gdzie rozbił się mój samolot. Był z nim Valbrand, przysięgam. Na twarzy miał czarną maskę. Był też chłopak z kuszą... - Położyła rękę na obandażowanym ramieniu. - Ktoś go zastrzelił, zanim zdążył...

- Óóó. - Ciepła pomarszczona dłoń musnęła jej czoło. Dosyć pytań. Śpij.

- Mój ojciec... matka i siostry... Oni wszyscy będą się o mnie martwić...

- Wysłano do króla wiadomość, że ocalałaś i jesteś u nas, więc nie martw się o nic.

Od nadmiaru pytań Brit pękała głowa. Musi poznać odpowiedzi. Jednak ta kobieta ma rację. Za dużo pytań naraz. Poczwała, że oczy same jej się zamykają.

- Śpij - wyszeptwała kobieta. Nagle jej twarz wydała się Brit znajoma.

- Jak się pani nazywa?

- Asta. Jestem siostrą Medwyna i ciotką Erica.

Więc to tak, pomyślała Brit. Siostra Medwyna. Powinna była się domyślić. Medwyn opowiadał

jej, że ma siostrę imieniem Asta. Teraz widziała już podobieństwo w oczach i wykroju ust.

- Asta. - Zabrzmiało to w jej ustach jak westchnienie. - Ładne imię.

- Dziękuję, Wasza Wysokość. A teraz proszę już spać.

- Dobrze. W porządku. Już zasypiam.

Obudził ją dźwięczny śmiech dziecka. Otworzyła oczy i zobaczyła masę jasnych loków, znikającą szybko za jej pośnaniem.

Kilka sekund później loki znów się pojawiły w polu widzenia, wraz z parą błękitnych oczu i zadartym noskiem. Oczy spojrzały na nią ze zdumieniem, a potem buzia zniknęła i zza pośnania dobiegł radosny chichot.

Brit uśmiechnęła się i wychrypiała:

- Widzę cię.

Znów perlisty śmiech. Ponownie pojawiła się blond główka, a różane usteczka rozchyliły się w nieśmiałym uśmiechu. Dziecko uniosło kciuk i wskazało nim na siebie.

- Mist.

- Witaj, Mist. Ja jestem Brit.

- Błit. - Dziecko imieniem Mist rozpromieniło się. - Kłólewna Błit.

- Wystarczy Brit.

- Wystarczy Błit, Błit, Błit...

- Mist! - Zawołała Asta, która siedziała przy piecu z dwiema młodymi kobietami. U ich stóp gromadka dzieci grała w jakąś grę kijkami i czerwoną piłeczką. - Pozwól księżniczce spać.

- Wszystko w porządku. - Brit mrugnęła do dziecka i krzywiąc się z bólu, uniosła się na poduszkach. Przez wysoko umieszczone okna wpadały słoneczne promienie. Pewnie dochodzi południe, pomyślała. A może nawet jest już po południu. Głowa opadła jej na piersi, a potargane włosy zasłoniły oczy. Podniosła rękę i odgarnęła je z czoła.

Przydałoby im się trochę szamponu i dobrej odżywkę. Marzyła też o długiej gorącej kąpiel. Głośnie burczenie w brzuchu uświadomiło jej, że zjadłaby konia z kopytami albo połowę polarnego niedźwiedzia - czy co tam jadają w Vildelundzie. Ale najpierw musi się napić wody. Pełną, olbrzymią szklanekę.

Już miała odrzucić futra, ale się zawahała. Nie chciała paradować przed tymi kobietami i dziećmi w cudzej, przykrótkiej koszuli.

- Mogłabym prosić o szklanekę wody?

- Oczywiście. - Asta odłożyła robótkę i podeszła do drewnianej lady pod ścianą. Wbudowany był w nią masywny zlew ze staroświeckimi kranami. Asta nalała wody do kubka i zaniósła go Brit.

Brit zaczęła łapczywie pić. Woda smakowała jak rajski napój.

Mist głośno się roześmiała.

- Błit chce się pić.

Brit wysączyła ostatni łyk.

- Jeszcze jak. Dzięki. - Oddała pusty kubek. Kobiety przy piecu przyglądały jej się ciekawie. Skinęła im głową.

- Pamiętam, że byłyście tu, kiedy chorowałam...

- Ach, zapomniałam się - powiedziała Asta. - Wasza Wysokość, to moje synowe, Sif i Sigrid. Mist, którą właśnie poznałaś, to najmłodsza córeczka Sif. - Wymieniła imiona pozostałych dzieci, z których dwójka była Sif, a dwójka Sigrid.

- Cieszę się, że mogłam was poznać. - Brit znów zwróciła się do Asty. - A teraz... co będzie na obiad?

Asta uśmiechnęła się z zadowoleniem.

- To znak, że zdrowiejesz.
- Chyba rzeczywiście.
- Zupa - zapowiedziała Mist.
- Owsianka - dorzuciła Asta. Brit skrzywiła się.
- Myślałam raczej o befsztyku z jajkami i fasolką.
- Twój żołądek nie jest jeszcze gotowy na takie ciężkostrawne potrawy.

Brit westchnęła.

- No cóż, niech będzie owsianka. - Uśmiechnęła się do Asty. - Mogłabyś pójść i powiedzieć mojemu bratu, że chciałabym się z nim zobaczyć?

Na moment zapadła cisza, a potem Asta powiedziała łagodnie jak do dziecka:

- Już o tym rozmawialiśmy, ale pewnie zapomniałaś. Twój brat...

Brit machnęła ręką.

- Ach, rzeczywiście, teraz sobie przypominam. Wobec tego, skoro mój brat jest nieosiągalny, może mogłabyś odszukać twojego bratanka, Erica? Muszę z nim koniecznie porozmawiać.

Sif i Sigrid wymieniły spojrzenia.

- Najpierw zjedz - zaproponowała Asta. - Zobaczysz, jak się będziesz czuła.

Nalała pełną miskę i z bochna razowego chleba odkroiła grubą kromkę, a potem zaniosiła wszystko Brit na drewnianej tacy.

Po zjedzeniu połowy porcji i kilku kęsach chleba Brit musiała przyznać, że przeceniła swoje możliwości.

- Chyba się przeliczyłam. Nie, nie dam rady zjeść tego wszystkiego.

Znow ogarnęło ją zmęczenie. Rekonwalescencja okazała się uciążliwą. Oddała miskę.

- Dziękuję - zwróciła się do Asty.

- Nie ma za co, Wasza Wyso...

- Zastanawiam się, czy nie mogłybyśmy sobie darować tych tytułów?

- Byłby to dla mnie zaszczyt. - Asta nie kryła zadowolenia.

- Wobec tego mów mi Brit, dobrze?

- Dobrze, Brit.

- Gdybyś mogła teraz przynieść moje ubranie... Asta delikatnie popchnęła ją na poduszki.

- Wszystko to może zaczekać. Teraz powinnaś odpocząć. Nie jesteś jeszcze na tyle zdrowa, żeby wstać z łóżka.

Brit musiała w duchu zgodzić się z Astą. Czuła się śmiertelnie zmęczona. Nie miała nawet sił, żeby się ubrać, więc co tu myśleć o rozmowie z Erikiem Greyfellem. Uśmiechnęła się z zażenowaniem do Asty.

- Przepraszam, ale pewna rzecz nie może czekać.

Asta przyniosła jej parę drewniaków i narzuciła gruby szal na ramiona. Kobiety przy piecu wciąż szyły, dzieci pochłoneła gra, a mała Mist siedziała na podłodze, obok pośłania Brit, i ssąc kciuk, przyglądała jej się szeroko otwartymi oczami.

Dotarcie do drzwi i wyjście na dwór okazało się sporym wysiłkiem, mimo iż Brit pokonała tę odległość wsparta na ramieniu Asty. Po dniach spędzonych w domu słońce wydało jej się oślepiające i ledwie starczyło jej sił, by rozejrzeć się wokoło. Wioska składała się z podłużnych drewnianych chat, zgrupowanych przy drodze. Na tyłach domów rozciągały się pastwiska, za którymi zaczynały się wzgórza porośnięte świerkowym lasem.

Asta zauważyła, że Brit przygląda się ciekawie chatom.

- Żyjemy tutaj wedle dawnych nordyckich obyczajów.

Mieszkamy w tradycyjnych chatach z bali, o jednej izbie, w której się je, śpi, pracuje i przyjmuje gości.

Przy każdym domu znajdował się mały ogród. Na pastwiskach za wsią pasły się krępe górskie koniki o długim białym włosie. Według mapy, którą narysował Medwyn, Drakveden leżał niezbyt daleko na północ. Brit pomyślała, że gdyby poszła wzdłuż fiordu, w kierunku zachodnim, dotarłaby do miejsca, w którym rozbił się samolot.

Oczywiście teraz nie miała najmniejszego zamiaru wyprawiać się na poszukiwanie jego szczątków, lecz będzie musiała to zrobić, i to już wkrótce. Niech tylko ustąpi ta irytująca słabość. Na końcu chaty znajdowała się drewniana przybudówka, z wyciętym w drzwiach serduszkiem. Zupełnie jak u nas, w dawnych czasach, pomyślała Brit. Czy serduszko w drzwiach to międzynarodowy symbol wygódki? Uśmiechnęła się sama do siebie.

- Coś cię rozbawiło? - zapytała Asta.

- Nic ważnego. Nie będę też pytać, jak sobie z tym radziłyście, kiedy byłam chora.

- Jakoś sobie poradziłyśmy - odparła Asta z promiennym uśmiechem. - Poczekam, aż skończysz.

Brit weszła do wygódki i zamknęła drzwi, a kiedy wyszła, Asta czekała na nią, zgodnie z obietnicą.

- Jesteś aniołem, Asto. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- To dla mnie zaszczyt, że mogę ci służyć.

- Muszę cię zapytać o jedno, chociaż wiem, że wyjdę na wstrętą klasyczną Amerykankę. Czy nigdy nie przyszło wam do głowy, że moglibyście zrobić w waszych domach łazienki?

Asta wzruszyła ramionami.

- Nasze życie tutaj jest bardzo proste i oczywiście bardzo ciężkie. Takie sobie wybraliśmy. Uważamy, że żyjąc zgodnie z naturą, wyrabiamy sobie silny charakter i jasny umysł. A teraz chodź już. Trzeba wracać do łóżka.

Podążyła jej ramię, a Brit z ulgą się na nim wsparła. Powolutku, krok za krokiem, wróciły do izby. Asta położyła Brit do łóżka i przyniosła jej ciepłą wodę oraz miękką ściereczkę do wytarcia rąk i obmycia twarzy. Brit prawie już spała, gdy Asta zaczęła jej poprawiać opatrunek.

- Asta?

- Hm?

- Chodzi o mojego brata...

- Śśś. Śpij.

- Śpij, śpij, śpij - zaśpiewała Mist spod pieca, gdzie bawiła się teraz z resztą dzieci.

Brit poddała się z westchnieniem i zasnęła.

Kiedy się obudziła, przy jej pościeli siedział już Eric Greyfell.

Zamrugnęła nieprzytomnie, a potem wymruczała:

- Najwyższa pora, żebyś się pokazał. Eric skinął wyniośle głową.

- Ciotka poinformowała mnie, że życzysz sobie ze mną porozmawiać.

Dlatego siedział tu i patrzył na Brit. Byli sami. Za oknami panowała ciemność, a we wnękach paliły się naftowe lampy.

- Gdzie Asta?

- Jak się pewnie zdążyłaś domyślić, moja ciotka jest kimś w rodzaju znachorki. Tej nocy jej umiejętności okazały się potrzebne gdzie indziej.

Brit przypomniała sobie, że poznała synowe Asty i jej wnuki, ale nie widziała jej męża.

- A twój wuj?

- Zmarł kilka lat temu. Tak też przypuszczała.

- Przykro mi to słyszeć. Eric wzruszył ramionami.

- Żyjemy, a potem umieramy. Tak to już jest. Jeśli chodzi o śmierć wuja, czas żałoby dawno minął.

- Rozumiem... To chyba dobrze, że żałoba przemija? -Mówiąc to, zastanawiała się, jak

skierować rozmowę na jedyny temat, który ją naprawdę interesował, czyli na Valbranda.

Z tym łączył się pewien szczegół, o którym nikt nie chciał z nią rozmawiać - że Valbrand wcale nie umarł.

Greyfell milczał, tylko ogień trzaskał w piecu. Brit patrzyła na Medwynowego syna i wciąż nie wiedziała, jak wydobyć z niego wyznanie, że jej brat żyje, i jak go przekonać, że powinien go do niej przyprowadzić.

Wciąż rozważała w myślach, jak zacząć, a Eric jej się przyglądał. Jego spojrzenie mocno ją deprymowało.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- To znaczy jak? Pożałowała, że w ogóle zapytała.

- Nieważne.

Eric wstał i nachylił się nad jej posłaniem. Spod gęstych brwi popatrzyły na nią głęboko osadzone oczy. Spojrzała w nie i pomyślała, że byłoby lepiej, gdyby nie podchodził tak blisko. Czuła się jak ludzki wrak, w cudzej nocnej koszuli, słaba i roztrzęsiona.

Gdy usiadła, zakręciło jej się w głowie, a ostry ból przeszył ramię.

-Posłuchaj...

-Tak?

Ciemne włosy były lśniące i gładkie, jakby dopiero co odłożył grzebień. Pachniał świeżym powietrzem, wiatrem i żywicą. Brit wolała nawet nie myśleć, jak ona sama teraz pachnie. Naciągnęła futra pod brodę, jakby miało ją to ochronić przed jego badawczym spojrzeniem.

- Posłuchaj, chciałam porozmawiać z tobą o... to znaczy... o moim bracie... - Urwała i czekała.

Może Eric zlituje się i powie jej prawdę, którą wszyscy starali się przed nią zataić? Może z jej oczu wyczyta, jak rozpaczliwie pragnie usłyszeć potwierdzenie, że Valbrand żyje.

Może dojdzie do wniosku, że można jej zaufać.

Niestety, nic takiego nie nastąpiło. Eric milczał.

- Darujmy sobie te kłamstwa i uniki. Pozwól mi porozmawiać z bratem.

Wtedy jego twarz złagodniała. Uniósł głowę i w świetle lampek zobaczyła wyraźnie jego oczy.

Miał dobre oczy, które spoglądały na nią ze współczuciem. Ale ona nie chciała jego współczucia. Nie chciała niczego, co mogłoby ją osłabić. Już i bez tego była wystarczająco słaba.

Eric przemówił do niej miękkim tonem, ważąc starannie każde słowo:

- Musisz się z tym pogodzić, że twój brat nie żyje. -Nie.

-Tak.

Brit owinęła się szczelniej futrem, żalując, że jest taka osłabiona. Miała ochotę skoczyć Ericowi do gardła i zmusić go do wyznania prawdy, którą przecież oboje znali. Ale jak to zrobić?

Wciąż była otumaniona, a jej mózg pracował na zwolnionych obrotach. Znów ogarnęło ją znużenie. Może zrobić tylko jedno - uprzejmie, lecz stanowczo nalegać. W najgorszym wypadku podda się i zaśnie.

- Przecież go widziałam - odezwała się błagalnym tonem. - Był tam z tobą, nad fiordem, jestem tego pewna. Miał wprawdzie maskę, ale później, kiedy leżałam tu chora, widziałam jego twarz. Przestań kłamać, bardzo cię proszę. I przestań mi wmawiać, że byłam zbyt chora, żeby zdawać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Przyznaj, że...

- Nie mogę przyznać, że coś, czego nie ma, istnieje. -W głębokim głosie Erica zabrzmiała nuta żalu. Powiedział to z takim przekonaniem, że przez moment niemal gotowa była uwierzyć, iż mówił prawdę. A także zwątpić w to, co widziała na własne oczy.

- On tu był.

Eric potrząsnął głową.

Bricie zaschło w ustach.

Wróci do tego tematu, kiedy odzyska siły.

- Jestem tego pewna. Mógłbyś mi przynieść wody?

- Z przyjemnością.

Kiedy nalewał wodę, Brit próbowała wymyślić nową taktykę. Zasypie go pytaniami tak sprytnie, że będzie musiał się przed nią otworzyć. Niestety, w głowie miała kompletną pustkę.

Tymczasem Eric już wrócił z kubkiem.

- Nie trzeba ci pomóc?

- Dzięki. Poradzę sobie. - Sięgnęła po kubek i z zadowoleniem zauważyła, że ręka już prawie wcale jej się nie trzęsie. Wypiła aż do dna, delektując się każdym łykiem. Na koniec głęboko odetchnęła.

Eric przyglądał się jej, a kąciki ust drgnęły mu w lekkim uśmiechu.

- Dobrze?

- Przepyszne!

- Jeszcze?

- Bardzo chętnie.

Gdy brał z jej rąk kubek, ich palce się musnęły. Z niewiadomych przyczyn ten przelotny kontakt wydał jej się zbyt intymny. Patrzyła na Erica, kiedy podchodził do zlewu. Miał na sobie grube spodnie, buty traperskie i bluzę z szarego polaru. Nosił się dumnie, jak przyszły król, którym miał szansę zostać któregoś dnia, skoro panowało powszechne przekonanie, że Valbrand nie żyje. W Gullandrii sukcesja tronu nie była dziedziczna. Wszyscy szlachetnie urodzeni nosili tytuł księcia. Każdy z nich mógł wysunąć swoją kandydaturę, kiedy panujący król nie był w stanie dłużej rządzić. Rada szlachetnie urodzonych zbierała się, by dokonać elekcji nowego władcy.

Eric od dziecka szykowany był nie na następcę tronu, ale na przejęcie po ojcu funkcji wielkiego doradcy. To Valbrand miał w przyszłości zostać władcą kraju. Król Osrik cieszył się powszechnym szacunkiem i rządził skutecznie. Za jego panowania kraj rozkwitł, a ludzie kochali jego syna, Valbranda, więc wybór wydawał się logiczny.

Jednak pewnego dnia Valbrand wypłynął w morze i już nie wrócił. A Osrik i Medwyn zwrócili oczy na Erica jako potencjalnego kandydata do korony, gdy przyjdzie na to pora. Uzgodnili też, że poślubi jedną z mieszkających za oceanem córek Osrika.

Eric stał odwrócony plecami do Brit - szeroki w barach, wąski w biodrach, nawet z tyłu królewski, i nalewał jej wody do kubka.

Brit pozwoliła sobie na szeroki uśmiech.

Intrygi jej ojca i Medwyna zawsze w końcu zwracały się przeciwko nim. Elli zakochała się w nasłanym na nią człowieku, który miał ją porwać i przywieźć do Gullandrii. Zaś podczas nocy poślubnej Elli Liv zadała się z osławionym księciem Finnem Danelaw i zaszła w ciążę. A Eric? Po miesiącach bezowocnych poszukiwań i prób dowiedzenia się prawdy o domniemanej śmierci Valbranda Eric przyjechał tutaj, do Vildelundu. Oparł się wciąż ponawianym prośbom ojca, by wracał do pałacu i przygotowywał się do objęcia tronu.

Brit wiedziała, że jej ojciec i Medwyn uważali ją za następną w kolejce kandydatkę na żonę dla Erica. Dała im więc jasno do zrozumienia, że romans nie leży w jej planach. Przede wszystkim zamierzała odkryć prawdę o Valbrandzie. Koniec. Kropka.

Król Osrik i Medwyn musieli się z tym pogodzić. A nawet jeśli nie, to co? Ojciec ze swoim wielkim doradcą mogą sobie spekulować do woli. Ona ma bardzo konkretny cel. I nie jest nim bynajmniej małżeństwo z Erikiem Greyfellem. O nie.

- Brit?

Eric stał nad nią z pełnym kubkiem.

- Ach, przepraszam, bujałam w obłokach.

Eric spojrział na nią pytającym wzrokiem. Może jej nie zrozumiał.

- Zadumałam się po prostu.

- A nad czym, jeśli można wiedzieć? - zapytał.

Podniosła do ust kubek i upiła łyk. Nie miała ochoty o tym mówić, a już na pewno nie o planach ich ojców względem niej i Erica.

- Nieważne.

- A jeśli powiem, że ci nie wierzę?

- W takim razie jesteście kwita, prawda? - Wypiła ostatni łyk i oddała mu pusty kubek. - Wiesz co, jestem bardzo zmęczona. Dziękuję ci, że przyszedłeś, żeby ze mną porozmawiać. - Opadła na poduszki i podciągnęła futra pod brodę. - Nie musisz siedzieć przy mnie aż do przyjścia ciotki. Zapewniam cię, że nic mi się nie stanie. - Wsunęła się pod futra, zamknęła oczy i natychmiast zapadła w sen.

Eric stał nad najmłodszą siostrą Valbranda i patrzył, jak jej rysy łagodnieją, w miarę jak odpływa w krainę snów. Musiał przyznać, że podziwiał jej odwagę. Odnalazła go w dzikiej krainie przodków - sama, jeśli nie liczyć przewodnika, który miał wskazać drogę. Przeżyła katastrofę, w której zginął jej przewodnik, bez pomocy wydostała się z wraku, i z bronią w ręku gotowa była stawić czoło temu, co czekało ją na zewnątrz. Była silna i zdeterminowana. Przeżyła, choć trafiła ją zatruta strzała zdrajcy. Podobał mu się także jej bystry umysł.

Pod oczyma miała sine cienie. Kosmyk opadł jej na policzek. Odgarnął go bardzo ostrożnie, uważając, by nie dotknąć świeżej blizny na skroni.

Brit westchnęła, a na jej spierzchnięte usta wypłynął łagodny uśmiech. Eric poczuł, że w odpowiedzi i on się mimowolnie uśmiecha.

Chcąc nie chcąc, musiał przyznać, że jego ojciec dobrze wybrał.

Rozdział 3

Brit spała długo, a kiedy się obudziła, lampa się nie świeciła, choć za oknami była ciemna noc. Tylko ogień tlił się jeszcze w piecu, a przez uchylone drzwiczki sączył się złoty blask. Kąt, w którym znajdowało się jej posłanie, tonął w mroku.

Usiadła. Hura! Już nie kręciło jej się w głowie, a ramię też nie bolało tak bardzo jak przedtem.

Pod ścianami dostrzegła trzy szerokie posłania, podobne do tego, na którym leżała. Jedno z nich było zajęte, i to nie przez tę miłą starą kobietę, która wyrwała ją śmierci, lecz przez Erica. Był przykryty futrami do pasa. Oczy miał zamknięte, twarz zwróconą ku środkowi izby i ręce skrzyżowane na piersi.

Czy spał tu tej nocy, a także poprzedniej? Szczerze mówiąc, nie zauważyła go, gdy biły na nią poty i bredziła w malignie. Czy to nie dziwne, że nie tylko mieszkał w tej samej chacie, ale i nocował w tej samej izbie, a ona nawet o tym nie wiedziała?

Sączące się przez okno promienie księżyca oświetlały jego klasyczne rysy i wspaniałą muskulaturę.

Brit pomyślała, że to piekielnie przystojny mężczyzna.

Zachciało się jej do toalety.

Po namyśle doszła do wniosku, że jest już na tyle silna, by samodzielnie rozwiązać przynajmniej ten problem. Odsunęła futra i przerzuciła nogi przez krawędź posłania. Drewniaki stały naszykowane, pewnie przez pocziwą Astę, ich okrągłe nosy wystawały spod ławy.

Wsunęła w nie stopy, a potem ostrożnie spróbowała wstać. Udało się!

Chwyliła jedno z futer i owinęła się nim, a potem, starając się robić jak najmniej hałasu, ruszyła do drzwi.

Czy ktoś z was próbował stąpać na palcach, mając na nogach ciężkie drewniaki?

Zrobiła może cztery kroki, gdy za jej plecami rozległ się głos Erica:

- Dlaczego wstałaś? Westchnęła z rezygnacją.

- Przepraszam, nie chciałam cię obudzić, ale muszę pilnie wyjść za potrzebą - odparła zwrócona twarzą w stronę drzwi, gdyż podejrzewała, że Eric pod futrami jest nagi. Była też pewna, że będzie się upierał, by jej towarzyszyć. Jeśli reszta jego ciała wygląda choć w połowie tak atrakcyjnie jak to, co już zdążyła zobaczyć...

Daj sobie spokój, dziewczyno, pomyślała. Zapomnij o tym.

- Pójdę z tobą - oznajmił Eric. Wcale jej to nie zdziwiło.

- No to się pospiesz, dobrze? Długo nie wytrzymam - powiedziała, podchodząc do drzwi.

Eric musiał mieć przygotowane ubranie, bo ledwie uszła kilka kroków, już był przy niej i chwycił ją za łokieć. Na gołe stopy założył futrzane mokasyny, miał na sobie te same spodnie co przedtem, ale był bez koszuli.

- Obawiam się, że na dworze jest zimno - zauważyła Brit.

Eric wzruszył ramionami, pchnął drzwi i wyprowadził ją w rześką rozgwieżdżoną noc. Jeszcze dziesięć kroków i dotarli do wygodki.

- Poczekał chwilę. - Brit dała nura do środka i zatrzasnęła drzwi.

Szczerze mówiąc, zdążyła w ostatnim momencie. A potem, wraz z uczuciem ulgi, przyszło skrepowanie, bo nagle sobie uświadomiła, że tuż za drzwiami stoi obcy mężczyzna, który wszystko słyszy.

Niestety, warunki w wiosce mistyków były, jak na jej gust, stanowczo zbyt prymitywne. Ona zdecydowanie wolałaby ściany z izolacją akustyczną, normalną toaletę ze spuszczaną wodą oraz deską, która nie odciskałaby się w pewnych miejscach. A także sypialnię z drzwiami, które mogłaby zamknąć na noc, gdy chciałyby się porządnie wyspać - albo wypłakać.

Kiedy otworzyła drzwi, Eric na nią czekał. Jego nagi, muskularny tors, pokrywała gęsia skórka.

- Gotowa?

- Myślę, że sama dam sobie radę - powiedziała, a on wzruszył ramionami i poszedł za nią bez słowa.

Brit ruszyła powoli przodem, coraz bardziej poirytowana. To prawda, że była bardzo chora, ale wydobrzała już na tyle, że mogła sama wykonać podstawowe czynności.

Gdy dotarli do zlewu, Eric zaczął pompować wodę. Brit obmyła sobie ręce, spryskała twarz i wypila ze dwa łyki. Eric podał jej ręcznik, a potem nachylił się i podniósł upuszczone przez nią futro.

- Wracaj do łóżka - polecił, wskazując posłanie.

Brit doszła do wniosku, że to w gruncie rzeczy świetny pomysł. Dowłokła się do posłania, zostawiła drewniaki tam, skąd jej wzięła, i wyciągnęła się na łóżku. Eric podszedł i poprawił okrywające ją futra.

- A teraz śpij. Mimowolnie uśmiechnęła się.

- Twoja ciotka ciągle mi to powtarza.

- To dobra rada. Byłaś bardzo chora.

- Czy ona nadal jest u sąsiadów? Eric pokiwał głową.

- Nie wygląda to dobrze. Podejrzewamy atak serca, a ten człowiek jest bardzo młody. Ma zaledwie czterdziestkę.

- Nie powinien być w szpitalu?

- To prawdziwy mistyk. Nie pójdzie do szpitala.

- A jeżeli umrze?

Oczy Erica zalśniły w mroku.

- Ktoś, kto decyduje się tu zamieszkać, dokonuje świadomego wyboru. Mało tu wygod. Nie ma,

na przykład, telefonu, co oznacza kłopoty z zapewnieniem pomocy medycznej w nagłych przypadkach. Jednak większość mieszkańców naszej wioski akceptuje te surowe realia. Rozmawiali szeptem. Było to miłe i swojskie. Cicha pogawędka pary dobrych znajomych w ciemnościach nocy.

- Dlaczego się na to godzą?

- Odnajdują tu spokój, a także sens życia. Uśmiechnęła się i przypomniała sobie, co jej mówiła Asta: proste życie umacnia charakter i rozjaśnia umysł.

- Zdziwiłam się, kiedy się obudziłam i zobaczyłam, że tu śpisz.

- Podczas pobytu w wiosce mieszkam u ciotki. Poczekaj sekundę czy dwie, a potem zapytaj:

- A gdzie mieszka mój brat?

Eric milczał przez chwilę. W serce Brit wstąpiła nadzieja. Powie jej prawdę, a ona dopóty go będzie męczyła, dopóki jej nie zaprowadzi do Valbranda - gdziekolwiek to było.

Jednak Eric powiedział cicho:

- Twój brat śpi snem wiecznym na dnie morza.

- To było okrutne.

- Prawda często bywa okrutna. Spojrzała mu w oczy.

- Ale to nie jest prawda, tylko kłamstwo. Widziałam go. Dobrze o tym wiesz. Stałeś tuż obok niego i powiedziałeś:

„Ona cię widzi. Ona cię poznaje”.

- To był sen.

- To nie był sen.

- Dobranoc, Brit - rzekł Eric, odwracając się. „Dobranoc, Brit”. Niech go wszyscy diabli. Mówienie jej

po imieniu przychodziło mu bez najmniejszego trudu. Inni zanudzali ją na śmierć „Waszą Wysokością”. Eric Greyfell od początku zwracał się do niej per „Brit”.

A tak właściwie, czemu ją to zirytowało? Przecież od przyjazdu do Gullandrii nieustannie prosiła wszystkich, żeby zwracali się do niej po imieniu.

Usłyszała cichy szelest, dochodzący od jego pośłania. Pewnie zdejmuje spodnie i wślizguje się do łóżka...

- Eric?

- Tak? - W jego głosie zabrzmiała nuta niepokoju. Dobrze mu tak, niech się trochę podenerwuje.

- Jest jakiś sposób, żeby się skontaktować z moim ojcem i twoim?

- Owszem, utrzymujemy kontakt radiowy. Wprawdzie nie jest niezawodny, ale czasami udaje nam się porozumieć.

- Czy w ten właśnie sposób zawiadomiliście mojego ojca o tym, co mi się przydarzyło?

- Tak.

- Dlaczego więc nie przysłał helikoptera, który by mnie stąd zabrał do szpitala?

Zapadła cisza, tylko dopalające się drwa strzelały cicho w palenisku.

- Eric? - powtórzyła, zniecierpliwiona.

- Czy tego byś właśnie chciała, gdybyś była w stanie podjąć samodzielnie decyzję?

Zawahała się, a potem niechętnie przyznała:

- Nie.

- Postąpiliśmy dokładnie tak, jakbyś sobie życzyła.

- Ale kto zdecydował, że pozostanę tutaj, w wiosce twojej ciotki, zamiast pojechać do szpitala?

Mój brat?

Czy jej się tylko zdawało, czy usłyszała przytłumiony śmiech?

- Miałyby z tym pewne trudności, jako że nie żyje. Wykrzywiła się gniewnie do sufitu.

- To radio... Gdzie ono jest?
- Tutaj, we wsi.
- Aha. Zabraliście mnie do wioski, a potem skontaktowaliście się z moim ojcem.
- Tak.
- I to mój ojciec postanowił, że powinnam tu zostać?
- Tak, twój ojciec. I mój też. Twój ojciec zna cię lepiej, niż myślisz.
- A twój?
- Mówią o nim, że potrafi przejrzeć tajniki ludzkich serc i umysłów. Zrozumiał, że wytyczyłaś sobie pewien cel, i jeśli cię stąd zabiorą, i tak tu powrócisz.
- Ale gdybym umarła...
- Mój ojciec był pewny, że przeżyjesz i odzyskasz siły. Jest takie stare nordyckie porzekadło. Tak, tak, słyszała je setki razy.
- Długość życia oraz dzień śmierci zostały zapisane w gwiazdach w dniu naszych narodzin. Eric się roześmiał.
- A ty? - Brit nie mogła sobie odmówić tego pytania. - Co czułeś, kiedy wlokłeś na wpół żywą kobietę z Drakveden do wioski twojej ciotki? Przecież to kawał drogi.
- To była bardzo trudna podróż w ciężkich warunkach. W pewnym momencie zacząłem się nawet obawiać, że jej nie przetrzymasz.
- A co pomyślałeś, kiedy nasi ojcowie zdecydowali, że powinnam tu zostać?
- Miałem pewne wątpliwości, ale jesteś tu żywa i coraz silniejsza. Czyli moje obawy okazały się nieuzasadnione.
- Z całą pewnością. I jeszcze jedno, Ericu. - Tak?
- Twój ojciec miał rację. Wytyczyłam sobie pewien cel i nie ruszę się stąd, póki nie stanę oko w oko z moim bratem.
Zapadła cisza. Brit była nawet zadowolona, bo jak na razie wszystko, co miało być powiedziane, zostało powiedziane.
Kiedy Brit się obudziła, był dzień. Eric zniknął, a na posłaniu w drugim końcu izby leżała opatulona futrami Asta.
Brit wstała i cicho, by jej nie budzić, podeszła na palcach do zlewu. Umyła ręce, napiła się wody, a potem wróciła do łóżka, mając nadzieję, że uda jej się jeszcze trochę pospać.
Jednak ledwie się położyła, z głodu zaczęło jej głośno burczeć w brzuchu. Koniecznie też musiała się wykapać. Niestety, nie wiedziała, gdzie szukać czegoś do jedzenia i jak się umyć bez pomocy Asty.
Przeleżała jakiś czas ze wzrokiem wbitym w sufit, starając się zignorować burczenie w brzuchu i próbując zasnąć, aż wreszcie drzwi otworzyły się i do izby wszedł Eric. Miał mokre włosy i był świeżo ogolony. Pod pachą niósł coś, co wyglądało na ubranie z poprzedniego dnia, oraz małe skórzane etui. Przybory do golenia? Przeszedł bezszelestnie przez pokój i wsunął wszystko pod swoje łóżko.
Brit usiadła, a kiedy na nią spojrział, przywołała go gestem.
Gdy zbliżył do niej, pachnący wodą i mydłem, odezwała się szeptem:
- Wiem, że się kąpałeś. Kogo mam zabić, żeby i ja mogła wziąć kąpiel?
Przyklęknął i wyciągnął spod ławy jej rzeczy.
- Weź co trzeba - poinstruował ją półgłosem. Podał jej kurtkę i wtedy zobaczyła, że dziurka po strzale została starannie zacerowana. Ktoś próbował też wyczyścić kurtkę, ale krew trudno się spiera, więc na materiale pozostała żółtawa plama. - Chodź - powiedział. - Pokażę ci drogę.
Wiejska łaźnia, podzielona na dwie części - dla kobiet i dla mężczyzn - znajdowała się kilka domów dalej. Eric powiedział, że doprowadzono tam bieżącą wodę, a za budynkiem

zamontowano grzejnik na propan-butan. Wewnątrz, na półce pod ścianą leżały stosy czystych ręczników. Dwie kobiety kończyły ablucje. Powitały uprzejmie Brit, po czym znów zajęły się sobą.

Brit zdjęła kurtkę oraz nocną koszulę i zaczęła się zastanawiać nad bandażem, zakrywającym ranę na jej ramieniu. W końcu postanowiła go nie ruszać. Zamoczy go, a po powrocie do chaty spróbuje zmienić opatrunek. Wzięła prysznic, umyła głowę i wyczyściła zęby. Kiedy była gotowa, przebrała się w czyste rzeczy i wyszła na dwór, gdzie, ku jej zdumieniu, czekał na nią Eric.

- Nie musiałeś tego robić - stwierdziła. - Wróciłabym o własnych siłach.

- Daj - powiedział, biorąc od niej nocną koszulę. - I to też - dodał, wskazując na kosmetyczkę.

- Nie trzeba. Naprawdę. Mogę sama...

Machnął tylko ręką i czekał, aż odda mu swoje rzeczy.

Gdy z westchnieniem ustąpiła, podał jej ramię.

Hm, czemu nie? Wsunęła dłoń w zgięcie jego łokcia i powoli ruszyli w drogę powrotną.

Brit wlokła się po wyboistej drodze, drżąc z zimna, i już się nie mogła doczekać, kiedy znów znajdzie się w ciepłej izbie i będzie mogła wysuszyć włosy przy piecu oraz zmienić mokry opatrunek. Liczyła też na to, że uda jej się porozmawiać szczerze z Erikiem.

O co mu właściwie chodzi? Czemu uporczywie kłamie i nie chce jej zaprowadzić do brata? A może Valbrand sobie tego życzy?

Jednak nie chodziło tylko o to, że Eric kłamie.

Rzecz w tym, że był taki... seksowny. Odnosiła również wrażenie, że próbuje ją oczarować, a to akurat nie było jej potrzebne w tym momencie. Gdyby uległa jego urokowi, pozbawiłoby ją to determinacji w dążeniu do celu i mogło mieć niepożądane komplikacje.

Może zresztą tylko jej się wydaje, że jest nią zainteresowany jako kobietą. To ich ojcowie zażyczyli sobie, by się pobrali i rządili ojczyznę przodków. Poza wszystkim nie jest tak niebywale pociągająca - z dziurą w ramieniu, cała podrapana i w sińcach, bez makijażu i do tej pory brudna, brzydko pachnąca i z tłustymi włosami.

Nie potrafi go rozgryźć, więc póki jej się to nie uda, musi się mieć na baczności. Nie może mu zaufać, a jednak...

To miłe z jego strony, że na nią czekał. Jego ramię było ciepłe i silne i dawało jej poczucie bezpieczeństwa.

W drodze do domu Asty minęli parę osób. Mężczyznę niosącego drwa na opał. Kobietę z dzieckiem na plecach. Eric pozdrowiał wszystkich skinieniem głowy, a oni odpowiadali mu tym samym, rezerwując uśmiech dla Brit. Tytułowali ją Wasza Wysokość i cieszyli się, że tak szybko wraca do zdrowia.

Asta wciąż spała, skulona pod futrami, odwrócona twarzą do ściany.

- A co z tym człowiekiem, którego pielęgnowała? - zwróciła się Brit szeptem do Erica.

- Wygląda na to, że jednak przeżyje.

To dobra wiadomość. Brit uśmiechnęła się, po czym ostrożnie, by nie urazić bolącego ramienia, zdjęła kurtkę i powiesiła ją na wieszaku przy drzwiach. A potem, żeby nie stukać drewniakami, zsunęła je z nóg i postawiła pod wieszakiem, obok butów Asty. W grubych skarpetach podeszła do posłania i schowała pod nie resztę swoich rzeczy. Kiedy się odwróciła, Eric stał na środku izby i uważnie jej się przyglądał. Pewnie patrzył na jej zmoczoną od bandaża koszulę, bo co innego mogłoby go zainteresować? Może to, że była bez stanika? Nie włożyła go, ponieważ sztywne ramię jej to uniemożliwiło. Zresztą i tak zaraz wraca do łóżka. Zmieni tylko opatrunek, zje coś i wysuszy włosy.

- Pomogę ci. - Głos Erica zabrzmiał jak słowna pieszczota. Popatrzyli na siebie w napięciu, a Brit

chciała odmówić. Jednak opatrunek musiał zostać zmieniony, a Asta wciąż spała. Brit pomyślała, że sama sobie z tym nie poradzi. Na szczęście koszulę miała zapinaną z przodu na suwak, więc będzie mogła dyskretnie zdjąć bandaż, nie odsłaniając zbyt wiele ciała.

- Dobrze, dziękuję. Poczekaj chwileczkę. - Odwróciła się i wyjęła spod łóżka plecak. W bocznej kieszonce miała trzy drogocenne opakowania drażetek orzechowych. Wzięła jedno, otworzyła je i wyjęła dużą niebieską drażetkę, a potem chciała poczęstować zdumionego Erica, ale on potrząsnął głową.

Kiedy znów wróciła do stołu, zapytał:

- Co to jest?

Podniosła do góry niebieski guziczek.

- Drażetki orzechowe. Uwielbiam je.

- I musisz je jeść właśnie teraz? - zapytał, unosząc brwi.

- Działają na mnie uspokajająco, ale się nie obawiaj, nie zawierają narkotyków. Tylko cukier, czekoladę i w środku orzeszek.

Eric nadal patrzył na nią tak, jakby nic nie rozumiał. Speszona pomyślała, że zmiana opatrunku w jego wykonaniu to czynność zbyt intymna.

- Możemy wreszcie to zrobić? - zapytała, wkładając drażetkę do ust.

- Jak sobie życzysz. - Eric wskazał jej miejsce przy stole, po czym wrócił w okolice zlewu, pewnie po plaster i czyste bandaże.

Korzystając z okazji, że stał do niej tyłem, Brit odwróciła się i szybko rozpięła suwak. Za plecami usłyszała ciche skrzypienie pompy. Pewnie Eric mył ręce. Zsunęła koszulę z lewego ramienia - zbyt gwałtownie, bo zabolalo jak diabli, po czym stwierdziła, że suwak się zablokował, a ona została z odkrytym biustem.

Eric skończył tymczasem myć ręce. Usłyszała, jak zbliża się cichym krokiem i zatrzymuje tuż za nią.

- Chwileczkę - mruknęła, rozgryzając nerwowo rozpuszczoną do połowy drażetkę. Zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać bardzo śmiesznie, gdy tak rozpaczliwie szarpie suwak, próbując go zapiąć.

- Spokojnie.

Oblała się rumieńcem. Rana coraz bardziej jej dokuczwała. Aż wreszcie, po kolejnej próbie, udało się. Z westchnieniem ulgi zapięła koszulę na tyle, by zakryć piersi, pozostawiając odsłonięte lewe ramię.

Kiedy się odwróciła, była pewna że zobaczy na twarzy Erica kpiący uśmiech. Pomyliła się jednak. Eric się nie śmiał, wpatrywał się za to w jej dekolt. Powiodła wzrokiem w ślad za jego spojrzeniem. Patrzył na jej medalion.

Mogła mu powiedzieć, że dostała go od jego ojca, ale nie zrobiła tego. Uznała, że poruszać ten temat byłoby niemądrze, a nawet niebezpiecznie.

- W porządku. Możesz zaczynać.

Eric położył na stole zwitek gazy, plaster, nożyczki i tubkę maści. Potem wrócił do zlewu, wziął z półki czystą lnianą ściereczkę oraz miskę, którą napełnił do połowy zimną wodą. Następnie zdjął z pieca czajnik i dolał trochę wrzątku.

Na koniec wrócił do Brit, postawił miskę na stole i zamoczył w niej ściereczkę.

A potem zabrał się do roboty. Siedział tak blisko, że znów poczuła bijący od niego zapach świeżego powietrza. Pracował szybko i zrecznie. Mimowolnie zadała sobie pytanie, ile ran zdążył w swoim życiu opatrzyć.

- Dobrze, że zamoczyłaś bandaż - uznał - bo nie trzeba go będzie odrywać.

Brit, która podczas tej operacji patrzyła w bok, zerknęła na obnażone ramię. Nie był to zbyt

piękny widok. Rana wciąż była opuchnięta i zaczerwieniona, i nadal się z niej sączyło. To pewne, że pozostanie po niej widoczna blizna.

- Obawiam się, że nie będę już mogła chodzić na bale w sukni bez ramiączek - zauważyła.

Eric obmył delikatnie ranę ciepłą, wilgotną ściereczką.

- Obnoś z dumą swoje blizny. Są świadectwem tego, że stawiałaś czoło i zwyciężyłaś.

Odległość między nimi wynosiła najwyżej dziesięć centymetrów. A jego usta wyglądały tak kusząco. Jeden drobny ruch i będzie go mogła pocałować.

A tak w ogóle, skąd jej to przyszło do głowy? Czemu miałyby go całować? Zirytowana, ostentacyjnie utkwiała wzrok w odległym punkcie ponad jego ramieniem.

Eric skończył obmywać jej ramię i posmarował je maścią o zapachu goździków. Na koniec założył świeży bandaż.

- Gotowe - powiedział i cofnął się o krok.

W jak na złość tym samym momencie Brit głośno zaburczało w brzuchu.

Usta, których omal przed chwilą nie pocałowała, rozciągnęły się w uśmiechu.

- Chcesz owsianki?

- Tak, proszę.

Ciężkie kamionkowe miski stały na półkach, nad zlewem. Brit nakryła do stołu, starając się nie robić przy tym hałasu, a Eric, równie cicho, przygotowywał jedzenie. Mieli nawet mleko, które wyjął z piwniczki pod podłogą. Do słodzenia był miód, a do picia przepyszna herbata o smaku cynamonu, która z powodzeniem zastąpiła poranną filiżankę mocnej kawy.

Po posiłku Brit poczuła się bardzo zmęczona. Pomogła jeszcze posprzątać ze stołu, a potem Eric zdjął ze stojaka strzelbę, wyjął spod łóżka plecak i wyszedł.

Asta nie obudziła się ani podczas zmiany opatrunku, ani podczas śniadania. Brit wróciła do łóżka i wyciągnęła się na futrach. Była wykąpana i najedzona do syta.

Pomyślała, że życie jest piękne, i już po chwili smacznie spała.

Obudziła się po południu. Asta siedziała przy piecu, w otoczeniu synowych i wnuków. Brit poleżała jeszcze przez chwilę, słuchając śmiechu i szczebiotu dzieci oraz przyciszonej rozmowy kobiet. Sigrid wydała jej się spokojna i opanowana, natomiast Sif chichotała i plotkowała o sąsiadach. To właśnie Sif spostrzegła, że Brit już nie śpi, i uśmiechnęła się do niej.

Brit odpowiedziała uśmiechem, a potem wstała, założyła buty, wyjęła z plecaka stanik i powiedziała, że idzie do wygodki. Po powrocie opłukała ręce pod zlewem, napiła się wody i wskazując na leżące na stole dwie kupki piór, zapytała:

- Co to jest?

- Eric je przyniósł - powiedziała Asta, potwierdzając jej domysły. - Ustrzelił dwie kuropatwy. Czyż nie są piękne?

- Bardzo piękne - przyznała Brit. - Wrócił? To znaczy, Eric?

Sif i Sigrid wymieniły znaczące spojrzenia, a Asta pokiwała głową.

- Wróci na wieczorny posiłek.

Brit odstawiła energicznie kubek na stół. Dosyć już o Ericu!

- Może się przydam? Oskubię ptaki.

Asta próbowała ją od tego odwieść. Powiedziała, że nie trzeba i że sama robi to później.

Jednak Brit się uparła i w końcu, kiedy przysięgła, że sobie poradzi, pozwolono jej oskubać kuropatwy. Eric wypatroszył je wcześniej na dworze. Wuj Cam powtarzał, że najlepiej zrobić to od razu. W ten sposób ptaki szybciej stygły i mięso się później nie psuło.

- Macie spizarnię? - zapytała Brit, kiedy skończyła.

- Tak - powiedziała Asta. - Za domem.

Brit wyniosła oskubane ptaki i powiesiła je w specjalnej drucianej klatce. Kiedy wróciła, Sif

pakowała do worka rzeczy, które miały zostać zabrane do pralni.

Dorzuciła jej swoją nocną koszulę i jeszcze parę drobiazgów.

- Mogę pójść z tobą?

Sif, rudowłosa ślicznotka o mlecznej cerze i grubych warkoczach upiętych wokół głowy, zawahała się.

- Jesteś pewna, że czujesz się wystarczająco dobrze?

- Absolutnie pewna.

- To twarda sztuka - wtrąciła się Asta. - Weź ją z sobą. Niech nabierze kolorów na powietrzu.

- Ja też pójdę - oznajmiła Mist, podnosząc się z podłogi i chwytając szmacianką lalkę.

- Dobrze - zgodziła się jej matka.

- Tylko się nie forsuj - przestrzegła Asta. - Gdybyś się zmęczyła, natychmiast wracaj.

- Możesz być o to spokojna. - Brit zdjęła kurtkę z wieszaka i wyszła na dwór za Sif i Mist.

Pralnia znajdowała się tuż za łaźnią. Wewnątrz była bieżąca woda, zimna i gorąca, oraz sześć głębokich betonowych zlewów, połączonych parami - jeden do prania, z blaszaną tarą, i jeden do płukania. Pomiedzy każdą parą zlewów stała prymitywna ręczna wyżymaczka. Pod sufitem ciągnęły się rzędy sznurów, częściowo zajęte przez schnące pranie. Pod jedną ze ścian ustawiono długi stół, służący do składania suchej bielizny. Były też metalowe wieszaki, na których suszyły się wełniane swetry.

Sif powiedziała Brit, że każda rodzina ma swoje godziny, w których może korzystać z pralni. Mokre rzeczy rozwiesza się na sznurach i przychodzi po nie, kiedy pranie wyschnie.

Brit była jeszcze za słaba, żeby pracować na tarce albo wyżymać mokrą bieliznę. Ramię jeszcze się nie zagoiło. Pomogła wkładać wypłukane rzeczy do wyżymaczki, a Sif energicznie kręciła korbą. Później Brit strzepywała wyżęte pranie, a Sif rozwieszała je na sznurach.

Oczywiście rozmawiały przy tym, jak to kobieta z kobietą, żeby się lepiej poznać. Brit zapytała, od jak dawna Sif jest mężatką i czy urodziła się w tej wiosce.

- Gunnolf i ja jesteśmy małżeństwem od ośmiu lat. Nie pochodzę stąd, tylko z wioski położonej dalej na wschód, koło fiordu Solgang.

Brit wiedziała już, że wieś, w której mieszkała Asta, nie była jedyną osadą zamieszkaną przez mistyków. W Vildelundzie było ich więcej.

Opowiedziała Sif o swoich siostrach i ich mężach, a potem cicho zapytała:

- Dlaczego ani Asta, ani Eric nie chcą ze mną rozmawiać o moim bracie?

Sif na ułamek sekundy odwróciła wzrok, a potem powiedziała:

- Pewnie dlatego, że tak się upierałaś, iż go widziałas. Nie wiedzieli, co na to powiedzieć. Co najwyżej to, że nie mogłaś go widzieć, bo on nie żyje.

Właśnie, że żyje. Widziała go przecież. Dalsze upieranie się nie miało jednak sensu. Może pora obrać nową taktykę?

- Znałaś mojego brata? - zapytała. Strzepnęła koszulę, sądząc po fasonie i rozmiarach należąca do Erica, i wręczyła ją Sif.

Sif milczała tak długo, że Brit zaczęła podejrzewać, iż się nie doczeka odpowiedzi. Jednak w końcu powiedziała:

- Eric zabrał mnie i Gunnolfa w podróż poślubną za Góry Czarne, na południe, do Lysgardu. Siedem nocy spędziliśmy w Isenhalli. Gunnolf znał już wtedy twój brata, bo Jego Wysokość jako chłopiec często odwiedzał tę wioskę. Nie miałam zaszczytu go poznać. - Rozwiesiła koszulę na sznurze i ciągnęła dalej z rozmarzonym uśmiechem. - To były cudowne czasy. Byliśmy świeżo po ślubie, tacy szczęśliwi i zakochani. Nie mogliśmy się doczekać, by rozpocząć wspólne życie w wiosce Gunnolfa. Cieszyło nas też ogromnie, że mogliśmy się wybrać do stolicy jako goście rodziny królewskiej.

Brit strzepnęła szarą marszczoną spódnicę i podała ją do rozwieszenia Sif.

- Czy podczas tej podróży poznałaś Valbranda?

- Tak. Był taki przystojny i miły i jak na tak młodego człowieka bardzo rozsądny - miał wtedy zaledwie dwadzieścia lat. Parokrotnie zatrzymał się, żeby porozmawiać z Gunnolfem i ze mną. Pytał, czy podoba nam się w Isenhalli. I nawet nam doradzał, co powinniśmy obejrzeć w Lysgardzie. - Błękitne oczy Sif zaszły mgłą. - Tak, to mogę ci powiedzieć.

W przeciwieństwie do tego, czego mi nie możesz powiedzieć, pomyślała z ironią Brit.

- Książę Valbrand był dobrym człowiekiem - dokończyła Sif, a potem z westchnieniem dodała. - Byłby wspomniał królem.

- Całny Łycez - odezwała się nagle Mist, która siedziała przy długim stole, z lalką na kolanach. - Książę Valbrand. Całny Łycez. - Uśmiechnęła się z dumą do Brit.

Sif zaśmiała się nerwowo.

- Ach, te dzieci. Co one wygadują...

- Całny Łycez?

- Całny Łycez! - powtórzyła z naciskiem Mist.

- Ona chyba chce powiedzieć „Czarny Rycerz” - mruknęła Sif, po czym odwróciła się, by powiesić spódnicę.

- Tak! - Mist rozpromieniła się. - Całny Łycez.

Brit pamiętała jak przez mgłę opowieści matki o Czarnym Rycerzu. Ingrid bardzo tego pilnowała, by córki, wychowywane w Kalifornii, poznały przynajmniej w zarysie historię oraz obyczaje kraju, w którym się urodziły.

- To taka legenda, prawda? Zamaskowany rycerz, cały w czerni, na czarnym rumaku?

- Tak, tak - powiedziała Sif. - Legenda głosi, że w ciężkich czasach pojawi się Czarny Rycerz, by wyzwolić swój naród spod władzy tyranów i oszustów.

Cały w czerni, pomyślała Brit. Za każdym razem, kiedy widziała brata - choć wszyscy próbowali jej wmówić, że nic takiego nie miało miejsca - był ubrany na czarno. Nad fiordem nosił na twarzy czarną maskę.

- A jaki jest związek między tą legendarną postacią a moim bratem? - rzuciła od niechcienia.

Sif znowu się roześmiała.

- Z tego, co wiem, żaden, poza tym, jaki się zrodził w głowie mojej małej córeczki.

Brit także się roześmiała, a potem spojrzała na Sif.

- Powiedz mi, czy ostatnio widziano Czarnego Rycerza w pobliżu waszej wioski?

Sif milczała przez chwilę, a potem mruknęła:

- Szczerze mówiąc, słyszałam to i owo. Brit przysunęła się do synowej Asty.

- Opowiedz mi.

- Och, to tylko plotki. - Sif machnęła ręką. - Zwykłe bajki. Jakiś staruszek z sąsiedniej wsi został napadnięty w lesie. Twierdzi, że uratował go Czarny Rycerz. Była też mowa o wielu incydentach, w których brali udział renegaci. Słyszałaś o nich? - zapytała, a widząc minę Brit, dodała: - Mówiono ci chyba, że w Gullandrii wysyła się młodych ludzi, którzy sprawiają kłopoty wychowawcze, do wiosek położonych na dalekiej północy, zamieszkanymi przez wspólnoty mistyków.

- Owszem, przypominam sobie. - Miesiąc wcześniej jej siostra Liv wysłała do mistyków pewnego siedemnastolatka, mając nadzieję, że się pod ich wpływem poprawi.

- Niestety, niektórzy z nich uciekają - powiedziała Sif. — Koczują potem po lasach i atakują napotkanych ludzi. Nazywamy ich renegatami.

Brit przypomniała sobie chłopaka z kuszą i mimowolnie dotknęła chorego ramienia. Widząc to, Sif pokiwała głową.

- Tak, tak. Chłopak, który cię postrzelił, był jednym z nich.

Brit miała ochotę o niego zapytać, wolała się jednak trzymać tematu Czarnego Rycerza.

- Słyszysz się opowieści o renegatach, okradających wieśniaków - mówiła dalej Sif. - O całych grupach grasujących po okolicy i atakujących spokojnych ludzi. We wsi położonej dalej na wschód grupa renegatów sterroryzowała jej mieszkańców; wybijała bydło, kradła, włamywała się do domów pod nieobecność właścicieli.

- I Czarny Rycerz zrobił z nimi porządek?

- Tak. Mówi się, że ich wszystkich kolejno wyłapał i umieścił tam, gdzie już nie mogą nikomu szkodzić.

- To znaczy gdzie?

- W najdalej wysuniętej na północ wiosce mistyków. Tam zsyła się tych najbardziej niepoprawnych, by ich twardą ręką nawrócić na dobrą drogę.

- A ten chłopak, który mnie postrzelił? Czy Eric kazał go tam umieścić?

- Chyba tak. Tak.

- A sam Czarny Rycerz... O ile to prawda, że wrócił... Gdzie on może teraz przebywać?

Sif odwróciła wzrok. Nagle jakby zamknęła się w sobie. Pewnie zaczęła żałować, że powiedziała za dużo.

- O to zapytaj Erica. - Nachyliła się nad stosem mokrej bielizny, chwyciła nocną koszulę, strzepnęła ją i odwróciła się, by ją powiesić na sznurze. - Musimy się pośpieszyć.

Brit postanowiła się poddać. Wyczuła, że nie uda jej się wyciągnąć z Sif nic więcej. Przynajmniej na razie. Tak czy inaczej, to, co usłyszała, pokrywało się z tym, co widziała. Zamaskowany człowiek w czerni towarzyszący Ericowi nad fiordem nie był przecież tworem jej wyobraźni. A potem w chacie widziała swojego brata. Był nie tylko tego samego wzrostu i postury co tamten mężczyzna, ale i w tym samym czarnym stroju.

Zapamiętała słowa Erica: „Uważaj, bo ona cię widzi i poznaje. Nie powinieneś jej się pokazywać bez maski”.

Sif mówiła o starej legendzie, która odrodziła się w ostatnich czasach.

Czy jest szaleństwem wyobrażać sobie, że jej brat Valbrand mógł przybrać postać mitycznego Czarnego Rycerza? Brit wcale tak nie uważała.

Jak można lepiej ukryć przed wrogami fakt, że się jednak żyje, jeśli nie zakładając maskę?

Rozdział 4

Minął kolejny dzień. A potem następny.

Brit zaczynała się niecierpliwić. Przybyła do wioski w pewnym konkretnym celu. Tymczasem od rozmowy z Sif w pralni w sobotę po południu nie przybliżyła się do celu ani o milimetr.

Nikt nie chciał z nią rozmawiać. W każdym razie nie o Valbrandzie. Na każdą wzmiankę o nim zapadała grobowa cisza i ludzie wymieniali znaczące spojrzenia. Ci, których pytała, odpowiadali, że przecież powiedzieli jej wszystko, co im wiadomo na ten temat.

Zdesperowana, posunęła się nawet do tego, że próbowała wydobyć informacje od dzieci, co było oczywiście żalosne.

Dzieci przyznały, że widziały Valbranda, że przyjeżdżał czasami z wizytą, a w nocy zmieniał się w Czarnego Rycerza. W sercu Brit zaświtała nadzieja. Może ten trop doprowadzi ją w końcu do celu?

Później jednak te kochane maluchy powiedziały jej, że widują na niebie Thora rzucającego młotem, a także Freję pędzącą pośród chmur na rydwanie ciągnionym przez koty.

Tak to jest, kiedy się pyta dzieci.

Wreszcie we wtorek, tydzień i jeden dzień po katastrofie samolotu, gdy Brit jadła śniadanie z

Astą i Erikiem, doszła do wniosku, że ma już dość szukania po omacku. Wyprostowała się i utkwiała wzrok w mężczyźnie, który wyniósł ją z fiordu Drakveden.

W ciągu minionych dni, ilekroć na niego spojrzała, przyłapywała go na tym, że jej się przygląda - taksująco i uporczywie.

Teraz też spoglądał na nią wyczekująco, a zarazem z niepokojem. Jakby już wiedział, o co chce go zapytać.

- Chciałabym porozmawiać z tobą w cztery oczy po śniadaniu. Bardzo proszę.

Znów to łaskawe skinienie.

- Jak sobie życzysz.

Słyszac to, Asta rozpromieniła się, jakby wizja ich dwojga rozmawiających sam na sam wprawiła ją w zachwyty.

- Nareszcie - odezwała się z westchnieniem ulgi.

Co ją tak cieszy? Musiała się przecież domyślić, że będą rozmawiali o Valbrandzie.

Tak czy inaczej, Asta zrobiła wszystko, by jak najszybciej zostawić ich samych. Po śniadaniu sprzątnęła ze stołu i zmyła naczynia w rekordowym tempie.

- Będę u Sigrid - rzuciła zdyszana, ściągając z kołka przy drzwiach gruby szal.

Brit spojrzała na nią ze zdumieniem i pomachała jej na pożegnanie. Drzwi zatrzasnęły się i Asta zniknęła.

W izbie pozostali tylko Brit i Eric, spoglądający na siebie z dwóch przeciwległych końców stołu.

- No tak. - Spojrzenie szarzielonych oczu Erica spoczęło na Brit. - Podobno chcesz mi coś powiedzieć?

Ona chce mu coś powiedzieć? Zresztą, może to i lepiej, że mu się tak wydaje. Tak naprawdę, to ona ma do niego co najmniej setkę pytań. Czy jest szansa, że tym razem uda jej się uzyskać bodaj część odpowiedzi?

Jorund, zaprzyjaźniony agent z Biura Śledczego Gullandrii, ostrzegał Brit. „To mistyk z krwi i kości” - mówił. „Będzie milczał jak grób. Wątpię, żeby udało ci się z niego cokolwiek wyciągnąć”. Jednak co Jorund mógł wiedzieć? Czy nie mówił jej wiele razy, że goni za mrzonką, że jej brat skończył życie na dnie oceanu, gdzieś u wybrzeży Islandii? Jak widać, pomylił się w tym względzie. A ona mu udowodni, że w kwestii Erica także był w błędzie.

Taką miała przynajmniej nadzieję.

Położyła splecione dłonie na stole i wychyliła się ku siedzącemu naprzeciw niej milczącemu mężczyźnie.

- Zarówno ty, jak i wszyscy wokoło próbujecie mi wmówić, że mój brat nie żyje i że nie mogłam go widzieć. W każdym razie nie tutaj i nie nad fiordem... - Urwała z nadzieją, że Eric coś powie, ale się nie doczekała. - Skoro tak, niech ci będzie. Przyjmijmy, że mówisz prawdę, choćby po to, by zrobić następny krok.

Znowu to samo krótkie skinienie głowy, które trudno uznać za odpowiedź - ale też o nic nie zapytała. Na razie.

- Cofnijmy się, wobec tego, do początków.

- Do początków? - Eric spojrzał na nią ze zdumieniem.

- Tak jest. - Miała ochotę krzyknąć z rozpaczy. - Skoro nie chcesz przyznać, że mój brat żyje, powiedz mi, czego się dowiedziałeś po tym, jak zaginął, a ty zacząłeś szukać odpowiedzi na pytanie, co się z nim stało.

- Niczego się nie dowiedziałem ponad to, że nie żyje.

- Rozumiem. Ale jaką śmiercią umarł?

- Jestem pewny, że ojciec musiał ci wyjaśnić.

- Owszem, ale chcę to usłyszeć od ciebie. Proszę.

Eric patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem położył ręce na stole.

- Prawda o Valbrandzie wygląda dokładnie tak, jak ci to powiedział twój ojciec. Valbrand postanowił ruszyć szlakiem wikingów na tyle, na ile to możliwe w dzisiejszych czasach. Każdy książę, który zamierza wysunąć swoją kandydaturę do tronu podczas następnej elekcji, musi odbyć taką podróż. Tak nakazuje tradycja. To spuścizna po dawnych wiekach, kiedy królowie sami wypływali w morze. Jak powiada stare porzekadło, „przeznaczeniem królów jest honor, nie długie życie”. Dlatego też Valbrand, wraz z zaufaną załogą, wypłynął w rejs na wiernej rekonstrukcji łodzi wikingów. Trasa wiodła z portu w Lysgardzie na Szetlandy, a stamtąd do Islandii. Po drodze, gdzieś na północnym Atlantyku, zaskoczył ich sztorm, w trakcie którego fala zmyła twojego brata z pokładu, i wszelki ślad po nim zaginął.

- Skąd pewność, że tak rzeczywiście było?

- Odnalazłem ludzi, którym udało się przeżyć, i rozmawiałem z nimi. Powiedzieli mi to, co już wszyscy wiedzą. Wysłuchałem ich relacji i każda kolejna potwierdzała poprzednią. Te opowieści pasowały do siebie i układały się w logiczną całość. Jak ci już sto razy mówiłem, nie ma żadnych wątpliwości, że Valbrand zginął podczas sztormu. - Pochylił się nad stołem. - Tak to wygląda. Jesteś wreszcie zadowolona?

-Nie. Z gardła Erica wyrwał się groźny pomruk.

- Kiedy porzucisz te idiotyczne nadzieje, że uda ci się ożywić nieboszczyka?

Idiotyczne? Brit wychyliła się do przodu. Miała wrażenie, że powietrze między nimi naładowane jest elektrycznością. Jeszcze chwila, a zacnie iskrzyć.

- Powiem ci, że twój ojciec, a także mój, wysłali mnie tu po to, bym spróbowała się dowiedzieć, co stało się z moim bratem.

- Tak ci powiedzieli?

- Co to ma znaczyć? - uniosła się Brit, marszcząc gniewnie brwi. - Po co innego bym tu jechała? - Urwała, a on patrzył na nią dziwnym wzrokiem, z przekrzywioną głową. - Na wypadek gdybyś zapomniał, katastrofa mojego samolotu była skutkiem sabotażu. A potem ten młodociany przestępca z kuszą. Sif mówiła, że to renegat. Czy aby na pewno? A może to ktoś nasłany przez tych, którzy uszkodzili mój samolot? Miał mnie dobić, bo przeżyłam katastrofę?

- To był renegat - cierpliwie tłumaczył jej Eric - z bandy grasującej po Vildelundzie, mordującej i siejącej popłoch.

- Chcesz mi wmówić, że stałam się przypadkową ofiarą tutejszego odpowiednika ulicznej strzelaniny? Wolne żarty! Jeżeli myślisz, że kupię tę bajeczkę, to się grubo mylisz.

- To był renegat - powtórzył z naciskiem Eric. - Sam z nim rozmawiałem, zanim go zesłałem do najdalej wysuniętej na północ osady, gdzie go nauczą tak mu potrzebnej dyscypliny.

- Mogę wiedzieć, jak ci się to udało?

- Ale co?

- Musiałeś mnie przecież wyciągnąć stamtąd, a także wysłać chłopaka na północ. Ja tylko próbuję sobie wyobrazić, jak sobie z tym poradziłeś.

- Nie byłem sam. Byli ze mną ludzie z tamtej wioski. To oni zabrali go na północ.

- Nie widziałam tam ludzi. No, może prócz mojego brata, całego w czerni i w masce.

- Twój brat nie żyje. Nie mógł tam być.

- Ale był. Było was tylko dwóch - ty i on. I nikt więcej. Eric wzruszył ramionami.

- Byli tam moi ludzie, bez względu na to, czy ich widziałaś, czy nie. Oczywiście samolot się rozbił, ale to nie znaczy, że to był sabotaż.

- To była nowa maszyna w doskonałym stanie. Poziom oleju nie mógł sam z siebie spaść do zera.

- Może pompa tłocząca nie działała jak trzeba? A jeśli chodzi o powody, dla których wysłał cię

tu twój ojciec, a także mój, znamy je oboje. Wystarczy, że spojrzysz na medalion, który nosisz na szyi, a odgadniesz ich intencje.

Brit zeszywniała. Uniosła rękę i dotknęła łańcuszka. Palce jej zamknęły się wokół ciepłego metalowego krążka.

- O czym ty mówisz? Dał mi go twój ojciec, mówiąc, że to na szczęście, by mnie strzegł od wszelkiego zła.

Eric znów spojrzał na nią nieodgadnionym wzrokiem. Na jego ustach igrał lekki półuśmiech.

- Naprawdę się nie domyślasz?

- O co chodzi? - zapytała, a kiedy milczał, dorzuciła podniesionym głosem: - Mów!

I wtedy jej powiedział:

- Medalion należy do mnie. Mój ojciec dał ci go, żebym mógł cię rozpoznać jako przyszłą żonę.

Rozdział 5

Powinna się domyślić? Pewnie tak.

- Widzę, że zostałam wprowadzona w błąd - powiedział cicho Eric. Brit ścisnęła mocniej medalion i patrzyła na niego bez słowa. - My, mistycy, jesteśmy bardziej przywiązani do tradycji niż ludzie z południa - ciągnął łagodnym tonem. - Dla nas małżeństwo to przede wszystkim przywierze dwóch rodzin. W minionym tysiącleciu ojciec pana młodego zwyczajowo ofiarowywał przyszłej synowej ślubny medalion, wykuty w srebrze w pierwszych miesiącach po narodzinach syna. Każdy medalion jest inny, bo został wykonany na specjalne zamówienie. - Przerwał na chwilę, lecz nadal patrzył jej w oczy. A potem, mimo iż trzymała medalion w zaciśniętej dłoni, zaczął mówić, jakby miał go przed oczyma: - Na tym jest koło podzielone na cztery części; wijący się stwór, może wąż, okręcający się wokół korzeni drzewa życia i scalający wszystkie dziewięć światów. Cztery zwierzęce głowy... A może to wymyślone, mityczne zwierzęta? A pośrodku równoramienny łamany krzyż, strzegący od wszelkiego zła. Tak miał jakoby twierdzić święty Jan. Wiedziałaś o tym?

Wiedziała, oczywiście. Od Medwyna, bo tyle jej powiedział. Jednak nic ponad to.

- Medalion, który nosisz na szyi, wisiał na ścianie nad moją kotłyską - ciągnął Eric. - Jako dziecko nosiłem go zawsze przy sobie. Gdy skończyłem osiemnaście lat, oddałem go ojcu, by go przekazał kobiecie, którą mam poślubić. To ty jesteś tą kobietą, Brit.

Dopiero teraz Brit rozumiała, dlaczego wcześniej tego się nie domyśliła. Po prostu nie chciała przyjąć tego do wiadomości. Była pewna, że ojciec oraz jego wielki doradca wierzą nie tylko jej, ale i w nią. Sądziła, że rozumieją jej racje i popierają zamiar odnalezienia brata lub, w najgorszym przypadku, poznania prawdy o jego śmierci. W swojej naiwności uwierzyła, że uszanują jej misję - bo to była przecież misja.

Jednak, jak się okazało, wyłącznie w jej oczach. Bo dla nich, czyli dla jej ojca, dla Medwyna, a także dla siedzącego naprzeciw niej atrakcyjnego młodego człowieka, była tylko kobietą. A zdaniem zbyt wielu mężczyzn, nie tylko w Gullandrii, kobietę można traktować poważnie tylko jako potencjalną kandydatkę na żonę.

- Wyjaśnijmy to sobie. - Starła się mówić cicho i spokojnie. - Istotnie Medwyn i mój ojciec wysłali mnie tu po to, żebym za ciebie wyszła? O mały włos nie straciłam życia w katastrofie lotniczej, zginął mój przewodnik, ktoś chciał mnie dobić, strzelając do mnie z kuszy, a ty mi próbujesz wmówić, że w tle słychać weselne dzwony?

- To niezwykle ważne, kogo się poślubia. Od tego mogą zależeć losy naszego kraju.

- Nie przyjechałam tu po to, żeby szukać męża.

- Ale go dostaniesz.

- Nie możesz mnie zmusić do małżeństwa.

- Myślę, że nie będę musiał tego robić.

Brit zerwała się gwałtownie od stołu, przewracając ławę. Hałas upadającego mebla sprawił jej przewrotną przyjemność.

- Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać: Nic z tego nie będzie.

Eric zasepił się.

- Jesteś zła?

Delikatnie mówiąc, niedopowiedzenie.

- Owszem.

- Z czasem się pogodzisz...

- Hola, hola! - Podniosła rękę. - Nie waż się mówić mi, z czym się pogodzę.

Erie nie ruszył się z miejsca. Siedział po drugiej stronie stołu, patrząc na nią wzrokiem tak pobłażliwym, że miała ochotę udusić go gołymi rękami.

- Może chciałabyś teraz odpocząć? - zapytał. Odpocząć po takiej rozmowie?

- Może.

Wstał od stołu i powiedział:

- Boję się, że jeżeli zostaną, skończy się to awanturą.

- Nie żartuj! - krzyknęła. - I nie waż się jeszcze wychodzić, słyszysz!

Ale on szedł już ku drzwiom. Rzuciła się za nim.

- Nie wyjdiesz stąd! Jeszcze nie. Póki nie wysłuchasz tego, co mam do powiedzenia. - Chwyliła go za rękę.

Popełniła błąd. I to poważny.

Poczuła dziwne mrowienie i ogarnęła ją fala gorąca. Było to uczucie groźne, a zarazem cudowne. Nawet o tym nie myśl, powiedziała sobie. Szarpnęła Erica za rękę i zmusiła, by stanął z nią twarzą w twarz, a wtedy spojrzała mu prosto w te jego hipnotyzujące oczy.

- Mój brat żyje. Ja to wiem. Widziałam go. Tu, w tej izbie. Stał przy moim posłaniu i nazwał mnie twoją narzeczoną. Powiedz mi, jak mogłabym to sobie wymyślić, skoro aż do tej pory nie miałam o niczym pojęcia?

Ericowi nawet nie drgnęła powieka.

- Serce wie pewne rzeczy wcześniej niż umysł.

- Och, nie wciskaj mi tego waszego mistycznego kitu. Valbrand żyje. Przyznaj wreszcie, że mam rację.

- Sama się oszukujesz.

- Lewa strona jego twarzy jest cała w bliznach. Straszliwie zeszpecona. Jak do tego doszło?

- Myśl lepiej o tym, co jest naprawdę ważne.

- Mój brat. Tylko on się liczy. Jestem tu po to, żeby go odnaleźć.

- Twój brat nie żyje. Musisz się z tym wreszcie pogodzić. A ty znalazłaś się tu dlatego, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Jesteś moja, a ja twój. To już dawno zostało zapisane w gwiazdach, Brit.

- Jestem twoja? Przecież nawet cię nie znam.

- Ale z czasem mnie poznasz.

- Nie.

- Jesteś odważna i silna - ciągnął Eric. - Inteligentna, choć czasami zbyt impulsywna wtedy, gdy przydałoby się więcej cierpliwości. Obserwowałem cię, kiedy bawiłaś się z wnukami Asty. Lubisz dzieci i masz dobre serce. Patrzenie na ciebie sprawia mi przyjemność. No i jesteś w odpowiednim wieku do rodzenia, choć prawdę mówiąc, mogłabyś być trochę młodsza.

- Do rodzenia? W odpowiednim wieku?

- Ogólnie rzecz biorąc, jestem bardziej niż zadowolony z wyboru mojego ojca. Poznają też po

twoim spojrzeniu i przyspieszonym oddechu, gdy się do ciebie zbliżam, że nie jestem ci tak do końca wstrętny.

- Przecież to jakiś obłąd!

- Nie. Tak właśnie miało być. Naszym przeznaczeniem jest być razem, jako mąż i żona.

Brit puściła rękę Erica i cofnęła się, uważając, by się nie potknąć o przewróconą ławę.

- Posłuchaj, moim przeznaczeniem nie jest być uwiązaną do kogokolwiek. Potrzebuję wolnej przestrzeni. Jeśli się kiedyś ustatkuję, to na pewno grubo po trzydziestce. Ale wtedy nie będę już w odpowiednim wieku do rodzenia, prawda? Z twojego punktu widzenia będę bezużyteczna.

Eric pokazał w uśmiechu śnieżnobiałe zęby.

- Rozumiem twoje racje. Byłem zbyt obcesowy, ale sprawiły to miesiące spędzone na odludziu.

Zawsze też jest możliwe, że z naszego związku nie będzie dzieci. Na pewno się jednak zwiążemy

- w swoim czasie. Tyle wiem. - Uśmiech zniknął z jego twarzy. - Mam wrażenie, że powiedziałem za dużo i za wcześnie. Nie dojrzałaś jeszcze do tego, by przyjąć prawdę.

Brit wciągnęła głośno powietrze do płuc, a potem je powoli wypuściła.

- Słyszałeś moje westchnienie? To znaczy, że nic z tego nie będzie. Ani teraz, ani nigdy.

- Właśnie, że będzie.

- Nie!

Eric przysunął się bliżej. Powoli, by jej nie wystraszyć. To złe, bo gdyby poruszył się szybciej, może by się cofnęła.

A tak - stała nadal w miejscu. Aż nagle znalazł się tuż przed Brit i ujął jej dłoń.

A potem wolno uniósł ją do ust.

Zaskoczona, pozwoliła mu na to. Gdy poczuła na skórze jego usta, wstrząsnął nią dreszcz.

- Nie! - Odskokczyła, chowając rękę za siebie. - Nie! Wykluczone!

Eric nie sięgnął po raz drugi po jej dłoń.

Stali i patrzyli na siebie w napięciu.

Z oczu Brit biła wściekłość. Gniewny grymas wykrzywił jej pełne usta. Eric pomyślał, że chętnie by je pocałował. Jednak się powstrzymał. Miał parę dni, by przyjrzeć się Brit, żeby ją poznać i podziwiać. Miał czas, by przyjąć do wiadomości, że ta kobieta jest mu przeznaczona. A ona dowiedziała się o tym parę minut temu. Czy w tej sytuacji można jej się dziwić, że nie jest jeszcze gotowa na pocałunki? Wyjawiał jej nawet więcej, niż powinien. Na razie wystarczy. Podeszedł do drzwi, włożył kurtkę, a potem zdjął strzelbę z haka.

Wtedy usłyszał jej głos:

- Poczekaj!

Odwrócił się powoli, kierując lufę w dół, ku podłodze.

- Nie wyjdę za ciebie, Ericu. - Wyciągnęła ku niemu rękę, w której połyskiwał medalion. Gruby łańcuszek zwisał jej pomiędzy palcami. - Chcę, żebyś to wziął. Daj to właściwej kobiecie, kiedy taka się zjawi.

Omał się nie roześmiał.

- Ona już się zjawiła.

- Eric! - krzyknęła.

Pomyślał, że nic nie zyska, jeśli zostanie dłużej. Szarpnął drzwi i wyszedł na dwór.

Brit została sama, ze srebrnym medalionem połyskującym w wyciągniętej ręce.

Nie szkodzi, pomyślała, zaciskając palce na srebrzystym krążku. Nie chce go od niej wziąć, to nie. Ona i tak mu go zwróci.

Podeszła do posłania Erica i upuściła medalion na futra, po czym szybko się odwróciła, tłumiąc w sobie uczucie żalu, że musi się z nim rozstać. Potem podniosła przewróconą ławę i usiadła, żeby założyć buty. Na koniec zdjęła kurtkę z wieszaka. Najbardziej jest jej teraz potrzebny długi

spacer. Dobrze jej zrobi solidna, oczyszczająca dawka rzeńskiego powietrza.

Położyła dłoń na klamce i zawahała się. Spacerowanie środkiem wsi, ze sztucznie przyklejonym uśmiechem, nie ma sensu. Potrzebowała otwartej przestrzeni i oddalenia od ludzi. Jeśli jednak zamierza wypuścić się poza skupisko chat, tworzących tę wioskę, lepiej wziąć ze sobą broń. Z tego co słyszała, nie można było wykluczyć spotkania z bandami renegatów. Trafiły się też wilki, a nawet niedźwiedzie. Nie mówiąc już o legendarnych dzikich kotach - i Bóg wie czym jeszcze.

Przezorny zawsze ubezpieczony. Wyjęła pistolet z plecaka, załadowała go, wsunęła do kabury pod pachą i dopiero wtedy włożyła kurtkę i wyszła za próg.

Na dworze było zimno. Pomacała w kieszeni i znalazła torebkę drażetek, którą otworzyła, nim wypełzyła z roztraskanego samolotu. Wyjęła jedną - czerwoną - i wsunęła ją do ust. Pycha! Może będzie miała ochotę na więcej. Może nawet zje je wszystkie w trakcie spaceru? Urządzi sobie czekoladowo-orzechową ucztę, by uspokoić rozedrgane nerwy i zebrać myśli. Przesypała cukierki do kieszeni kurtki, a pustą torebkę zmięła i wsunęła do kieszeni dzinsów, by ją później wrzucić do ognia.

Sprawiła kolejne kieszenie i znalazła wełnianą opaskę oraz parę czerwonych wełnianych rękawiczek. Założyła je, i ssąc słodką drażetkę, skręciła na tyły domu. Uprzymolniła sobie, że już zaczyna jej być źlej na duchu.

Za chatą i jakieś dziesięć metrów za spiżarnią, odkryła małą stodołę. Po jej obu stronach, na ogrodzonym terenie, pasło się kilka koni. Jeden z nich - źrebak z szarym znamieniem pomiędzy ciemnymi oczyma - odwrócił się, by na nią popatrzeć, gdy wspięła się na płot i zeskoczyła po drugiej stronie. A potem parsknął, wypuszczając obłoczek pary, potrząsnął śnieżnobiałą grzywą i znów zabrał się za skubanie trawy. Pozostałe konie nie zwróciły na nią najmniejszej uwagi.

Pomyślała, że to dobrze, iż znów jest na dworze, i to sama. Złocisty rąbek słońca wysuwał się zza krawędzi wzgórz, brunatna, zmarznięta trawa skrzypiała pod butami, mroźne powietrze wypełniało płuca, a rozciągający się przed nią bezkres zieleni, zdawał się zapraszać ją do wędrówki.

Podszła do tylnego ogrodzenia i wspięła się na nie. Poczwała lekki ból, bo lewe ramię wciąż miała nieco zeszywniałe i mniej sprawne. Kiedy zeskoczyła na drugą stronę, od gęstego lasu otaczającego wioskę i porastającego okoliczne wzgórza dzieliło ją najwyżej dziesięć metrów.

Przystanęła i wcisnęła guzik kompasu w zegarku. Za rosnącymi przed nią drzewami była północ, natomiast do domu Asty trzeba było iść w kierunku południowym. Pomyślała, że może się bez obawy przejść po lesie, musi tylko pilnować stron świata i uważać na napaśników - ludzkich czy innych. Zanurzyła się w cień strzelistych drzew. Pod jej stopami rozpościerał się mięsisty dywan brunatnych igieł.

Natychmiast odczuła spadek temperatury. Oddech jej zamienił się w biały obłoczek. Otuliła się szczelniej kurtką i przyspieszyła kroku, żeby się rozgrzać.

Ponad jej głową zdziwiona wiewiórka zamachała puszystym ogonem, a potem przeskoczyła na sąsiednie drzewo i po brązowym pniu pobiegła w górę, aż zniknęła jej z oczu.

Brit czuła się już znacznie lepiej. Jak przyjemnie było pobyc przez chwilę samej, na świeżym powietrzu, mając za całe towarzystwo szumiące drzewa i skrzeczące, ruchliwe wiewiórki.

Czekolada na drażetce rozpuściła się i został orzeszek Brit rozgryzła go i przeżuła na miazgę, którą powoli przełknęła. Pomyślała, że jej sytuacja przedstawia się niezbyt ciekawie. Jest Eric, zbyt seksowny i kuszący z tym swoim przekonaniem, że są sobie przeznaczeni. Jest też Asta oraz jej synowe, rzucające jej wymowne spojrzenia, ilekroć padało imię Erica. A co najgorsze, jest ojciec, który ją oszukał, udając, że rozumie i popiera cel wyprawy. Choć nie, jeszcze gorsza była sama wyprawa - poszukiwanie zaginionego brata i świadomość, że utknęła w martwym punkcie, gdy przecież była przekonana, że cel jest tuż-tuż.

- Ściągaj to, kotku!

Brit stanęła bez ruchu na cienistej ścieżce. Dochodzący z góry głos niewątpliwie należał do młodego mężczyzny.

- Nie jestem twoim kotkiem, prostaku. To mówiła dumna kobieta.

Rozległ się głośny śmiech, a potem inny męski głos, młody jak ten pierwszy, ale bardziej nosowy, powiedział:

- Mamy cię. Poddaj się.

- Nigdy w życiu.

Cisza. A potem nieprzyjemny odgłos pięści uderzającej w ciało, stęknienie i odgłosy bójki.

- Trzymaj ją, Trigg!

- Niech ją diabli. Jest śliska jak rozłuszczona wydra. Kolejna seria ciosów i głuchych stęknień.

Brit nie lubiła

strzelać w rękawiczkach, ale tym razem nie było czasu na to, by je zdjąć. Błyskawicznie sięgnęła po broń, odbezpieczyła i trzymając ją w pogotowiu, zaczęła się czołgać w kierunku, z którego dochodziły odgłosy walki. Za kolejnym zakrętem ścieżki natknęła się na dwóch chłopaków - niewątpliwie renegatów.

Atakowali młodą kobietę, ubraną podobnie jak oni, w skóry i wysokie sznurowane buty. Kobieta próbowała wyrwać się z uścisku większego chłopaka, podczas gdy ten drugi szarpał jej ubranie.

Gwałt? Najwyraźniej tak!

Z sercem w gardle, Brit wkroczyła do akcji. Co innego mogła zrobić? Wyszła na otwartą przestrzeń, trzymając oburącz wycelowaną broń.

- Stać! I to już!

Zaskoczeni napastnicy zastygli, a potem się odwrócili.

- A ty kim jesteś? - zapytał ten z nosowym głosem. Brit dała im znak lufą.

- Ręce do góry! Jazda!

Napastnikom zrzędył miny. Potulnie, choć z ociąganiem zrobili, co kazała.

- Na ziemię! - rozkazała. - Twarzą w dół. - Położyli się na płask. - Rozłożyli szeroko ręce. Nogi też. - Bez protestu posłuchali.

Kobieta z potarganym jasnym warkoczem i zasłoniętą do połowy twarzą nawet nie spojrzała na Brit. Stała niewzruszona, jakby to, co ją spotkało, nie zrobiło na niej najmniejszego wrażenia.

- Zwiążę ich - rzuciła. Brit nie oponowała.

- To dobry pomysł.

Kobieta, mniej więcej jej wzrostu, sięgnęła po leżący na ziemi plecak. Przykłęka i, podczas gdy Brit trzymała młodych mężczyzn na muszce, wyjęła skórzaną linkę i zreżnie związała im ręce i nogi.

Kiedy skończyła, wstała i splunęła pogardliwie na ziemię, pomiędzy obu niedoszłych gwałcicieli.

- Dobrze im tak. Będą mieli nauczkę. - Odgarnęła włosy z twarzy i po raz pierwszy spojrzała na Brit.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Brit.

Kobieta miała rozciętą dolną wargę, podrapany policzek i siniec na brodzie. Lecz to nie jej obrażenia sprawiły, że Brit przyglądała się jej, zdumiona.

Kobieta wyglądała zupełnie jak Ingrid Freyasdahl Thorson na zdjęciach w starych rodzinnych albumach. Wykapana matka Brit sprzed dwudziestu kilku lat.

Jak to możliwe?

- Księżniczka Brit? - Kobieta uśmiechnęła się do Brit, a w jej oczach o barwie morskiego błękitu pojawił się błysk.

- Nie odpowiadaj - rzuciła. - Nie trzeba. Wystarczy na ciebie popatrzeć. Będzie co opowiadać

przy ogniu, w długie zimowe wieczory. Bogowie muszą być z nas zadowoleni, skoro postawili cię na naszej drodze.

- Jak to naszej?

W tym samym momencie za plecami Brit inna kobieta powiedziała:

- Proszę rzucić broń, Wasza Wysokość, bo inaczej, będę zmuszona wypuścić strzałę prosto w twoje serce.

Rozdział 6

Trzymając jedną rękę w górze, Brit ostrożnie położyła broń na ziemi. Nie przestając się uśmiechać, kobieta, która wyglądała zupełnie jak jej matka, podbiegła, podniosła rewolwer i wycelowała go w Brit.

- Mam ją, Grid.

Druga kobieta - Grid? - zaszła Brit od przodu. Opuściła łuk z założoną strzałą. Była znacznie starsza od swojej towarzyski, miała ciemne włosy przyprószone siwizną, szerokie ramiona i krzepkie nogi.

- Na wilki Odyna, Rindo - powiedziała. - Nie można cię zostawić samej nawet na minutę.

Rinda wzruszyła ramionami.

- Nic mi się nie stało. Poza tym popatrz, kto mi pospieszył z pomocą.

- O to nie mam do ciebie pretensji - powiedziała Grid. Brit chrząknęła.

- Posłuchajcie, jestem po waszej stronie. Nie musicie odbierać mi...

- Cisza! - warknęła Grid.

- Ale ja tylko...

Trzy słowa. Tyle tylko udało jej się powiedzieć, zanim Grid grzbietem dłoni wymierzyła jej policzek. Brit obróciła się wokół własnej osi, a potem wylądowała na ziemi, twarzą w pyłe.

- Wstań! - warknęła Grid. - Nie waż się więcej odzywać pierwsza.

Brit poczuła, że ma prawą połowę twarzy kompletnie zdrętwiałą. Fantastycznie. Podniosła ręce i spróbowała uklęknąć. Jej prawa dłoń natrafiła na kilka twardych kulek - drażetek orzechowych - które wypadły jej z kieszeni. Nim wstała, nakryła je rękawiczką i ukryła w zaciśniętej dłoni. Żadna z kobiet tego nie zauważyła. To dobrze. Te cukierki były jej bardzo potrzebne. Na stres nie ma przecież lepszego lekarstwa niż słodki smak orzechowych drażetek...

Eric sprawdził wszystkie pułapki, które wcześniej zastawił w lasach otaczających wioskę, i w jednej z nich znalazł polarnego lisa. Po namyśle puścił go wolno, karcąc się w duchu za zbyt miękkie serce.

Potem, licząc na to, że jego uparta narzeczona zdążyła trochę ochłonąć, wrócił do domu ciotki. Zastał tam trzy kobiety przy piecu, zajęte szyciem, oraz bawiące się grzecznie dzieci. Brakowało tylko jednej osoby.

Tej najważniejszej.

Asta i jej synowe podniosły głowy znad robótek i zobaczyły, że jest sam. Zapadła ciężka cisza, którą w końcu przerwała Asta:

- Gdzie Brit?

- Błit - odezwała się mała Mist. Dziewczynka siedziała na podłodze obok posłania Erica. - Błit posła na spacełek.

Eric zasepił się.

- Jak to? Przecież tu była, kiedy wychodziłem. Kobiety wymieniły szybkie spojrzenia.

- Myślałyśmy, że jest z tobą - powiedziała Sif.

Eric spojrział na wieszak przy drzwiach. Niebieska kurtka Brit zniknęła. Nie było też jej butów.

Kobiety zaczęły kręcić głowami.

Mist wstała, wspięła się na palce i wyjęła coś spomiędzy futer na posłaniu. A potem wyciągnęła rączkę, w której trzymała srebrny łańcuch ze ślubnym medalionem.

- Zobacz, to moje.

Eric podszedł do małej i ukląkł przed nią.

- Nie, Mist, to moje.

Mist wydeła różowe usteczka, a potem z westchnieniem oddała mu srebrny wisior.

- Masz.

Eric mrugnął do dziewczynki, chwycił medalion, zawiesił go sobie na szyi, a metalowy krążek wsunął pod skórzaną koszulę. Gdy Brit zechce go przyjąć z powrotem, będzie na nią czekał, rozgrzany od jego ciała i naładowany energią, jaką może jej zaoferować jego serce.

Najpierw jednak musi odnaleźć tę niesforną kobietę.

Asta i żony jego kuzynów patrzyły na niego wyczekująco.

- Asta - powiedział. - Zostań z dziećmi. A wy, Sif i Sigrid, chodźcie ze mną i pomóżcie mi odnaleźć zbiegłą narzeczoną.

Przeszukali całą wieś, pukali do wszystkich drzwi, zajrzeli do łaźni i pralni, sprawdzili także stodoły oraz inne budynki gospodarcze. Potem wrócili do domu. Dzieciaki grzecznie bawiły się przed chatą, na kamiennych schodkach.

Asta wezwała do środka samego tylko Erica.

- Przyszła wiadomość - powiedziała.

Mist siedziała pod stołem i kołysała szmacianą lalkę.

- Całny Łycez - oświadczyła, śmiejąc się radośnie.

- W lasach tuż za naszym pastwiskiem znajdziesz dwóch renegatów - powiedziała Asta. - Mają skrępowane ręce i nogi - i mają też co opowiadać.

Kobiety jechały konno, na oklep. Brit, ze związanymi z przodu rękami, siedziała przed kobietą imieniem Rinda. Grid prowadziła.

Z ich skąpych wyjaśnień wywnioskowała, że zabierają ją do swojego obozowiska. Wiadomość o niedawnym przyjeździe Brit rozeszła się po całym Vildelundzie, a one zostały wysłane na jej poszukiwanie.

Nie trzeba być kandydatem do Mensy, żeby się domyślić, kim były. Każdy, kto wiedział cokolwiek o Gullandrii, musiał słyszeć o *kvina soldars* - wojowniczym plemieniu kobiet, zamieszkującym Vildelund. Kobiety te były waleczne i niezależne, i nigdy nie wiązały się z mężczyznami. Brit jako mała dziewczynka uwielbiała słuchać opowieści matki o *toina soldars*. W miękkim matczynym łóżku, w ich domu w Sacramento, marzyła o tym, by pojechać do kraju ojca, na daleką północ, i stanąć z nimi oko w oko.

Mądrzy ludzie powiadają, że należy ostrożnie formułować życzenia.

Brit siedziała z przodu, na grzbiecie krępej klaczy. Z tyłu czuła ciało kobiety, tak bardzo podobnej do jej matki. Od ponad godziny jechały na północny wschód.

Zgodnie z rozkazem Grid zachowywała się bardzo spokojnie. Poddawała się powolnemu rytmowi niosącego ich konia. Jazda konna była dla niej czymś równie naturalnym jak oddychanie. Całą pracę wykonywały nogi, tak że nawet ze skrępowanymi rękoma nie miała kłopotu z utrzymaniem się na końskim grzbiecie. Wczepiła palce w końską grzywę, aby zachować równowagę. Słuchała szumu wiatru w koronach drzew, czuła na plecach ciepło kobiety, która mogła być jej nieznaną kuzynką, i starała się nie martwić.

Zresztą, chyba nie musiała. Gdy wcześniej popatrzyła w oczy Rindzie i Grid, nie dostrzegła w nich cienia okrucieństwa. Były to kobiety mądre, silne i waleczne. Dowodem na ich wrodzoną przyzwoitość było to, jak postąpiły z dwoma złapanymi chłopakami.

Z tego, co Brit zdążyła się dowiedzieć, gdy próbowała poznać bliżej ludzi z kraju ojca, gwałt był

dla *toina soldars* zbrodnią, za którą wymierzały karę śmierci. I nie tylko to. Po zabiciu gwałciciela wojowniczką często obcinały mu głowę oraz męskie organy.

Zgodnie z ich tradycją Grid i Rinda miały święte prawo zabić obu napastników. Nie zrobiły tego jednak, tylko postanowiły zostawić ich na łaskę losu. Zważywszy na okoliczności, Brit uznała to za wyjście bardziej niż rozsądne.

Mniej rozsądna była natomiast decyzja, by ją uprowadzić. Nie zrobiła przecież nic złego. Wręcz przeciwnie, pospieszyła jednej z nich z pomocą. Mogłyby okazać choć odrobinę wdzięczności i pozwolić, by w spokoju wróciła do domu Asty.

Tymczasem one, wbrew jej woli, zabrały ją ze sobą, gdyż ich przywódczyni zażyczyła sobie z nią porozmawiać. Miały za zadanie doprowadzić do tego spotkania. Życzenie Brit było dla nich niczym.

W górze rozległ się krzyk drapieżnego ptaka. Brit podniosła głowę i zobaczyła jastrzębia krążącego po błękitnym niebie. Zupełnie jak tam, nad Drakveden, w dniu, w którym zaczęła się jej wielka przygoda.

Przypomniała sobie twarz Erica, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy w życiu, i jego pełne niepokoju spojrzenie, gdy patrzył na nią, leżącą na skalistej ziemi, ranną i prawie nieprzytomną. Teraz to ona się o niego niepokoiła, gdyż przeczuwała, że będzie obwiniał siebie za jej zniknięcie.

Ich kłótnia w chacie wydawała się obecnie bez znaczenia. Cóż z tego, że uważał, iż są sobie przeznaczeni? Niech dalej tak myśli. Teraz liczy się tylko to, że Eric Greyfell jest człowiekiem odpowiedzialnym, który poważnie traktuje obowiązki. Skoro uznał, iż jego zadaniem jest zapewnić jej bezpieczeństwo, będzie się zadreślał myślą, że zawiódł.

Oczywiście pojedzie za nią, to znaczy, pojechałby, gdyby wiedział, gdzie jej szukać. Robiła co mogła, by mu to ułatwić, choć wątpiła, by jej wysiłki przyniosły jakikolwiek skutek.

W myślach nazwała to taktyką Jasia i Małgosi. Zamiast okruchów chleba upuszczała na ziemię orzechowe drażetki. Jak na razie wyrzuciła trzy. Jedną na polanie, tuż przed odjazdem, drugą jakieś dwadzieścia minut później, a trzecią po kolejnych kilku minutach.

To śmieszne spodziewać się cudów po trzech drażetkach, ale przynajmniej działała.

Niestety, drażetki się skończyły.

Po raz pierwszy od chwili, w której Grid uderzyła ją za to, że odezwała się pierwsza, odważyła się przemówić.

- Hm, przepraszam, ale pilnie muszę iść za potrzebą.

Ani Grid, ani Rinda nie odpowiedziały. Konie kontynuowały mozolną wspinaczkę. Minęło jakieś pięć minut. Brit zaczynała się zastanawiać, kiedy znowu będzie mogła się odezwać, gdy Grid się zatrzymała.

- Tam - rzuciła, wskazując kępę zarośli przy ścieżce. - Ulżyj sobie, ale żadnych gwałtownych ruchów. Będziemy cię miały na oku.

To okropne. Czy powinna je poprosić, żeby rozwiązały jej ręce? Jeżeli to zrobią, i tak zaciągną więzy ponownie, zanim wsiądzie na konia. A przy okazji mogą odkryć jej drobny podstęp.

Weszła w krzaki. To w sumie zabawne doświadczenie zdejmować spodnie, mając ręce nie tylko związane, ale jeszcze w grubych wełnianych rękawiczkach. Zabawne, ale i dosyć skomplikowane.

Jednak to długie wiercenie się i kręcenie stworzyło jej szansę, by niepostrzeżenie sięgnąć do kieszeni kurtki i wyjąć to, co trzeba.

Parę minut później siedziała na końskim grzbiecie, ale odczekała jeszcze chwilę, nim z zaciśniętej pięści wypuściła kolejną drażetkę.

Po dwudziestu minutach od ostatniego postoju dotarli na szczyt wzgórza. U ich stóp z bocze

opadało stromo w dół, tworząc głęboki, zarośnięty drzewami wąwóz. Zaczęły posuwać się na dół, kierując się na zachód, a potem zawróciły na wschód i krętą ścieżką zeszyły na dno wąwozu. Przeprowiły się przez rwący strumień i zaczęły wspinać się w górę. Gdy dotarły na szczyt, czekała je przeprawa przez kolejny wąwóz - i tak dalej, przez wiele godzin.

Wreszcie, późnym popołudniem, zjechały ze zbocza nie wiadomo którego już wzgórza i ruszyły na wchód płaskim dnem zalesionej doliny. Brit wypuściła z zaciśniętej pięści przedostatnią już drażetkę.

Po upływie jakichś dziesięciu minut - była już wtedy taka zmęczona, że nie chciało jej się nawet patrzeć na zegarek - z zarośli wyłoniła się kobieta ubrana podobnie jak Grid i Rinda. Ujęła się pod boki i stanęła wprost przed nimi.

- Witam was, siostry.

Grid zatrzymała się i zaszalutowała, dotykając czoła koniuszkami palców.

- Niech Freja prowadzi twój miecz, a Fulla strzeże twego serca.

- Widzę, że wam się udało. Macie ją - powiedziała kobieta na ścieżce.

- Tak.

- Wobec tego chodźmy. Ragnilda czeka. - Odwróciła się i zniknęła między drzewami. Grid, Rinda i Brit ruszyły w ślad za nią.

Parę minut po tym, jak skręciły z głównego traktu, Brit upuściła ostatnią drażetkę.

Jadąc, przez cały czas musiały się nisko nachylać, by grube konary drzew nie strąciły ich końskiego grzbietu. Trwało to jeszcze około pięciu minut, aż wreszcie dotarły do sporej polany - obozowiska *kvina soldars*.

Brit zobaczyła krąg szpiczastych namiotów, przypominających indiańskie. Z każdego z nich wąską smużką unosił się dym. Prócz palenisk wewnątrz, każdy namiot miał swoje ognisko przed wejściem, otoczone kamieniami. Za namiotami spętane konie skubały krótką trawę. Wojowniczkami, w różnym wieku, krążyły po placu. Niektóre były czarnoskóre, inne miały wyraźne azjatyckie rysy, a część miała jasną cerę. Kręciło się tam też trochę psów. I były również dzieci, z których dwójka, przynajmniej na pierwszy rzut oka, wyglądała na chłopców. W samym środku obozowiska wbito pal, gruby na jakieś trzydzieści centymetrów i wysoki na dwa metry.

Grid zeskoczyła z konia.

- Zsiadaj! - odezwała się z tyłu Rinda.

Zesztywniała po tylu godzinach spędzonych na końskim grzbiecie, Brit z trudem ześlizgnęła się na ziemię. Rinda zsiadła z konia jako ostatnia. Ciemnoskóra kobieta, która czekała na nie na ścieżce, odprowadziła konie na bok.

- Tędy - powiedziała Grid.

Brit poszła za nią, a Rinda zamykała pochód. Przecięły plac i skierowały się do największego namiotu po wschodniej stronie kręgu. Na ich widok dzieci przerywały zabawę, żeby się im przyjrzeć. Pozostałe kobiety albo nie zwracały na nie uwagi, albo witały je, jak wcześniej Grid, dotykając palcami czoła.

W namiocie przy ognisku czekała na nie kobieta. Na ubranie narzuciła białą szatę ze skóry, ozdobioną czerwonymi runami. Siedziała po turecku, na stosie futer. Kasztanowe włosy gęstą falą otaczały jej urodziwą twarz. Brit oceniła ją na jakąś czterdziestkę.

- Rozwiążcie ją! - rozkazała kobieta w białej szacie.

Grid odwróciła się do Brit z nożem w ręku. Jeden zręczny ruch i skórzane więzy opadły na ziemię. Brit zdjęła rękawiczki, wsunęła je do kieszeni i roztarła zdrętwiałe nadgarstki.

Kobieta w białej szacie pozdrowiła Grid i Rindę.

- Dziękuję. A teraz zostawcie nas same.

- Ale... - zaczęła Rinda.

Kobieta w białej szacie przerwała jej, kręcąc głową.

- Dyscyplina, moja córko. To nasza pierwsza zasada.

Rinda już się nie odezwała, tylko posłusznie wyszła za Grid.

- Nie chcesz się napić? - zwróciła się kobieta do Brit. - A może chcesz pójść na stronę?

Brit nie była w najlepszej formie. Bolały ją uda i nie do końca zagojone ramię, była też niepewna tego, co ją czeka. Jeśli jej się dotąd wydawało, że mistycy żyją w prymitywnych warunkach, to *kvina soldars* biły ich na głowę.

- Musimy rozmawiać akurat teraz? Przystojna kobieta zmarszczyła brwi.

- Jesteś zła?

- No... tak. Można by tak powiedzieć. Wybrałam się na spacer do lasu, nikomu nie wadząc, i natknęłam się na próbę gwałtu. Pospieszyłam z pomocą, spacyfikowałam gwałcicieli, a w nagrodę zostałam porwana. - Bezwiednie dotknęła policzka. - Prócz tego Grid dała mi w twarz, bo odważyłam się zapytać, o co chodzi. Nie potrzebuję iść na stronę, ponieważ po drodze zatrzymałyśmy się w tym celu, a pić też mi się nie chce, bo napiłyśmy się ze źródła w dolinie.

Kobieta wskazała na podwyższenie, pokryte futrami, na którym mogły się wygodnie pomieścić dwie osoby.

- Proszę, siadaj. Przepraszam za sposób, w jaki potraktowały cię moje kobiety. Miały cię do mnie przyprowadzić i zrobiły tylko to, co im kazałam.

- Więc twierdzisz, że to wyłącznie twoja wina? Kobieta uśmiechnęła się. Zmarszczki wokół jej oczu zarysowały się wyraźniej.

- Tak. Jestem Ragnilda, dowodzę tym obozowiskiem. I to ja odpowiadam za wszystko. Czy zechcesz teraz usiąść?

Brit odetchnęła.

- Chyba tak. - Obeszła ognisko i z cichym jękiem opadła na futra. Nie była przyzwyczajona do jazdy bez siodła. Czuła, że nazajutrz nie będzie w stanie zrobić kroku.

- W porządku, Ragnildo - powiedziała. - Powiedz mi, o co tu chodzi?

Kobieta podniosła rękę.

- Zamilcz, proszę, i spójrz mi w oczy.

Brit stłumiła jęk. Tym razem nie był to jęk bólu, lecz zawodu. Chciała przecież usłyszeć kilka odpowiedzi. Uważała, że jej się to należy.

Jednak Ragnilda zdawała się wywierać na nią kojący wpływ. Nagle zapragnęła posiedzieć przez chwilę w milczeniu, patrząc w jej orzechowe oczy.

- Tak - odezwała się w końcu Ragnilda. - Jest dokładnie tak, jak mi mówiły moje sny. Będziesz wielką królową, pierwszą w historii naszego kraju, która będzie rządziła wspólnie ze swoim królem.

Rozdział 7

Brit otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale się rozmyśliła. Proroctwo Ragnildy mogło się spełnić, ale nie musiało. W tej chwili nie interesowała Brit przyszłość, lecz przeszłość.

Pytania cisnęły jej się na usta. Całe masy pytań.

- Rinda nazwała mnie swoją kuzynką.

- Jest nią jako moja córka.

- W jaki sposób jesteśmy ze sobą spokrewnione?

- Twoja matka miała brata imieniem Brian. Opowiadała ci o nim?

Brit wzniosła oczy do nieba.

- Szczerze mówiąc, więcej, niż było trzeba. - Ingrid dopiero przed paroma tygodniami wyznała wreszcie Liv, dlaczego odeszła od ich ojca, zabierając ze sobą trzy córeczki, a synów zostawiając

pod opieką Osrika. Przyczyną rodzinnych kłopotów, jak się okazało, był Brian Freyasdahl, niezłe ziółko. - Chcesz powiedzieć, że mój niesławny wuj Brian jest ojcem Rindy? - zapytała, marszcząc brwi.

Ragnilda westchnęła wymownie.

- Ach, więc to twoje dzieło? - domyśliła się Brit. - To ty go zabiłaś.

- To było tak dawno temu.

- Ale to znaczy... to znaczy, że on musiał cię zgwałcić, prawda?

- Tak było. Zrobiłam to, co każda z *kvina soldars* uczyniłaby mężczyźnie, który pozbawił ją świętego prawa o decydowaniu, komu pragnie się oddać. Kilka miesięcy po jego śmierci uświadomiłam sobie, że będę miała dziecko.

Brit pomyślała o Rindzie, takiej dumnej i zawziętej.

- Czyli twoja córka jest nieślubnym dzieckiem? Ragnilda pokiwała głową.

- Jest bękartem - powiedziała z niechęcią. W Gullandrii dzieci z nieprawego łoża uważano za najniższą kastę. - Ale my, wojowniczkę, nie potępiamy dzieci zrodzonych poza małżeństwem. Zresztą, żadna z *toina soldars* nie mogłaby zostać z nami po zamążpójściu. Czasami, z różnych przyczyn, zdarza nam się zajść w ciążę - na skutek gwałtu, przyływu namiętności lub autentycznego uczucia. W takim przypadku, jeśli decydujemy się urodzić dziecko, kochamy je i staramy się, w miarę naszych możliwości, wychować je na silnego, dumnego człowieka. - Wyglądziła fałdy białej szaty. - W przypadku dziewcząt na ogół nam się to udaje, bo przeważnie decydują się z nami zostać. Natomiast chłopcy mają trudniejsze życie. Gdy kończą osiem lat, odsyła się ich i sami muszą zmierzyć się z okrucieństwem tego świata.

Brit pomyślała o swoim szwagrze, królewskim wojowniku Hauku. Ojciec jej uznał niedawno jego legalne pochodzenie, ale przedtem Hauk był po prostu nieślubnym synem.

- Matka mojego szwagra była jedną z was. Ragnilda uśmiechnęła się ciepło.

- Valda Booth. Znałam ją. To była wspiana wojowniczka.

Brit pomyślała, że są ważniejsze tematy niż smutna dola bękartów w Gullandrii. Swoją drogą, jej dawno nieżyjący wuj Brian musiał być niezłym draniem.

- Co wiesz o moim bracie Valbrandzie? - zapytała. Nawet jeśli ta nagła zmiana tematu zdziwiła Ragnildę, to

nie pokazała tego po sobie.

- Mówią, że zginął na morzu.

- Wierzysz w to?

- A nie powinnam?

- Ja nie wierzę. Myślę, że ktoś próbował go zabić. Serce mówi mi, że im się nie udało.

- Serce często bywa mądrzejsze od rozumu.

- Uważasz, że mam rację?

- Uważam, że musisz zrobić to, co powinnaś.

- Jesteś taka sama jak ludzie w Gullandrii. Wielkie plany na przyszłość, ale mało pożytku tu i teraz.

Ragnilda zaśmiała się cicho.

- Obawiam się, że masz rację.

Brit zerknęła spod oka na matkę swojej kuzynki.

- Słyszałaś może coś o Czarnym Rycerzu? Nie pojawiał się ostatnio w Vildelundzie?

Ragnilda pokiwała głową.

- Plotka głosi, że znów jest wśród nas. Podobno ocalił jakiegoś staruszka z rąk zbójców, a także poradził sobie z grupą renegatów terroryzujących wioski mistyków.

To samo Brit słyszała od Sif, czyli nie dowiedziała się niczego nowego.

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Słucham?

- Kiedy będzie mi wolno wrócić do mojej wioski?

- Może być jutro? Spędzisz z nami ten wieczór, zjesz kolację, poznasz bliżej swoją kuzynkę, prześpisz się, a rano Rinda i Grid cię odwiozą.

- A więc o to chodzi? Kazałaś mnie porwać, żeby mi spojrzeć w oczy i upewnić się, że twoje sny się spełnią.

Ragnilda wybuchnęła głośnym, niepohamowanym śmiechem.

- No tak, masz rację. Chciałam spojrzeć w oczy naszej przyszłej królowej, bo przecież muszę troszczyć się o los moich wojowniczek. Chciałam też poznać kuzynkę mojej córki. Muszę powiedzieć, że jestem zadowolona pod każdym względem.

- Rinda odebrała mi broń - poinformowała Brit - a ja lubię swój pistolet.

- Każę ci go natychmiast zwrócić.

- W porządku. Odzyskanie broni to nie jedyny problem. Pewni ludzie będą poważnie zaniepokojeni moją nieobecnością.

- Wrócisz do nich jutro, jeśli nic nam nie stanie na przeszkodzie.

Brit zwidziała wioskę wojowniczek, a także wzięła praktyczną lekcję smoczego tańca.

Był to opracowany w siedemnastym wieku przez *kvina soldars* specyficzny ciąg powolnych ruchów następujących po sobie w określonej kolejności, które, według walecznych kobiet, pomagały wyćwiczyć w sobie siłę, opanowanie oraz jasność umysłu.

Po sesji gimnastycznej Brit została zaproszona na kolację do namiotu Ragnildy, wraz z Rindą, Grid oraz paroma innymi kobietami. Podano duszoną sarninę/Mięso było nawet smaczne, choć nieco twarde. Po posiłku Rinda zaprosiła Brit do ciepłych źródeł, tryskających w niewielkiej odległości od obozowiska.

Brit chętnie skorzystała z zaproszenia, bo po całym dniu spędzonym na końskim grzbiecie była zesztywniała, obolała i obtarta. Rinda przyniosła czystą bieliznę, a po kąpieli zmieniła jej opatrunek.

Kiedy wracały wolnym krokiem do obozu, Brit pomyślała, że życie może być całkiem przyjemne.

Jutro będzie znów u Asty, a pojutrze wyruszy do Drakveden. Przyszła pora, by obejrzeć to, co zostało z jej samolotu. Może uda jej się wpaść na trop sprawcy katastrofy.

Gdy wyszły z gęstwiny na polanę, natychmiast zobaczyły niezwykle ruch na placu między namiotami.

Rinda roześmiała się.

- Wygląda mi na to, że nasze kobiety złapały mężczyznę. I rzeczywiście tak było, a mężczyzną tym okazał się Eric,

którego zdążyły już przywiązać do pala pośrodku majdanu. Dzieci skakały wokół niego i zaczęły go, rzucając w niego kamieniami i szturchając go kijami. Brit puściła się biegiem.

- Przestańcie! - Dopadła Erica i krzyknęła: - Dostyc tego, łobuzy! Idźcie stąd, zostawcie go w spokoju!

Dzieci cofnęły się, choć niektóre z nich zaczęły robić przy tym miny i pokazywać język. Brit odwróciła się do Erica.

- Nic ci się nie stało?

- Absolutnie nic - odparł z niezmaconym spokojem. Z jego oczu nie udało jej się nic wyczytać.- Tym bardziej że odnalazłem moją panią.

- No tak, racja - przyznała niechętnie.

W tej samej chwili z namiotu wyłoniła się Ragnilda.

- Dobrze, że jesteś. Czekaliśmy na ciebie. Ten człowiek podał twoje imię, mając nadzieję, że potwierdzisz, iż należy do ciebie.

- Tak, to jest mój... przyjaciel. Przyjechał tu po mnie. Rozwiążcie go, i to natychmiast.

- Niestety, to niemożliwe. - Ragnilda potrząsnęła głową. - Żałuję, ale nie mogę tego zrobić. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Czemu nie?

- Człowiek ten odważył się wkroczyć na teren naszego obozu. Żadnemu mężczyźnie nie wolno tego robić, a on nie mógł nawet udawać, że o tym nie ma pojęcia. Wiem, kim jest. To syn wielkiego doradcy, zrodzony z mistyków. Dobrze zna nasze obyczaje.

Brit odwróciła się do Erica. Strużka krwi spływała mu po karku, w który trafiło go kamieniem jakieś okrutne dziecko.

- O czym ona mówi?

Zamiast odpowiedzieć, Eric uniósł brew. O co tu chodzi? Czemu nie chce jej pomóc?

- Nic z tego nie rozumiem - zwróciła się do ciotki. - Czemu go związałyście? Co on takiego zrobił?

- Już ci mówiłam - odparła Ragnilda. - Nie należy do żadnej z naszych kobiet, a mimo to ośmielił się wkroczyć pomiędzy nas. To niedopuszczalne.

Rinda wystąpiła do przodu. Na twarzy miała przekorny uśmiešek.

- Musisz wyznać publicznie, że on jest twój. - Przekrzywiła głowę i zlustrowała Erica życzliwym spojrzeniem od stóp do głowy. - Hm. - Oblizła rozciętą wargę. - A może ja go sobie wezmę? Oczywiście, jeśli ty go odrzucisz, kuzynko.

- Nic nie rozumiem. Co mam zrobić?

- Musisz powiedzieć: Biorę sobie tego. mężczyznę.

- Dobrze, a co potem?

- Potem go rozwiążemy, a ty weźmiesz go do swojego namiotu. Grid i ja z przyjemnością pożyczymy ci naszego.

- Dobrze, wezmę go do swojego namiotu... Rinda uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Będziesz mogła użyć sobie do woli.

- Użyć sobie do woli? Rinda roześmiała się.

- Doskonale rozumiesz, o co mi chodzi. Widzę to w twoich oczach.

Brit westchnęła.

- A później?

- Wtedy możesz go sobie zatrzymać aż na siedem długich nocy, choć przypuszczam, że w twoim wypadku skończy się tylko na jednej, jako że jutro nas opuszczasz. Jeżeli on cię zadowoli, zwyczaj wymaga, byś puściła go wolno. A jeżeli cię nie usatysfakcjonuje - Rinda nie przestawała się uśmiechać - możesz go zaproponować którejś z nas. Albo możesz go zabić jako kochanka, który się nie spisał. Czy dobrze mnie zrozumiałaś?

Co za dziwaczne obyczaje! Brit była wstrząśnięta.

- A jeśli go nie zechcę? - zapytała.

- Wtedy, jeżeli żadna inna go nie zechce, zabijemy go od razu.

- Chyba żartujesz?

Kobiety milczały. Na twarzy Ragnildy malował się spokój i zdecydowanie. Rinda nie przestawała się uśmiechać. Eric czekał z obojętną miną, jakby było mu wszystko jedno, czy go wybierze, czy wojowniczkę wbiją mu nóż w serce.

W końcu Ragnilda odezwała się nagle:

- Kuzynko mojej jedynej córki, bierzesz sobie tego mężczyznę?

Wybór był bardziej niż ograniczony. Brit ciężko westchnęła.

- W porządku, biorę sobie tego mężczyznę.

Rozdział 8

- Czyś ty oszalał? - zwróciła się Brit do Erica, gdy zostali sami w namiocie, którego Rinda i Grid użyły im na spodziewaną noc miłosnych rozkoszy. - Przecież one mogły cię zabić!

Eric stał przy ognisku, grzejąc ręce. Płomienie wydobywały refleksy z jego zaczesanych do tyłu ciemnych włosów.

- Jednak nic mi się nie stało, bo mnie uratowałaś.

Czy to możliwe, że mówiąc to, uśmiechał się do niej? Brit zakłęta półgłosem.

- Masz na karku krew.

- A ty masz nowego sińca na policzku. Mimowolnie dotknęła opuchniętego miejsca, w które trafiła dłoń Grid.

- To za karę, że odezwałam się bez pytania.

- Ciesz się, że nie dostajesz w twarz za każdym razem, kiedy to robisz.

- Bardzo śmieszne - burknęła ze złością.

Eric wyjął z kieszeni kurtki chusteczkę i starł z karku strużkę krwi.

- No i jak? Teraz lepiej? - Schował chusteczkę do kieszeni.

- Nie bardzo. Jak możesz tak po prostu stać i się uśmiechać? Postąpiłeś wyjątkowo nierozsądnie. Te kobiety bardzo poważnie traktują swoje obyczaje.

- Liczyłem na ciebie i nie zawiodłem się.

- A gdyby mnie tu nie było? Gdybym z jakichś powodów nie wróciła do obozu? Gdybym się ciebie wyparła?

- Byłaś tu jednak. Wróciłaś i nie odrzuciłaś mnie - odparł Eric, wpatrując się uważnie w Brit.

Poczuła nagłą falę gorąca; wstrząsnął ją dreszcz.

- Przestań!

- Ale co?

- Dobrze wiesz co. Mam na myśli twoje spojrzenie. Kiedy tak na mnie patrzysz, robi mi się... - nie dokończyła, gdyż zrozumiała, że z każdym słowem coraz bardziej się pogrąża.

Eric był jednak bezlitosny.

- Słucham, mów dalej.

- Daj spokój, dobrze? Przestań!

- Ale co?

Załamana w desperacji ręce.

- Przestań, bo przez ciebie mam kosmate myśli,

- Kosmate myśli? Wy, Amerykanie, używacie takich zabawnych wyrażeń. - Wyjął coś z kieszeni, a potem zdjął kurtkę i rzucił na ławę po lewej stronie namiotu. Na sobie miał tę samą skórzaną koszulę, co rano, z haftem przy szyi. Rozcięcie częściowo odsłaniało muskularny tors, a także kilka ogniw srebrnego łańcucha.

- Widzę, że znalazłeś swój medalion.

- Chcesz go z powrotem?

- Nie, dziękuję.

Eric okrążył ognisko i skierował się w stronę Brit. Zaczęła się zastanawiać, czy powinna się cofnąć czy raczej stać dumnie w miejscu.

Zanim zdążyła podjąć decyzję, już był przy niej.

- Daj rękę.

- Powiedziałam już, że nie chcę twojego medalionu.

- Mam coś innego, co do ciebie należy.

Zawahała się, a potem unosząc wyzywająco podbródek, rzuciła:

- Co takiego?

Eric poczekał, aż wyciągnie rękę. Wtedy ciepłą, silną ręką, ujął od spodu jej dłoń. Wstyd przyznać, ale polubiła jego dotyk. To pełne podniecenia oczekiwanie, na które w zasadzie nie powinna sobie pozwalać... Rozsądek nakazywał jej trzymać go na dystans.

Ostrożnie, żeby ich nie rozsypać, Eric położył jej na dłoni garstkę orzechowych drażetek.

Znowu się uśmiechał. Podobnie jak ona.

- Miałam dobry pomysł, prawda?

- Jesteś kobietą bardzo przezorną.

- Owszem.

- Nie myśl sobie, że nie znalazłbym cię bez tych kolorowych kuleczek, którymi znaczyłaś szlak. Odnalazłbym cię nawet na końcu świata.

- Och, mogę się założyć.

Za ich plecami drwa trzaskały wesoło w ognisku. Siwa smużka dymu wydobywała się na zewnątrz przez otwór w szczycie namiotu. Z dworu dobiegały ciche głosy kobiet, szykujących się na spoczynek. Któraś z nich przywoływała dziecko. Cienki głosik odpowiedział:

- Już idę, mamo.

Brit i Eric stali i patrzyli na siebie z uśmiechem.

- Jedną zjadłem - powiedział Eric. - Byłem po prostu ciekawy.

- No i jak?

- Była pyszna. Ta gładka polewa, rozpuszczająca się w ustach jedwabista czekoladowa kulka, kryjąca w sobie chrupiący orzeszek...

Widać z tego, że zrozumiał, w czym tkwi ich urok.

- Ja lubię je ssać - przyznała z uczuciem, że popełnia błąd. - Długo i powoli.

- Pokaż, jak to robisz - odezwał się szeptem, drażniącym jej zmysły.

- Daj spokój! - prychnęła. - Pozbierałeś je z ziemi.

- Patrzcie, jaka wybredna...

- Taka już jestem. - Przypomniała sobie półmisek tłustych larw, które musiała zjeść, gdy brała udział w telewizyjnym programie „Nieustraszeni”. Wybredna. No tak Przynajmniej kiedy mogła sobie na to pozwolić.

Eric pochylił głowę, a ona bezwiednie uniosła twarz ku górze.

Ich usta się spotkały.

To nie do wiary, ale całowała Erica, choć naprawdę nie powinna.

No cóż, zawsze miała z tym kłopoty. Jeszcze tyle powinna zrobić: skończyć studia, dokończyć choćby jedną z książek, i tak dalej. Było też tyle ryzykownych zajęć, które ją kusily: nauka latania, zdobywanie czarnego pasa, poznawanie najdziwniejszych zakątków świata. Miejsc, w których można łatwo zginąć, jeśli się nie wie, co się robi.

Najtrafniej wyraził to Oscar Wilde:

„Mogę się oprzeć wszystkiemu oprócz pokusy”.

Miałeś racje, Oscarze!

Usta Erica, miękkie i gorące, delikatnie muskały jej wargi.

- Nareszcie... spełniły się... moje sny - szeptał.

Cofnęła się.

- Nie rób sobie nadziei. To był tylko...

Uciszył ją pocałunkiem, a ona nie zaprotestowała.

Tylko jeden pocałunek, nakazała sobie w myślach. Słodki, czuły, namiętny...

I taki właśnie był.

A tak naprawdę, jeśli miała być szczerą, przynajmniej wobec siebie, nie chodziło o pocałunek, tylko o Erica.

Gdy wziął we władanie jej usta, usłyszała swój własny cichy jęk aprobaty i poczuła, że rozchyła wargi. Tylko troszeczkę, powiedziała sobie, tylko tyle, by poczuć jego gorący oddech.

Ale czy można do końca przewidzieć? W ślad za oddechem do jej ust wślizgnął się jego język, a ona mu nie przeszkodziła.

Co więcej, sama podjęła tę ryzykowną grę.

No tak, przepadła z kretesem!

Niecierpliwymi dłońmi zaczęła wodzić po umięśnionym torsie i silnych ramionach Erica, a na koniec zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego całym ciałem. Pragnął jej. Czuła, że w jego ramionach topnieje jak czekolada pod warstwą glazury w orzechowej drażetce.

Brit otworzyła zaciśniętą dłoń. Drażetki posypały się wzdłuż pleców Erica i rozsypały na klepisku.

Eric zaśmiał się cicho.

Cofnęła się, marszcząc brwi.

- Wiesz, że nie powinniśmy tego robić.

- Nie. - Położył jej palec na ustach. - Nic nie rozumiesz.

Musimy to zrobić, a ja muszę cię zadowolić, bo jeśli nie, powinnaś mnie zabić.

Czubkiem języka oblizała jego palec. Był słony i trochę zakurzony. W sumie pyszny!

Ona i wybredna? Na pewno nie w tej chwili...

Usłyszała, jak w piersi Erica narasta głuchy jęk. To świetnie, wręcz fantastycznie.

Nie, nie wyjdzie za niego, bez względu na przepowiednie. Ale to, co się teraz dzieje między nimi...

Jak mogłaby sobie tego odmówić?

Eric ciepłymi dłońmi otoczył jej twarz i spojrzał jej przenikliwie w oczy. Pomyślała, że to już koniec.

- Wybrałaś mnie, więc mnie dostaniesz. Niech mu będzie.

- Mam pewien pomysł - odezwała się szeptem.

- Słucham.

- A gdybyśmy tylko powiedzieli tym kobietom, że to zrobiliśmy?

Eric potrząsnął głową. Oczy miał pociemniałe, a usta obrzmiałe od pocałunków.

To szaleństwo, powiedziała sobie. Szaleństwo od początku do końca.

- Kurtka ci niepotrzebna - powiedział.

Nie protestowała, tylko pozwoliła, by ją z niej zdjął i rzucił w kąt, obok swojej.

A potem znów zamknął Brit w ramionach i zaczął całować. Przerwał tylko na moment, by zdjąć jej sweter przez głowę.

Zbyt szybko podniosła ręce do góry. Gwałtowny ruch sprawił, że z jej ust wyrwał się cichy okrzyk bólu.

Eric odrzucił na bok sweter i zapytał z niepokojem:

- Twoja rana?

- Nie. Nic się nie stało. To tylko...

Ale on już się nad nią nachylał, przyciskając usta do koszuli, tuż ponad bandażem, zakrywającym ranę po strzale. Zaczął powoli wydmuchiwać powietrze. Poprzez warstwy bandaża i materiału poczuła gorący oddech. Ogarnęło ją błogie uczucie spokoju.

Tak miało być...

Objęła jego głowę.

- Och, Eric...

Cofnął się, wziął Brit w ramiona, a potem przez nieskończenie długą chwilę patrzył jej w oczy. Brit spróbowała wziąć się w garść. Pewne sprawy domagały się wyjaśnienia.

- To wcale nie znaczy...

- Ćśś. - Dotknął palcem jej ust. - Wyjaśnienia zachowajmy dla obcych. Nie jesteśmy obcy i nigdy nie byliśmy.

Położyła mu dłonie na piersi. Miała mu tysiące rzeczy do powiedzenia. Niestety, wszystko wyleciało jej z głowy. Pod hipnotycznym spojrzeniem zielonkawych oczu nie potrafiła zebrać myśli.

- Nie bój się - dorzucił. - Niczego sobie nie wyobrażam. Była pewna, że sobie wyobrażał.

Czy w tej chwili miało to jednak jakiegokolwiek znaczenie?

Eric trzymał ją w objęciach. Pragnął jej, a ona też go pragnęła. Chciała poczuć przy sobie muskularne ciało oraz uścisk silnych ramion. Na tę jedną noc, w namiocie kuzynki, w obozie *kvina soldars*.

Misja okazała się wcale nie taka łatwa. Od dłuższego czasu męczyło ją przeświadczenie, że zmierza donikąd i co najwyżej pakuje się w kłopoty. W pewnym sensie Eric także był jej przeciwnikiem, bo skutecznie utrudniał poznanie prawdy.

Mimo to między nimi zrodziła się pewna więź. Mogła być pewna, że jeśli przyjdzie co do czego, Eric stanie po jej stronie, a nawet odda za nią życie.

Pomyślała, że i ona jest dla niego gotowa na wszystko.

Nie wiedziała, dokąd zmierzają, ale czuła, że są ze sobą związani. Dlatego nie widziała nic zdrożnego w tym, że spędzą ze sobą tę noc.

Uśmiechnęła się zachęcająco.

W odpowiedzi wyszeptał jej imię:

-Brit...

Wsunęła mu ręce pod koszulę i podciągnęła ją w górę. Jeden ruch przez głowę i koszula wylądowała obok kurtek i swetra.

W ciemności zaśnił nagi, gładki tors Erica. A na nim srebrny medalion...

Brit popatrzyła na węża, na cztery łby mitycznych bestii, na łamany krzyż pośrodku - i nastrój przysł.

Odwróciła głowę.

Eric ujął w dłonie jej twarz.

- Posłuchaj, on czeka tu na ciebie. Weźmiesz go sobie, kiedy zechcesz. I tylko wtedy.

Odepchnęła Erica z zalem, lecz zdecydowanie, a on opuścił ręce.

Popatrzyli na siebie. Stali tak blisko, a zarazem nagle tak daleko, ciężko dysząc.

- Nie mogę tego zrobić - odezwała się w końcu Brit. - To nie byłoby słuszne.

- Wobec tego muszę umrzeć - kpiącym tonem rzucił Eric. - Kiedy wojowniczkę dowiedzą się, że cię zawiodłem...

- Och, bardzo proszę - powiedziała. - Wiesz, że to niemożliwe.

- Ale ja muszę.

- Musisz mnie zadowolić? Oczywiście, że tak. Zrobiłeś to. Nie ma problemu.

- Chciałbym zrobić coś więcej. - Wyglądał tak poważnie i tak seksownie. Niech go wszyscy diabli!

Wzruszyła obojętnie ramionami, choć była napięta jak struna.

- Nie mówmy już o tym. Mam nadzieję, że się zrozumieliśmy.

- Czyli żadnych przyjemności tej nocy?

- Ani tej nocy, ani nigdy.

- Aha - powiedział, jakby wreszcie zrozumiał, choć wcale tak nie było. Był absolutnie pewny, że

ta noc będzie dopiero początkiem przyjemności, jakimi mieli się nawzajem obdarzać. Ani przez moment nie wierzył, że Brit mówi serio.

A ona? Jak mogła żądać od niego, by w to uwierzył, skoro sama w to nie wierzyła?

Wskazała na skrzynię, na której leżały ich rzeczy.

- Możesz tam spać, a ja się położę na drugiej.

- Jestem na twoje rozkazy.

- Skoro tak, to kładź się.

- Jak sobie życzysz.

Jastrząb sfrunął z nieba na ziemię. Miał przekrwione oczy i jak smok ział ogniem, paląc wszystko wokół. Brit zakryła rękami twarz, a z jej ust wyrwał się okrzyk przerażenia.

Obudziła się, siedząc na posłaniu, z zasłoniętymi oczyma. Powoli opuściła ręce i zobaczyła, że ogień dogasa w palenisku.

Eric nie spał. Leżał na boku, z podpartą głową i przyglądał się jej w zadumie. Był obnażony do pasa. Na jego pięknie sklepionym torsie połyskiwał medalion. Starła się nie patrzeć na Erica, kiedy się kładł, a teraz dręczyło ją pytanie, czy gdyby te futra zsunęły się jeszcze trochę niżej, zobaczyłaby to, co tak wyraźnie czuła, gdy stali ciasno przytuleni.

Szybko skierowała wzrok - jak również myśli - w innym kierunku.

Eric spoglądał na nią uważnie, z troską.

- Miałaś złe sny?

Westchnęła wymownie, po czym zaczęła poprawiać posłanie. Spróbowała je uporządkować, nie wstając, ale zrobiła jeszcze większy bałagan.

- Pozwól, to ci pomogę.

- Nie trzeba, dziękuję. - Dobrze, że w przeciwieństwie do pewnych osób, miała na tyle rozumu, by się położyć w ubraniu, zdjawszy tylko buty. Dlatego mogła teraz wstać bez skrępowania i spokojnie pościelić swoje legowisko.

Już miała wślizgnąć się z powrotem pod futra, gdzie było tak ciepło i przytulnie, gdy Eric odezwał się irytująco troskliwym tonem:

- Zawsze tak źle sypiasz?

Zawsze? To znaczy, że musiał jej się przyglądać, kiedy spała u Asty.

- Nie sypiam źle, tylko niespokojnie. - Uniosła futra, wślizgnęła się pod nie i wygodnie ułożyła.

- Dobranoc - rzuciła z zamkniętymi oczyma.

- Brit?

- Co? - mruknęła niechętnie.

- Ta jasnowłosa wojowniczką, Rinda...

- O co chodzi?

- Nazwała cię kuzynką.

- Bo jestem jej kuzynką.

Eric milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- Wygląda zupełnie jak ty.

Brit wbiła wzrok w otwór, przez który dym wydobywał się z namiotu na zewnątrz. Niebo było bez gwiazd, zasnuwane chmurami.

- Wygląda jak moja matka w wieku dwudziestu paru lat. Eric zaśmiał się cicho.

- Teraz wszystko rozumiem. Brian Złe Serce. Brit nagle posmutniała.

- Tak nazywali mojego wuja?

- Tak. Bo był zły.

- I miał złe serce.

- Tak. To on jest ojcem Rindy?

Nie widziała powodu, by to przed nim ukrywać.

- Tak. Zgwałcił Ragnildę.

- Aha - powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało. I pewnie tak było. - To dlatego Ragnilda chciała cię poznać.

- Owszem. - Ona uważa, że pewnego dnia zostanę królową, dodała w myślach, ale tego nie powiedziała. Skoro większość sądzi, że Eric będzie królem, znaczyłoby to, że on i ona.

Nie, lepiej nie zapuszczać się w tym kierunku. Poza tym żyje Valbrand. Kiedy wszystko się wyjaśni, to on najpewniej zasiądzie na tronie. W Gullandrii nie do pomyślenia jest, by brat ożenił się ze swoją siostrą.

Dlatego sny Ragnildy nie mają raczej szansy się spełnić.

Swoją drogą, ciekawe, co robi w tej chwili Valbrand.

Tyle było rzeczy, o które chciałyby zapytać.

- Eric?

-Uhm?

- Ile miałeś lat, kiedy poznałeś mojego brata? Przez chwilę milczał, a potem po namyśle odparł:

- Byłem taki mały, że nawet nie pamiętam czasów, kiedy go nie znałem. Gdy się urodziłem, miałem dwa lata i wydaje mi się, że zawsze był przy mnie. Bawiliśmy się razem, odkąd zaczął raczkować. A potem, przez chwilę było nas trzech...

- Mówisz o Kylanie?

- Tak. Później Kylan zmarł i znów została nas dwójka - twój brat i ja. Chodziliśmy do tej samej szkoły, mieliśmy tych samych nauczycieli. A kiedy ja skończyłem dwanaście lat, a on dziesięć, zawarliśmy przymierze krwi. Wiesz, co to znaczy?

Powtórzyła to, co przeczytała w jednej z książek o Gullandrii, znalezionych w pałacowej bibliotece:

- Znaczy to, że ślubuje się wzajemną lojalność i oddanie. Równi sobie stają się wówczas braćmi w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. W odróżnieniu od przysięgi, która łączy ludzi nierównych sobie pochodzeniem.

- Widzę, że zrozumiałaś to właściwie.

- Zastanawiam się...

- Pytaj śmiało.

- Czy Valbrand kiedykolwiek wspominał, że ma w Ameryce matkę i siostry?

Zapadła cisza tak głęboka, jakby to noc wstrzymała oddech.

- Eric? - powtórzyła Brit, gdy nabrała pewności, że nie doczeka się odpowiedzi.

- Valbrand bardzo przeżył rozstanie z matką - odezwał się w końcu Eric. - Wy, jego siostry, byłyście jeszcze maleńkie, ledwie was znał, więc z waszą utratą mógł się pogodzić. Ale strata matki pozostawia po sobie pustkę nie do wypełnienia, niezagojoną ranę. Na domiar złego wkrótce potem stracił też brata... - Eric urwał, jakby nie był w stanie wyrazić tego słowami.

- Kiedy moja matka zmarła, miałem czternaście lat. Valbrand pomógł mi przez to przejść, bo wiedział, jak to jest, i wszystko rozumiał. Nie odpowiedziałem na twoje pytanie?

Brit zapomniała o swoim pytaniu. Myślała teraz o tym, jak ciężko los doświadczył Valbranda. A także Erica. Ona sama nie zawsze zgadzała się z matką, ale nie mogła sobie nawet wyobrazić życia bez Ingrid.

- Nie szkodzi. Teraz rozumiem, dlaczego nie myślał o młodszych siostrach.

- Myślał o was i wspominał was coraz częściej, w miarę jak obaj wkraczaliśmy w wiek męski. Mówił, że przyjdzie kiedyś taki czas, gdy przeprawicie się przez morze, by poznać kraj, w którym się urodziłyście. Planował też odwiedzić was w Ameryce, ale nigdy do tego nie doszło. Pewnie wciąż miał trochę żalu do matki, że go opuściła.

Żal... co za smutne słowo. Pełne bólu i pretensji.

- Oczywiście można to było naprawić - pocieszył ją Eric.

- Przy odrobinie czasu i czułości. Valbrand nie zwykł pielęgnować w sercu urazy; nie był zgorzkniały. Był po prostu ponad to.

Był?

Z taką łatwością mówił o jej bracie w czasie przeszłym. Czy umyślnie, żeby jego kłamstwa brzmiały bardziej prawdopodobnie?

A może to smutna prawda?

Nie! Nigdy w to nie uwierzy, bo widziała brata na własne oczy. Valbrand żyje. Żadne kłamstwa Erica Greyfella nie zmieniają tego, co czuła.

Brit przewróciła się na bok, twarzą w stronę dogasającego ogniska. Wolałaby spoglądać w mrok, ale nie pozwalało jej na to obolałe ramię. Patrzyła na żarzące się polana, aż wreszcie oczy same jej się zamknęły i zapadła w sen.

Następnego ranka powitało ją bezchmurne niebo, błękitne jak oczy niemowlęcia. Wraz z Erikiem przeszli do namiotu Ragnildy na wczesne śniadanie, składające się z placków i owsianki.

Ragnilda kazała Ericowi zaczekać na dworze, a sama zapytała Brit o przebieg minionej nocy.

- Czy zadowolili cię?

Brit miała już gotową odpowiedź.

- Jako kochanek nie ma sobie równych. Na tym polu nikt go nie prześcignie. Czuję się w pełni zaspokojona.

Kłamstwo w żywe oczy. Ona zaspokojona? Jednak sądząc po pocałunkach, uznała, że ma prawo nazwać go dobrym kochankiem.

A jeśli chodzi o kwiecisty styl, w Gullandrii można było tak o kimś powiedzieć, nie narażając się na zarzut, iż jest się pretensjonalnym.

Usatysfakcjonowana jej odpowiedzią, Ragnilda zaprosiła Erica do namiotu, a nawet pozwoliła mu zasiać wraz z nimi do śniadania, jakby był kimś więcej niż tylko mężczyzną, stworzonym jedynie w celu seksualnego zaspokojenia kobiety oraz dania jej potomstwa.

Po śniadaniu kazała przyprowadzić piękną białą klacz, z szarymi skarpetkami na przednich nogach.

- To dla ciebie, kuzynko mojej córki - powiedziała, głaszcząc z dumą jedwabistą grzywę zwierzęcia. - Niech cię pewnie prowadzi ku twemu przeznaczeniu.

Był to istic królewski dar, który Brit przyjęła z wdzięcznością. Dobry koń przyda jej się podczas pobytu w Vildelundzie. Poza tym nie będzie musiała dzielić siodła z Erikiem w drodze powrotnej do domu. A to znaczy, że nie tylko będą jechali znacznie szybciej, ale i uniknie bliskości jego ciała przez kolejne sześć czy siedem godzin. Po co miałyby wciąż myśleć o tym, czego sobie odmówiła?

- Dziękuję, ci, Ragnildo. Czy ta piękna klacz ma jakieś imię?

- Svald.

- Co to znaczy?

- Może znaczyć wszystko, co tylko zechcesz. Brit przejęła wodze z rąk Ragnildy.

Rinda podała Brit trzy małe, twarde jabłuszka.

- Masz, kuzynko. W ten sposób łatwiej nawiądziesz kontakt z koniem.

Brit podsunęła klaczy jabłko. Svald chwyciła je mięsistymi wargami i przeżuła, a potem trąciła ją pyskiem, prosząc o więcej. Brit pogładziła smukłą szyję klaczy i dmuchnęła jej w nozdrza.

Eric zaproponował pomoc przy dosiadaniu konia.

- Nie, dziękuję, dam sobie radę. - Pełną garścią uchwyciła się grzywy Svald i wskoczyła na jej grzbiet. Pośladki i uda wciąż miała obolałe po wczorajszej jeździe, ale długa kąpiel w gorących

źródłach bardzo jej pomogła. Nie była już tak zeszywniała jak poprzedniego wieczoru. Obiecała Ragnildzie i Rindzie, że je kiedyś odwiedzi, po czym wyruszyli w drogę powrotną. Na szczycie pierwszego wzgórza zatrzymali się, by obejrzeć rozpościerający się przed nimi dziki, lesisty krajobraz.

- Będziesz miała kłopoty z trafieniem do ich obozu - stwierdził Eric.
- Znam drogę. Uśmiechnął się.
- Przeniosą się w inne miejsce. Pewnie już w tym momencie zwijają obóz.
- Ale dlaczego?
- Chcą być wolne i nie mogą dopuścić, by obcy wiedzieli, gdzie ich szukać.
- Nam ufają. Wiedzą, że ich nie zdradzimy.
- My? To mi pochlebia. - Uśmiechnął się od ucha do ucha.
- Przecież nigdy nie powiedziałam, że ci nie ufam. Wiem, że jesteś człowiekiem uczciwym, nie wiem tylko, dlaczego kłamiesz w sprawie Valbranda. - Uniosła dłoń. - Nie mów nic. Nie chcę tego słuchać. Ani tego, że odnalazłam ciotkę i kuzynkę tylko po to, by je zaraz utracić.
- Dam głowę, że jeszcze je kiedyś zobaczysz. Gotów jestem założyć się o moją najlepszą strzelbę myśliwską.

- Przecież dopiero co mówiłeś...

- Że będziesz miała kłopoty z odnalezieniem ich. Ale nie powiedziałem, że one nie będą potrafiły cię odszukać. Jestem pewny, że znajdą cię, kiedy przyjdzie pora.

Do wioski dotarli o trzeciej po południu. Asta wybiegła im na powitanie, a za nią jej synowe i łańcuszek podekscytowanych dzieci. Były głośne okrzyki radości i gorące uściski.

Mist mocno objęła Brit za kolana.

- Błit, gdzie byłaś? Było mi smutno. Bałdzo... Brit chwyciła ją na ręce i uniosła.

- Uściskaj mnie mocno. Już do ciebie wróciłam, a ty jesteś taka silna!

Dziewczynka uściskała ją, a potem zaczęła się wyrывać, chcąc wrócić do dzieci. Brit puściła ją niechętnie i spojrzała na Erica. Patrzył na nią z przebiegłą miną.

Pewnie znów myślał o tym, jaką będzie świetną żoną. A przecież to, że lubi dzieci, wcale jeszcze nie znaczy, że jej marzeniem jest urodzić mu co najmniej pół tuzina.

Asta wzięła ją pod rękę.

- Odprowadź konie, Ericu. A ty, Brit, wejdź ze mną do chaty. Muszę ci zmienić opatrunek, a potem zjesz solidny posiłek. Po posiłku na pewno chętnie skorzystasz z łaźni, a później musisz się porządnie wyspać.

- To brzmi fantastycznie - powiedziała Brit. - Z chęcią najem się, wykąpię i odpocznę. - Pomyślała, że to dobry moment, by podrzucić im bombę. - Muszę być na jutro w dobrej formie.

Asta zmrużyła oczy. Eric pobladł.

- Och. - Brit lekceważąco machnęła ręką. - Przepraszam. Właśnie miałam wam powiedzieć. Jutro wyruszę nad Drakveden. Chcę obejrzeć szczątki samolotu.

Rozdział 9

Z ust Asty wyrwał się cichy okrzyk protestu. Zaczęła przekonywać Brit:

- Nie rób tego. To niebezpieczne podróżować samotnie po Vildelundzie.

- Nie chodzi o moje bezpieczeństwo, Asto. Muszę tam pojechać.

- Jak to nie chodzi o twoje bezpieczeństwo? Przecież jesteś córką naszego króla, a tym samym twoje życie ma dla nas bezcenną wartość.

- Asto, dyskusja na ten temat nie ma sensu. Wyruszę jutro o świcie.

- Eric! - Asta załamała ręce. - Przemów jej do rozumu. Eric miał minę, jakby chciał kogoś udusić.

Brit bez trudu

domyśliła się kogo.

- Wprowadźcie ją do środka - rozkazał. - Dajcie jej jeść, a ja w tym czasie zajmę się końmi. A potem zabiorę ją na wieczorną przechadzkę.

„Wieczorna przechadzka” odbyła się godzinę później, w blednym dziennym świetle. Nie było też mowy o żadnym spacerze. Widocznie Eric uznał, że nie będzie kłócił się z nią na drodze prowadzącej przez środek wioski, gdzie każdy mógłby usłyszeć, jak na siebie krzyczą. Dlatego wyprosił wszystkich z chaty i znów, jak poprzedniego ranka, siedzieli przy stole tylko we dwoje.

- Po co to wszystko? - pytał Eric. - Narażać się na niebezpieczeństwo dla samej przyjemności?

- Chcę obejrzeć wrak samolotu.

- Ale po co?

- Aby sprawdzić, co się stało. Poziom oleju nie mógł przecież sam z siebie spaść do zera.

- Ha! Okazuje się, że jesteś nie tylko licencjonowanym pilotem, ale i mechanikiem.

- Chcę tylko rzucić na to okiem. To chyba w porządku? Aby zobaczyć, czy da się...

- Nie! - Eric starał się panować nad głosem, ale jego mina zwiastowała awanturę. - To nie jest w porządku.

- Niech ci będzie, ale ja i tak się tam wybieram, więc będzie lepiej, jeśli się przyzwyczaisz do tej myśli.

- Niczego się nie dowiesz, a możesz przy tym stracić życie.

- Trudno. Wolę to, niż siedzieć tu bezproduktywnie i słuchać waszych wykrętów za każdym razem, kiedy odważę się zapytać o Valbranda. - Wychyliła w jego stronę, zaciskając pięści. - Chyba że...

- Mów - powiedział.

- Jestem gotowa zmienić zdanie pod warunkiem, że mi wreszcie zaufasz. Jeżeli zgodzisz się zaprowadzić mnie do brata...

- Jak mogę to zrobić? Przecież twój brat nie żyje.

- Ciągle to powtarzasz, ale ja ci nie wierzę.

- Raczej nie chcesz w to uwierzyć.

- Masz rację. Nie chcę, bo to nieprawda.

Przez moment mierzyli się spojrzeniem, a potem Brit pierwsza odwróciła wzrok. Poderwała się od stołu, skrzyżowała ręce na piersi i odwróciła się w stronę pieca.

- Mam tego dość! - rzuciła przez ramię. - Nie będę już dłużej czekać. Wiem jedno, że siedząc tutaj, niczego się nie dowiem.

- Ale twoja rana...

- Z dnia na dzień jest coraz lepiej. Chociaż jeszcze nie całkiem się zagoiła, nie zrezygnuję ze zrobienia tego, co powinnam. Wczoraj nie dopuściłam do gwałtu. Potem zostałam powalona na ziemię przez silną *kvina soldar*. Jechałam na oklep przez wiele godzin - wczoraj, a także dzisiaj. Ramię wcale od tego nie ucierpiało. Nawet nie próbuj mnie powstrzymać. Zadałam wam mnóstwo pytań, ale usłyszałam zbyt mało odpowiedzi. Wobec tego muszę szukać gdzie indziej. W przeciwnym wypadku pozostaje mi tylko wrócić do ojca, mając na sumieniu śmierć przewodnika, a na ramieniu bliznę po zatrutej strzale.

W dotychczas gniewnym spojrzeniu Erica pojawiła się czułość.

- To przecież nie wszystko. Może...

- Wiem, ku czemu zmierzasz. - Potrząsnęła głową. - Nawet o tym nie myśl.

To, że wciąż wyobrażała sobie, jak by to było kochać się z Erikiem przez całą noc na posłaniu z futer, nie znaczy jeszcze, że była gotowa nosić jego medalion i urodzić mu dzieci.

Kiedy postanowi związać się z mężczyzną, będzie musiał uznać w niej równorzędną partnerkę. Powinien zaufać jej na tyle, by nigdy nie ukrywać przed nią prawdy.

Eric tymczasem już szedł do Brit.

- Czemu wciąż stoję i czekam, aż do mnie podejdziesz? Zamiast odpowiedzieć, uniósł wolno rękę. Powinna się cofnąć, ale nie zrobiła tego.

Eric obrysował palcami owal twarzy Brit, budząc rozkoszny dreszcz.

- Może lubisz, jak jestem blisko?

Uniosła głowę i spojrzała mu twardo w oczy.

- Może i tak. Może chciałabym... - Ach, co też ona wygaduje?

- Mów dalej - poprosił Eric miękko.

Odepchnęła jego rękę i cofnęła się, co należało zrobić wcześniej.

- Zapomnijmy o tym. Teraz musisz przyjąć do wiadomości, że jutro rano wyruszam, żeby obejrzeć samolot. Musiałbyś mnie zamknąć, a klucz wyrzucić, żeby mnie powstrzymać.

- To ponad trzydzieści kilometrów po trudnym, stromym terenie. Ryzyko jest olbrzymie. Musisz się liczyć z tym, że napotkasz bandy renegatów albo *kvina soldars*. Można też spotkać drapieżne zwierzęta o długich zębach i ostrych pazurach.

- Na wypadek gdybyś nie zdążył się jeszcze tego domyślić, przez większość życia podróżuję do miejsc, gdzie warunki są trudne, zwierzęta drapieżne, a tubylcy wrogo nastawieni. Mimo to jestem tu. Zdrowa i cała. I gotowa do drogi.

Tym razem to on się cofnął.

- Nie ma sposobu, żeby cię powstrzymać?

- Nareszcie coś zaczyna do ciebie docierać.

Eric rzucił jej jedno z tych swoich przenikliwych spojrzeń, oznaczających, że to, co powie, nie podlega dyskusji.

- Skoro się upierasz, pojedę z tobą. Odpowiedziała triumfalnym uśmiechem.

- Czy taki był od początku twój plan?

- No to jak będzie? - Brit odpowiedziała pytaniem. - Co?

- Muszę przyznać, że to dość ryzykowny pomysł. Sam wiesz, jak to jest między nami... -

Urwała i pozwoliła mu dokończyć w myślach. - Żadne dodatkowe atrakcje nie są mi potrzebne.

Rzecz w tym, że znasz drogę, a ja nie. Przydałby mi się dobry przewodnik, nie mówiąc już o...

- O czym? - zapytał, gdy nie dokończyła. Wzruszyła ramionami.

- Jesteś silny i zwinny. Nie wątpię też, że świetnie władasz bronią. Dobrze mieć kogoś takiego u boku, gdybym znalazła się w podbramkowej sytuacji.

Eric nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Módlmy się wobec tego o dobrą pogodę i jak najmniej „podbramkowych sytuacji”.

- Mieć nadzieję na najlepsze, być przygotowanym na najgorsze - to jedyna rada, jeśli o mnie chodzi.

Następnego ranka wstali o szóstej, zanim słońce wyłoniło się zza wzgórz. Asta pożyczyła Brit siodło. Kiedy ruszali w drogę, wyszła przed dom, żeby się z nimi pożegnać.

- Nadchodzi zła pogoda - ostrzegła, gdy wsiadali na konie. - Jeżeli koniecznie musicie jechać, poczekajcie chociaż do jutra.

- Och, Asta. - Brit pogłaskała Svald po gładkiej szyi. - Daj spokój. Na niebie nie ma ani jednej chmurki.

Eric, który jechał na potężnym ogierze, wskazał na barometr wiszący przy drzwiach.

- Ciśnienie szybko spada - zauważył, po czym zwrócił się do ciotki: - Nadchodząca burza nas nie powstrzyma. Wyruszamy teraz.

Asta zasepiła się, ale nic więcej nie powiedziała, tylko wyszła na drogę i machała im na pożegnanie, póki nie zniknęli. Poprzedniej nocy, gdy wróciła do chaty i dowiedziała się, że Ericowi nie udało się przekonać Brit, bez ogródek nazwała ich wyprawę czystą głupotą i

wycieczką idiotów.

Brit, do pewnego stopnia, musiała przyznać jej rację. Wiedziała jednak, że niczego się nie dowie, jeśli będzie siedzieć z założonymi rękami w wiosce mistyków, rozpieszczana przez Astę i jej synowe, marząc o Ericu i od czasu do czasu pomagając w kuchni czy w pralni.

Czekać jeszcze jeden dzień, bo może pogoda się zepsuje? Piękne dzięki. Mały deszczyk jej nie powstrzyma. Poza tym i tak jest cieplej, niż było wczoraj czy przedwczoraj. Przyjemniej będzie podróżować w takiej temperaturze.

Na myśl o wyprawie Brit poczuła dreszcz podniecenia.

Popatrzyła na jadącego u jej boku mężczyznę. Cóż, trudno, nie mogła nic na to poradzić. Musiała wykonać swój plan i potrzebny był jej przewodnik. A Eric znał każdą ścieżkę w Vildelundzie.

Zmierzali na zachód, mając za plecami wschodzące słońce. Przecięli pola otaczające wieś i wjechali do lasu. Po pewnym czasie dotarli do miejsca, w którym droga rozwidła się w trzech kierunkach. Eric puścił wodze i zdał się na instynkt wierzchowca, a on wybrał prawą odnogę, wiodącą na północ.

Dopóki teren był płaski, dopóty konie biegły żwawym truchtem. Trakt był na tyle szeroki, że mogły jechać obok siebie. Jednak droga stawała się coraz węższa i bardziej stroma, tak że w końcu Brit musiała puścić Erica przodem. Niebo ponad sklepieniem drzew zasnuło się chmurami. Dał coraz silniejszy wiatr.

Przez kilka następnych godzin przemierzali tereny podobne do tych, przez które podróżowali poprzedniego dnia, a także dzień wcześniej. Wspinali się na strome wzgórza, by później krętymi ścieżkami zjechać na dno mrocznych, lesistych parowów.

U stóp kolejnego wzgórza Eric nagle wstrzymał ogiera, podniósł rękę, po czym cicho zsunął się na ziemię. Wskazał na grupę ciemnych głazów, ledwie widoczną w gęstwinie, parę metrów obok ścieżki, i chwycił konia za uzdę. Brit posłusznie poszła w jego ślady.

Starając się nie robić hałasu, weszli w gąszcz i ukryli się za stertą kamieni.

Czekali w milczeniu, aż wreszcie Eric popatrzył w górę, przez szczelinę między dwoma głazami, i przywołał Brit, żeby przez nią wyjrzała.

Czwórka młodych mężczyzn schodziła ścieżką ze szczytu. Wszyscy byli uzbrojeni - trzech miało kusze i sztylety u pasa, a czwarty strzelbę. Nieśli żerdź z przywiązaną za nogi wypatroszoną łanią.

- Renegaci? - wyszeptała Brit.

- Może - odparł szeptem Eric.

Zrozumiała, że nie warto tego sprawdzać. Lepiej przeczekać w ukryciu, aż minie niebezpieczeństwo.

Wiatr zadął silniej w wąwozie, zatrzęszczały konary drzew. Klacz poruszyła się nerwowo. Brit wtuliła twarz w jedwabistą grzywę i cichutko wyszeptała:

- Ćśś, nie bój się, moja kochana, moja śliczna. Klacz uspokoiła się.

Oczekali, póki mężczyźni nie zniknęli z pola widzenia. Wiatr wzrósł z każdą minutą. Niebo rozdarła błyskawica, a potem rozległ się grzmot i spadły pierwsze krople deszczu. Wreszcie Eric uznał, że niebezpieczeństwo minęło, wyszedł zza głazów i poprowadził Brit w górę, tą samą ścieżką, którą wcześniej zeszedli renegaci.

- Skąd wiedziałeś, że ktoś się zbliża? - zapytała Brit. Znowu błysnęło, a potem nad górami przetoczył się

grzmot. Eric potrząsnął głową.

- Powiem ci później. Teraz musimy jechać.

Ścieżka była stroma i kręta. Dał silny wiatr. Niebo raz po raz rozdzierały błyskawice. Grzmoty stawały się coraz głośniejsze. Rozpadało się na dobre.

Pośród gęstniejącej ulewy Eric i Brit pieli się mozolnie pod górę. Błoto pod końskimi kopytami zmieniło się w kałużę, a potem ścieżką popłynęły strumyczki.

- Musimy zejść ze szlaku, bo lada chwila ścieżka zmieni się w rwący potok! - zawołał Eric przez ramię, przekrzykując wiatr.

Brit wjechała za nim w głąb lasu. Głowę przycisnęła do szyi Svald. Czuła zapach deszczu i mokrej końskiej sierści.

Eric prowadził poprzez gąszcz wiecznie zielonych krzewów i drzew. Nisko wiszące gałęzie boleśnie uderzały Brit raz po raz. I nawet tam, w największej gęstwinie, deszcz przebijał się przez sklepienie gałęzi i siekł ich w twarze, miotany wściekłym wiatrem. Na szczęście Svald okazała się bardzo dobrym wierzchowcem i niosła Brit pewnie w górę stromego zbocza, w kierunku wschodnim.

Brit zobaczyła wejście do grotty dopiero wtedy, gdy podjechali całkiem blisko. Tworzyły je dwie półki skalne otoczone drzewami, z dziurą pośrodku. Eric zeskoczył na ziemię i przebył ostatni odcinek drogi na piechotę, prowadząc konia za uzdę. Stopy ślizgały mu się w błocie, ale w końcu udało mu się sforsować niższą półkę, przy wejściu do grotty, i wciągnąć na nią ogiera. Było tam dosyć miejsca dla dwóch osób i pary koni.

Przywołał gestem Brit. Zsunęła się z siodła i zaczęła się wspinać, prowadząc za sobą Svald, aż dotarli do skalnej półki.

- Poczekał tu. - Eric przekazał jej wodze, po czym zniknął w głębi jaskini. Brit puściła go bez protestów. Gdy tak siedziała przy wejściu do grotty, zziębnięta i mokra, musiała przyznać, że straciła cały zapas do wyprawy. Jak widać, Asta nie myliła się, przepowiadając załamanie pogody. Może trzeba jej było posłuchać?

Jednak Brit zawsze postępowała tak samo. Gdy się już na coś zdecydowała, nic nie było jej w stanie powstrzymać. Czy to źle? Może i tak... przynajmniej czasami.

Na przykład w tej chwili.

Konie potrząsały ciężkimi, mokrymi grzywami, opryskując wszystko wokół lodowatą wodą. Ulewa zmieniła się w marznący deszcz.

To dopiero historia! Czy dzięki jej głupocie zasypią ich tu śniegi?

A może to cudownie, że utkną na dłużej w tej grocie, tylko we dwoje?

- Tędy - usłyszała ze sobą głos Erica, dobiegający z głębi pieczary.

Odwróciła się. Eric stał już przy wejściu i trzymał... płonąca pochodnię.

- Skąd to wzięłeś?

- Warto mieć w pogotowiu kilka bezpiecznych kryjówek na wypadek sytuacji takich jak ta. Mamy szczęście. Nikt nie zaglądał od czasu, kiedy tu byłem ostatnio. Chodź!

Pomyślała, że Eric nieustannie ją zaskakuje, po czym, prowadząc oba konie, ruszyła ku temu dumnemu mężczyźnie z płonąca pochodnią w ręce.

Rozdział 10

Tunel, głęboki na około trzydzieści metrów, kończył się przestronną mroczną pieczarą. Eric podszedł do kręgu kamieni. Wewnątrz leżał przygotowany stos drewna. Wystarczyło tylko podłożyć ogień.

Zniżył pochodnię i chrust z miejsca się zapalił. Kręta smużka dymu uniosła się i zniknęła w mrocznych czeluściach. Widocznie w skale były naturalne otwory, przez które dym wydobywał się na zewnątrz.

Brit zdjęła mokre okrycie, rzuciła je na najbliższy głaz i przeczesła palcami splątane włosy. Pomyślała, że trzeba było rozpiąć kołnierz i założyć nieprzemakalny kaptur, kiedy zaczęło padać. Tymczasem Eric wetknął pochodnię w ziemię i obracał ją tak długo, aż płomień zgasł, po czym

odrzuć ciężki kij na bok, koło ogniska. Gdy spostrzegł, że Brit mu się przygląda, odpowiedział miażdżącym spojrzeniem.

No cóż, pomyślała, wzruszając ramionami i unosząc ręce. Aluzję zrozumiałam. Mój błąd.

Niestety, jej nieme przyznanie się do winy nie zrobiło na nim najmniejszego wrażenia.

Jak chcesz, pomyślała. Twoja decyzja.

Skierowała wzrok na ognisko. Bijące od niego ciepło i rażny trzask płonących polan podniosły ją na duchu. Rozejrzała się wokoło. W mrocznym kącie, obok wylotu do tunelu położonego naprzeciw tego, którym przyszli, połyskiwała mała sadzawka.

- Źródło? - zapytała i zaraz tego pożałowała, bo Eric i tak jej pewnie nie odpowie.

Tymczasem, ku jej zdumieniu, wyjaśnił.

- Woda jest czysta, bardzo zimna, i nadaje się do picia.

- Wziął od niej lejce. - Najpierw musimy zająć się końmi.

- Pod ścianą, na skalnej półce znajdowały się zapasy - stos kołder, worek owsa, wiadro...

Eric sięgnął do torby przytroczonej do siodła i wyjął szczotkę oraz zgrzebło.

- Odłóż pistolet.

Brit zrobiła, co polecił bez marudzenia. Zdjęła kurtkę, odpięła kaburę i odłożyła ją na płaski kamień, niedaleko ogniska, po czym znów się ubrała, bo trzęsa się z zimna.

Rozsiodłali konie, wytarli i wyszczotkowali im boki i rozczesali grzywy. Zajął im to sporo czasu, tym bardziej że mieli tylko jedną szczotkę i grzebień. Brit rozgrzała się, zdjęła kurtkę i położyła ją na kamieniu przy ogniu, żeby wyschła.

Milczeli oboje. Eric pracował z zaciętą miną. Czy mogła mieć o to do niego pretensje? Raczej nie.

- Nakarmię konie - powiedział, kiedy skończyli je oporządzać. - Zdejmij mokre ubranie. Trzeba je wysuszyć. - Rzucił jej kołdrę, żeby się nią owinęła.

Dzięki grubym butom Brit zachowała suche skarpety, ale spodnie miała kompletnie przemoczone. Od pasa w górę było na szczęście trochę lepiej. Nieprzemakalna kurtka, choć z wierzchu wilgotna, zabezpieczyła ją przed deszczem. Trochę nalało się przez wycięcie przy szyi, ale reszta była sucha. Brit pomyślała, że szybko wyschnie, jeżeli stanie przy ogniu.

Bandaż także, na szczęście, nie przemokł.

Wycofała się w kąt grotu, po czym zdjęła buty i podskakując na palcach, ściągnęła przemoczone spodnie oraz bieliznę. Eric ani razu nie spojrzał w jej stronę - a nawet jeśli to zrobił, nie udało jej się go przyłapać.

Swoją drogą to jakaś dziecinada zerkać raz po raz w jego stronę, żeby sprawdzić, czy jej nie podgląda. Jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie, czy patrzy na nią, czy nie, kiedy podryguje na jednej nodze bez spodni. Zresztą, i tak by dużo nie zobaczył, a w tej sytuacji jest mu pewnie wszystko jedno.

Brit owinęła się kołdrą od pasa w dół, założyła buty i podeszła do ogniska, niosąc spodnie oraz dwie pary przemoczonych majtek. Rozłożyła je na kamieniach, po czym usiadła na większym głazie, wyjęła z torby grzebień i zaczęła rozczesywać włosy.

Eric skończył robotę przy koniach i wycofał się do swojego kąta. On także śmiesznie podrygując, zdjął z siebie mokre ubranie. Oczywiście Brit go nie podglądała, ale wiedziała, jak to wygląda, bo robiła to samo kilka minut wcześniej.

Po chwili opasany kołdrą Eric dołączył do Brit przy ognisku. Pierś miał obnażoną. Widocznie kurtka także mu przemokła.

Brit przyłapała się na tym, że wpatruje się nie w połyskujący medalion, tylko w pięknie umięśniony, muskularny tors Erica.

Po chwili odwróciła wzrok i, wpatrzona w czubki swoich butów, wzięła się za rozplątywanie

włosów.

Eric zaśmiał się cicho.

Popatrzyła na niego, a gniewne słowa same cisnęły się na usta.

- Masz mi coś do powiedzenia? - zapytał i oczy mu się zaświeciły.

- Nie, nic.

Właściwie czemu się tak na niego złości? Przecież w głębi duszy jest mu głęboko wdzięczna. Gdyby jechała sama, wpadłaby wprost w ręce tych czterech drabów, niosących upolowaną sarnę. Nawet gdyby się z nimi minęła, tkwiłaby teraz gdzieś na deszczu, kompletnie przemoczona i zdezorientowana. Dzięki Ericowi może bezpiecznie przeczekać burzę w suchym i w miarę wygodnym miejscu.

- Posłuchaj - powiedziała, pragnąc, by czas minął im w miarę spokojnie. - Mam nadzieję, że nie jesteś na mnie aż tak bardzo wściekły.

Eric, który rozkładał mokre ubrania na kamieniach, spojrzał na nią bez słowa.

Wtedy uświadomiła sobie, że po raz drugi patrzy na jego obnażone ciało, i szybko spuściła wzrok.

- Masz ładne buty - zauważył.

- Lubię je - powiedziała z mimowolnym uśmiechem. Eric patrzył na nią wyczekująco. - Mam rozumieć, że między nami zgoda? Nie znienawidziłeś mnie za to, że nas wpakowałam w tę kabałę?

Erie zamyślił się, a w końcu odparł:

- Owszem, przyznam, że byłem na ciebie zły. Kiedy wpatrywałaś się w swoje buty, przyszło mi do głowy, że równie dobrze mógłbym mieć pretensje do deszczu, że pada. Jak mogę cię winić za to, że jedziesz tam, gdzie, jak sądzisz, powinnaś pojechać? - Mówiąc to, stał oparty o stromy głąz.

Brit walczyła z ostatnim splątaniem mokrych włosów.

- Ja nie tylko sądzę, że powinnam tam pojechać - zwróciła się do Erica, który słuchał jej w milczeniu. Popatrzyła na niego i z uśmiechem dorzuciła: - Staramy się za wszelką cenę uniknąć kłótni, prawda?

- Ja w każdym razie staram się ze wszystkich sił. Nareszcie udało jej się rozczesać uparty kosmyk.

- To widać. Muszę przyznać, że świetnie ci to wychodzi.

W torbach przytroczonych do siodeł mieli suchary, plastry suszonego mięsa, suszone jabłka i zbożowe batoniki, czyli ziarno sprasowane z orzechami, osłodzone miodem. Rozpostarli na ziemi kołdrę i zasiedli do posiłku, używając siodeł jako oparcie.

Brit rozłożyła chusteczkę do nosa, a na niej dwa suchary, kilka plasterków suszonego mięsa, zbożowy batonik oraz bezcenną torebkę drażetek.

Sięgnęła po suchara, a potem zwróciła się do Erica:

- Chyba teraz możesz mi wyjawić, skąd wiedziałeś, że ci ludzie schodzą z góry?

Eric żuł wolno batonik. Przełknął kęs i odparł:

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Może moja podświadomość zarejestrowała pewne dźwięki, których w rzeczywistości nie słyszałem. A może uderzyła mnie podejrzana cisza?

Jaka cisza? A wiatr szumiący w gałęziach drzew? Brzęk uprzęży i cichy stukot końskich kopyt?

Eric musiał poznać po jej minie, że nic nie rozumie, bo dorzucił:

- To chyba instynkt. Coś, co się z czasem rozwija w człowieku. Kiedy jechaliśmy przez las, wszystkie mniejsze stworzenia - oprócz głupich wiewiórek i niektórych ptaków - cichły z obawy przed nami, traktując nas jak potencjalnych napastników. My zachowaliśmy się głośno, ale otaczała nas cisza. Ci ludzie, zbliżając się ku nam, przyprowadzili ze sobą własny krąg ciszy. A

ja go wyczułem.

Brit zamachała kawałkiem suchara.

- Ach, tak. To wszystko wyjaśnia.
- Nadal nic nie rozumiesz? Spojrzała mu w oczy.
- Tak, rozumiem, przynajmniej częściowo.

Eric odgryzł kawałek suchara. Brit zrobiła to samo i pomyślała, że żucie pomaga utrzymać mięśnie szczęki w doskonałej formie.

Przełknęła i zapytała:

- Często bywałeś w Vildelundzie? -Tak.
- Ojciec cię tu przywoził? Eric potrząsnął głową.
- Ojciec był bardzo zajęty. Przebywał przy królu, na południu, a jego praca nie pozwalała mu na podróże z rodziną. Za to moja matka uwielbiała życie mistyków. Często przyjeżdżała do Vildelundu na dłuższe wizyty i na ogół zabierała mnie z sobą.

Brit pomyślała o swoim bracie. Sif mówiła jej, że on też tu bywał.

- A Valbrand? Czy tu przyjeżdżał? - zapytała, a gdy Eric skarcił ją wzrokiem, zachnęła się, urażona. - Jak to? To już nawet nie mogę zapytać o brata? Rozmawialiśmy przecież o nim ubiegłej nocy.

Zapała cisza.

- To prawda - przyznał Eric po namyśle. Odłożyła na wpół zjedzony batonik.
- Chciałabym dowiedzieć się o nim czegoś więcej, co myślał i jaki był. Proszę cię, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. - Bez wahania użyła czasu przeszłego, choć ani przez minutę nie wierzyła, że jej brat nie żyje. Uznała jednak, że to najlepszy sposób na przekonanie Erica, że nie próbuje go podejść. Jest tylko siostrą spragnioną wiadomości o bracie, którego nie miała okazji poznać. Powtórzyła pytanie: - Czy Valbrand przyjeżdżał z tobą do Vildelundu?

Otrzymała odpowiedź:

- Tak, wiele razy
- Podobało mu się tu? -Tak.
- Dlaczego?
- Lubił dziką przyrodę i pewnie też spokój, jakie niesie ze sobą życie w zgodzie z naturą.
- A więc lubił to samo co ty?
- Tak.
- Czyli nie odpowiadało mu życie na królewskim dworze? Błady uśmiech pojawił się na ustach Erica.

- Wręcz przeciwnie. Uwielbiał życie na królewskim dworze.

- Hm. Łatwo go było zadowolić, prawda?

- Można tak powiedzieć. Valbrand potrafił cieszyć się każdą chwilą. Wszędzie czuł się dobrze. Pełnienie ważnych funkcji na dworze sprawiało mu przyjemność. Bez względu na to, jak długie i nudne bywały rozmaite ceremonie, on zawsze był na miejscu, uśmiechnięty i zaaferowany. - Zapatrzył się w ogień. - Taki był twój brat. Wszystkim się interesował i w każdym widział przede wszystkim jego zalety.

Choć odchodziła w ten sposób od tematu, nie mogła się powstrzymać, by nie zadać pytania:

- A tobie podoba się życie w Isenhalli?
- Nie tak bardzo jak Valbrandowi. - Wymienili spojrzenia, po czym Eric dorzucił: - Ale uważam, że jest stymulujące. Król i mój ojciec są w pewnym stopniu odpowiedzialni za dobrobyt każdego mieszkańca Gullandrii. Wykonują bardzo ważną pracę. Dorastałem ze świadomością, że przyjdzie taki czas, kiedy moim świętym obowiązkiem będzie pomagać naszemu królowi, czyli twojemu bratu, w rządzeniu państwem. W oczekiwaniu na ten moment miałem za zadanie jak

najlepiej przygotować się do objęcia przyszłej funkcji.

- A teraz?

- Teraz? - powtórzył z żalem. - Przyszłość nie wydaje mi się już taka oczywista. Są na tej drodze liczne wyboje i zakręty. Nie potrafię przewidzieć, co mnie czeka za każdym z nich.

- To wszystko, od czasu gdy mój brat zaginął na morzu? Eric patrzył na nią przez chwilę, mrużąc oczy, a potem

wyciągnął prawą rękę. Na nadgarstku widniała cienka biała blizna.

- Valbrand miał taką samą - powiedział.

- Odkąd połączyło was braterstwo krwi?

- Tak. - Pokiwał głową. - Podczas ceremonii ślubowania każdy z nas utoczył krwi do czary, a potem piliśmy na przemian naszą zmieszaną krew aż do ostatniej kropli. - Opuścił rękę. - Kiedy zaginął, straciłem nie tylko najdroższego przyjaciela i brata z krwi, ale również przyszłego partnera w pracy na rzecz ojczyzny. Ta śmierć była dla mnie strasliwym ciosem, jakbym bezpowrotnie utracił swoją drugą połowę.

Brit nie wiedziała, co powiedzieć, więc tylko bez słowa pogłaskała Erica po rękę, by mu wyrazić swoje współczucie. Choć była pewna, że Valbrand wrócił, nie wątpiła, iż Eric przez jakiś czas wierzył w jego śmierć, i wiara ta zmieniła go w sposób nieodwracalny.

Eric chwycił jej rękę, uściśnął ją przelotnie, a potem puścił.

Pod ścianą grotty ułożono stos drewna na opał. Przy samym ognisku leżało kilka mniejszych gałęzi. Eric poderwał się ze zdumiewającą gracją, zważywszy na kołdrę krępującą mu nogi, chwycił gałąź, złamał ją i przykucnął, by dorzucić do ognia.

Brit z zachwytem popatrzyła na jego silne plecy i prostą linię kręgosłupa, rysującą się na gładkiej skórze, gdy wkładał gałąź do ogniska. Kilka iskier wystrzeliło w górę, ku ciemnościom, by za chwilę zgasnąć i opaść wolno na ziemię.

Eric wrócił i usiadł, opierając się o siodło.

- A ty, moja nieustraszona? Z kim czujesz się związana? Brit wzniosła oczy do nieba.

- Nieustraszona? - Spojrzała mu w oczy. - Raczej nie. Myślę, że daleko mi do tego.

- Nie pozwalasz, by rządził tobą strach.

- To prawda. Porozmawiaj z moją matką. Ona twierdzi, że celowo szukam tego, co napawa mnie lękiem.

- Ale dlaczego?

- Mama mówi, że ekscytuje mnie walka z własnym strachem.

- I ma rację?

- Może. Czasami - odparła z westchnieniem. - Zawsze czułam się jakby nie na swoim miejscu. Jakbym wciąż szukała czegoś, co nie istnieje.

- Czego się boisz? - łagodnym tonem zapytał Eric.

Brit odparła po namyśle.

- Śmierci. Pod tym względem nie jestem chyba szczególnie oryginalna. Po prostu, jak większość ludzi, nie jestem jeszcze na nią gotowa.

- Mimo to potrafisz stawić jej czoło. Zrobiłaś to przecież ostatnio.

Brit bezwiednie dotknęła rany na ramieniu. Eric pokiwał głową.

- Znów będziesz musiała się z nią zmierzyć, co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

- Tak, ale wolałabym, żeby nie nastąpiło to zbyt szybko,

- Twoja matka byłaby pewnie innego zdania.

- Z całą pewnością jest innego zdania.

- Matki potrafią być takie irytujące, bo zbyt często mają rację.

- Niestety - przyznała z westchnieniem. Eric wzruszył ramionami.

- Na każdego przyjdzie taki czas, że śmierć go pokona. Nasi praojcowie to rozumieli i prosili tylko o jedno: by umrzeć w walce.

Nasi praojcowie. Mogła ich sobie bez trudu wyobrazić. Wystarczy zamknąć oczy. Odważni wikingowie w długich łodziach - brutalni, wyznający jedynie rycerski kodeks. Wiosłujący niez mordowanie, ze wzrokiem wbitym w horyzont, ku najbliższemu portowemu miastu, które dojrzało do tego, by je złupić.

- Śmierć to coś, czemu musimy się poddać - ciągnął Eric. - Nawet jeżeli przez całe życie próbowaliśmy temu zaprzeczyć.

Co można na to powiedzieć? Nic, dlatego milczała.

- Wróć do mojego pytania - powiedział Eric. - Z kim czujesz się związana?

- Z rodziną: matką i siostrami. Z ojcem, choć to dziwne, bo przez tyle lat go nie widziałam. Gdy go zobaczyłam, wydało mi się, jakbym znała go przez całe życie. - Odwróciła wzrok i pomyślała, że Erica też to dotyczy. Jednak nie chciała mu tego wyznać. Byłoby to nierozsądne w sytuacji, gdy są sam na sam, przy ognisku, i muszą przeczekać burzę, rozebrani, owinięci w kołdry.

- Z kim jeszcze? - pytał dalej.

Spojrzała na niego, unosząc dumnie głowę.

- Z moim bratem. - Zabrzmiało to jak wyzwanie. Eric nie podjął go jednak.

- I jeszcze z kim...?

- Z moją przyjaciółką. Mieszka w Los Angeles i nazywa się Dulcie Samples. Poznałam ją w trakcie warsztatów literackich. Ma rude włosy, poczciwe orzechowe oczy i najlepsze serce w całej Kalifornii.

- To twoja najlepsza przyjaciółka? - Tak.

- I znalazłaś ją... na warsztatach literackich?

- Owszem.

- Jesteś pisarką?

- Chciałabym. Zaczęłam dziesięć powieści i żadnej nie skończyłam.

- Czemu mówisz to wyzywającym tonem?

- Studiów też nie ukończyłam. Niektórzy mówią, że wciąż powielam pewien schemat.

Eric nie skomentował tego, tylko zapytał:

- A twoja przyjaciółka Dulcie?

- Napisała trzy powieści - od A do Z. Wprawdzie jeszcze żadnej nie wydała, ale wierzę, że nadejdzie taki dzień.

- A co z tobą?

Machnęła ręką.

- Bądźmy szczerzy. Całe to siedzenie przy klawiaturze... Nie mogę po prostu tego wytrzymać...

- Kobieta czynu?

- Chyba tak. - Jakiś metr dalej Svald potrząsnęła łbem i parsknęła cicho. - Widzisz, nikt mnie nie szanuje. Nawet mój koń.

- Ja cię szanuję. - Eric patrzył na Brit zaczepnie, ale to nie miało znaczenia. Wiedziała, co chciał jej powiedzieć. - A mężczyźni? - dorzucił z powagą. - Oczywiście poza ojcem... i bratem. Czy jest mężczyzna, z którym czujesz się związana?

- Nie, w tej chwili nie. - Czy to kłamstwo? Może. Bo czuła się odrobinę związana z Erikiem.

Czy on zdaje sobie z tego sprawę? Nawet jeśli tak, to nie dał po sobie nic poznać.

- A byli w twoim życiu mężczyźni, na których ci zależało? Czy ich rozmowa powinna zmierzać w tym kierunku?

Raczej nie. Mimo to wyjawiała:

- Owszem, kilku, ale nigdy nic z tego nie wyszło.

- To dobrze - stwierdził Eric.
- Grajmy równo - rzuciła. - Co z tobą? - Nie mogła sobie odmówić tego pytania.
- Raz czy dwa coś było na rzeczy, ale nic poważnego i dawno temu. Przez ostatnie siedem lat czekałem na ciebie.
No tak, najwyższa pora zmienić temat. Nie zrobiła tego jednak.
- Erie, posłuchaj...
- Słucham - rzucił z leniwym uśmiechem.
- Och, proszę cię, siedem lat to niemal cała dekada. Ile masz lat?
- Trzydzieści.
- To... jakieś chore.
- Nie, to prawda.
- Mówiąc, że czekałeś, nie miałeś chyba mnie na myśli?
- Dokładnie to miałem na myśli. Ciebie konkretnie.
- Masz nierówno pod sufitem czy co?
- Nie ma tu żadnego sufitu, więc pewnie to znów jakieś wyrażenie, którego nie znam.
- Owszem, ale do rzeczy. W wieku dwudziestu trzech lat doszedłeś nagle do wniosku, że masz dość przelotnych romansów i zaczynasz czekać na Brit? Czy to chcesz mi powiedzieć?
- Aha, teraz rozumiem twoje pytanie. Rzeczywiście, czekałem konkretnie na ciebie, lecz nie wiedziałem, kim jesteś, póki nie przyjechałaś do Vildelundu, by mnie odszukać. A że to akurat ty, dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy zobaczyłem, że nosisz mój medalion.
Jednym ruchem przesiadł się bliżej Brit. Objął ją za szyję i zaczął bawić się jej prawie suchymi włosami. Zachnęła się.
- Wracaj na swoje siodło.
- Mówisz to bez przekonania - zauważył.
Jak mogło być inaczej, skoro czuła przy sobie jego silne ciało?
- To nie w porządku... - zaczęła.
- Jak najbardziej w porządku. Tak właśnie miało być.
- Nie mówmy o tym, co miało być.
- Dobrze, skoro nalegasz. Przynajmniej w tej chwili. -Przestał bawić się jej włosami.
- Kiedy jesteś tak blisko... - Urwała, bo nagle zabrakło jej tchu.
- To co?
- To nie mogę...
- Czego nie możesz?
- Niech cię wszyscy diabli! Lepiej mnie pocałuj.
- Twoje życzenie jest dla mnie rozkazem - powiedział Eric, ale jego kuszące usta pozostały dokładnie w tym miejscu, co przedtem. Poprzez sweter i bluzkę czuła na piersi ciężar medalionu, tuż nad sercem.
Tamtej nocy, w namiocie Rindy, widok tego medalionu sprawił, że przysł czar.
Ale nie dziś.
Zarzuciła Ericowi ręce na szyję. Ich wargi się spotkały. Nareszcie!

Rozdział 11

Eric całował ją tak, jakby nigdy przedtem nie całował innej kobiety. Jakby był to pierwszy i jedyny pocałunek w jego życiu.

Pierwszy i ostatni.

Eric całował ją tak, że gotowa była uwierzyć, iż „tak właśnie miało być”. Że było im to pisane. Jemu i jej. Że odtąd będą już razem.

Po latach samotności i czekania na ten moment.

W tej chwili była gotowa zapomnieć o bracie, o swojej misji, i uwierzyć w kłamstwo, że Valbranda nie ma już wśród żywych. Całował ją, a ona słyszała muzykę skrzypiec i widziała spadające gwiazdy.

Wreszcie Eric oderwał usta od jej warg i uniósł lekko głowę, by móc na nią spojrzeć z góry.

Ach, te jego oczy...

Nikt nie miał takich oczu. Koloru świerków. A może malachitu? Oczu, które potrafiły zaglądać wprost do jej duszy.

- Chodź tu - wyszeptła Brit. - Pocałuj mnie jeszcze raz.

Zrobił to natychmiast.

Cudownie było móc dotykać jego gładkiej, rozgrzanej skóry. Brit położyła rozpostartą dłoń na piersi Erica. Czowała, jak bardzo jej pragnie. Cofnęła się.

- Nie rób tego - powiedziała, marszcząc brwi.

- Niby czego?

- Nie wycofuj się.

Znow się nachylił, ale tylko na moment, by musnąć usta Brit. Potem odsunął się i wolno pokręcił głową.

- Żałuję, ale czas jest nieodpowiedni. Poczowała przyływ irytacji.

- Tej nocy, którą spędziliśmy u *kvina soldars*, wcale tak nie uważałeś. Wręcz przeciwnie, wydawało ci się, że czas jest jak najbardziej odpowiedni.

Eric wrócił na swoje siodło.

- Co się dzieje? - Brit wyprostowała się. - Co ja takiego zrobiłam?

- Nic. Mógłbym cię tak całować przez całą wieczność.

- To wszystko wyjaśnia - rzuciła, marszcząc nos.

Eric znalazł na kołdrze gałązkę i wrzucił ją do ognia. Obserwowali w milczeniu, jak płomienie liżą ją i ogarniają, by w końcu ją pochłonąć.

Wreszcie Eric powiedział:

- Tamej nocy wiedziałem, że mnie nie przyjmiesz. Nie byłaś jeszcze na to gotowa. Zgodziłaś się jednak na pocałunki i ofiarowałaś mi kilka naprawdę bardzo słodkich. Przyjąłem je, mając świadomość, że mnie na koniec odtrącisz. Ale tej nocy... Nie chcę, byś zrobiła coś, czego mogłabyś później żałować.

Chciała zaproponować, ale on miał rację. Nie była jeszcze gotowa.

Może nigdy nie będzie. A z pewnością dopóty, dopóki Eric nie wyjawí najważniejszej prawdy, tej, której wciąż jej odmawiał.

Oparła się z westchnieniem o siodło.

- Na jak długo, twoim zdaniem, ugrzęźliśmy w tej grocie?

- Póki nie przejdzie burza. Najpewniej do jutra. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Brit popatrzyła na zegarek. Było dopiero południe.

- Wzięłaś talię kart?

- Przykro mi, ale nie.

- Trudno. O czym będziemy rozmawiać?

- A musimy koniecznie rozmawiać?

- Nie. - Mimo wszystko milczenie nie wydawało się najlepszym sposobem na przeczekanie burzy. Brit zerknęła z ukosa na Erica. - Czytałeś ostatnio dobrą książkę?

- Kilka - odparł. - Właśnie skończyłem „Krótką historię czasu” Hawkinga.

- Nie żartuj. Nie znam nikogo, kto by ją przeczytał do końca.

- To książka o czarnych dziurach. Naprawdę fascynująca.

- No tak, wyobrażam sobie. Przejdźmy lepiej do muzyki.

Eric podniósł rękę.

- Teraz twoja kolej.

- Dobrze. Eminem.

- Masz na myśli tego rapera? To takie amerykańskie, deklamować w rytm muzyki. O ile pamiętam, nazywa się Marshall Mathers.

- Dokładnie. Eric skrzywił się.

- Eminem jest kontrowersyjny. Słyszałem, że w swoich piosenkach obraża kobiety. Mimo to jest twoim ulubieńcem?

Wzruszyła ramionami.

- Wszystko wzięło się stąd, że miał złe relacje z matką. Jestem w stanie to zrozumieć. - Sięgnęła po torebkę drażetek, rozdarła opakowanie i wyciągnęła rękę do Erica.

- Masz ochotę?

- Chyba tak. Dziękuję.

- Nie krępuj się. Weź sobie pięć czy sześć.

- Widzę, że jesteś hojna.

- Owszem. Popatrzył jej w oczy.

- Wolę brać po jednej - stwierdził, a widząc, jak Brit z aprobatą kiwa głową, włożył cukierek do ust.

Brit także wzięła jedną drażetkę. Rozsiedli się wygodnie i, zapatrzeni w ogień, powoli ssali kolorowe cukierki.

Odgłos był bardzo cichy. Dochodził z drugiego końca tunelu, zza podziemnej sadzawki. Jakby ktoś rzucił garścią kamyków o skałę. Eric z miejsca rozpoznał ten sygnał.

Odrzucił bezszelестnie kołdrę. Miał na sobie kompletne ubranie, oprócz butów. Ich stroje już wczesnym popołudniem były suche. Buty Erica czekały tam, gdzie jej postawił - koło postania. Założył je i zawiązał sznurowadła.

Ogień dogasał w kamiennym kręgu. Eric wstał i położył kilka polan na żarzące się węgle. Zza jego pleców dobiegł szelest. Usłyszał ciche westchnienie, a potem jęk. Odwrócił się od ognia i spojrzał na przeznaczoną mu kobietę.

Leżała na wznak, z rozrzuconymi rękami. Jasne, potargane włosy zakrywały zrolowaną kurtkę, której użyła jako poduszki. Krzywiła się przez sen.

- Uff - jęknęła, a potem się uśmiechnęła.

Brit we śnie zachowywała się tak jak w życiu - angażowała się całą swoją istotą.

Spod kołder wystawała jej stopa w grubej wełnianej skarpecie. Mruknęła gniewnie i rozkopała kołdrę, odsłaniając nogę w dżinsowych spodniach. Eric z trudem opanował pokusę, by cofnąć się i starannie ją okryć. Polana, dorzucone do ogniska, już się zapaliły, więc nawet jeśli Brit zmarzła, szybko się rozgrzeje.

Odczekał jeszcze chwilę, żeby sprawdzić, czy się nie obudziła. Choć wciąż postękiwała i coś mówiła, nabrał pewności, że robi to przez sen.

Dopiero wtedy odważył się wziąć kurtkę z kamienia, na którym ją suszył, i wyszedł po cichu, naciągając wierzchnie okrycie. Przeciął skalną komnatę, minął sadzawkę ze źródłem i zniknął w ciemnym tunelu.

Światła nie potrzebował, gdyż doskonale znał drogę. Wąski korytarz wiódł początkowo w głąb góry, by po jakichś dwudziestu metrach skrócić ostro w prawo.

Tunel kończył się skalną półką podobną do tej, przez którą weszli wcześniej do groty.

Burza już przeszła, powietrze było czyste i rześkie. Musiało się też bardzo ochłodzić, bo oddech Erica zbierał się w małe obłoczki, a rozmiękła ziemia była pokryta cienką warstwą śniegu, który

pewnie szybko stopnieje, gdy wszędzie słońce.

Drzewa skrzypiały cicho, poruszone wiatrem. Eric czekał w napięciu, wyęzając słuch.

Wreszcie usłyszał to, czego się spodziewał - poruszenie na zboczu góry, po lewej stronie. Odgłos był tak cichy, że można go było wziąć za kroki wiewiórki, której zachciało się hasać po nocy.

Dźwięk ten jednak nie był przypadkowy, o czym Eric doskonale wiedział.

Sprawcą jego była znacznie większa istota, poruszająca się na dwóch nogach. Istota siejąca postrach wśród ludzi o nikczemnych charakterach i złych intencjach.

Eric odwrócił się i zobaczył parę czarnych butów, wystającą spod dolnych gałęzi gęstego świerka.

Reszta czarnej postaci stapiała się z pniem drzewa.

Eric przytknął złożone ręce do ust i mocno dmuchnął. Dźwięk przypominał częściowo gwizd, a po części szum wiatru w koronach drzew.

Był to sygnał oznaczający, że droga jest wolna i nie ma potrzeby dalej się ukrywać.

Porozumiewali się przy jego pomocy od dzieciństwa.

Valbrand oderwał się od pnia i wyszedł spod zwisających gałęzi. Zwinnie jak dziki kot zbiegł po zboczu i zatrzymał się przy Ericu, na skalnej półce.

Rozdział 12

Czarną maskę uszyła Asta tak zręcznie, że szwów prawie nie było widać. Przylegała do oszpeconej twarzy Valbranda jak druga skóra. Skośne otwory na oczy nadawały jej koci wyraz.

W miejscu ust znajdowało się małe rozcięcie, z którego głos Valbranda, niski i lekko stłumiony, wydobywał się wraz z obłoczkami pary.

- Jesteś pewny, że ona się nie obudzi? Eric uśmiechnął się.

- Czy człowiek może być czegokolwiek pewny, gdy w grę wchodzi twoja zbuntowana siostrzyczka?

Ciemne oczy błysnęły za otworami w masce.

- Jednego możesz być pewny - że ona jest twoja. Ericowi odechciało się śmiać.

- Ona zna prawdę. Choć kłamałem przy każdej okazji, wciąż się upiera, że cię widziała na miejscu katastrofy i później, u mojej ciotki. Nic nie jest w stanie zachwiać jej wiarą w to, że żyjesz.

Valbrand cofnął się o krok.

- Musisz patrzeć na mnie takim krytycznym wzrokiem?

Wiem, że powinienem posłuchać twojej rady i nosić maskę, kiedy ją odwiedzałem podczas choroby. Byłem święcie przekonany, że nic do niej nie dociera.

- Po co ryzykowałeś? - spytał z wyrzutem Eric. - Chyba że w głębi serca chciałeś, żeby cię zobaczyła i dowiedziała się, że żyjesz.

Ciemne oczy spojrzały w bok.

- Moja odpowiedź nadal brzmi „nie”.

Eric wbił wzrok w rozgwieżdżone niebo. Gdzieś tam, pośród bezkresnej nocy, czarne dziury tylko czekały, by wchłonąć bezbronne światy w wir zapomnienia. Czasami odnosił wrażenie, że to samo dzieje się tutaj, na ziemi.

Pomyślał o swoim przeznaczeniu. Urodził się, by towarzyszyć stojącemu obok mężczyźnie. Przyświecał mu jeden cel: gdy Valbrand obejmie tron, on, Eric, zostanie jego doradcą. Jeden z nich będzie rządził krajem, drugi będzie mu udzielał wyważonych, obiektywnych porad. Podobnie jak było z ich ojcami.

Czy w obecnej sytuacji uda im się wprowadzić w życie ten plan? Eric coraz bardziej w to wątpił.

Skierował wzrok na stojącą obok postać w czerni.

- Czy prosiłem cię o to?

- Nie, ale zamierzałeś.

Nie było sensu zaprzeczać. Zbyt dobrze się znali.

- Owszem, bo zaczynam się niecierpliwić. Czy można mieć mi to za złe?

- Mieć za złe? Tobie? - łagodny głos Valbranda był nabrzmiaty żalem. - Nigdy w życiu.

- Pokażesz jej się w końcu?

- Tego nie mogę obiecać.

Zawsze ta sama odpowiedź. Od tylu lat Eric żywił nadzieję, że jego przyjaciel dojdzie wreszcie do siebie po traumatycznych przeżyciach.

Jednak nadzieja ta topniała w miarę upływu czasu.

Sześć miesięcy minęło od dnia, w którym odnalazł przyjaciela - żalony strzęp dawnego Valbranda, wegetującego w grocie na jednej z wysepek u wybrzeża Islandii.

Z początku Valbrand nie chciał nawet wyjść z kryjówki, żeby z nim porozmawiać. Trzeba było wielu tygodni, by odbudować w nim zaufanie jak w zaszczytym dzikim zwierzęciu. W końcu Ericowi udało się go przekupić jedzeniem i ciepłymi kołdrami. Nareszcie mógł się do niego przybliżyć.

Kolejne tygodnie upłynęły na próbach przekonania Valbranda, by zechciał wrócić do domu. Ceną była złożona przez Erica przysięga, że zawsze będzie w pobliżu i zachowa w tajemnicy wiadomość, iż jego przyjaciel żyje, dopóki Valbrand nie uzna, że jest już gotowy. Tylko nieliczni spośród mistyków mogli wiedzieć, że przeżył morską katastrofę.

Po powrocie do kraju Eric zostawił Valbranda pod opieką Asty, a sam wyprawił się na południe, do Isenhalli. Przed wyjazdem musiał złożyć przysięgę, że wróci niebawem. W pałacu królów Gullandrii okłamał i ojca, i króla Osrika. Oświadczył, że czas poszukiwań minął i że pogodził się ze śmiercią Valbranda. Kłamstwo to uwierало go jednak od samego początku, choć nigdy tak dotkliwie jak teraz. Jak forteczny mur oddzielało go od kobiety, która miała zostać jego żoną.

- Byłem na miejscu katastrofy - powiedział Valbrand. Poprzedniej nocy ustalili, że się tam wybierze.

-I co?

- Sześciu strażników ciągle pilnuje tego miejsca. - Podczas choroby Brit wrócili razem na miejsce wypadku, by się przekonać, że sześciu ludzi przybyło łodzią od strony fiordu. - Łódź cumuje trzy kilometry na zachód. Widziałem dwóch na łodzi, a czterech na lądzie. Potem ci z łodzi przyszli zwołać dwójkę pilnującą wraku samolotu.

- Jesteś pewny, że to strażnicy?

Valbrand pokiwał głową.

- Wślizgnąłem się na pokład, kiedy nikogo nie było, i rozejrzałem się.

- Więc to ludzie króla?

- Na to przynajmniej wygląda.

- Mimo to im nie ufasz?

- Nie ufam nikomu oprócz ciebie. Dobrze o tym wiesz. Powiem ci też, że parę spraw mnie zastanawia. Mój ojciec musiał przecież wysłać mechanika, aby obejrzał maszynę. To rutynowa procedura. Chciałbym się dowiedzieć, co stwierdził ten człowiek. Jakie masz plany na jutro?

- Pojedziemy na miejsce wypadku. Oczy pod maską zwężyły się w szparki.

- Oszalałeś? Nie wolno jej dopuścić do tego miejsca.

- Twoja siostra gwizdże na to, czego jej nie wolno. Nic jej nie powstrzyma.

- Myślałem, że zgodnie z twoim planem...

- Wzięła kompas i potrafi się nim posługiwać. Ma też dokładną mapę, narysowaną przez mojego ojca. Jeżeli się zorientuje, że coś jest nie tak, sama znajdzie drogę.

- Wobec tego musisz ją przekonać, że niebezpieczeństwo jest zbyt poważne. Trzeba ją zawrócić.
- Niczego nie rozumiesz - tłumaczył cierpliwie Eric, choć wszystko się w nim gotowało. - Ona już się zdecydowała. Nie wróci do wioski, póki nie obejrzy szczątków samolotu.

Valbrand potrząsnął głową.

- Nic w ten sposób nie zyska. Nawet jeżeli strażnicy okażą się na tyle życzliwi, że dopuszczą ją do maszyny, i tak nic tam nie znajdzie.

- Po co w ogóle ta rozmowa? - Eric hamował się z coraz większym trudem. - Próbujesz przekonać mnie o czymś, co sam dobrze wiem. A może spróbujesz jej to wyperswadować?

Zza maski rozległo się prychnięcie.

- Sarkazm, mój przyjacielu?

- Zrodzony z frustracji. Ona musi się dowiedzieć, że żyjesz. Podobnie jak nasi ojcowie. Drepczemy w miejscu, patrząc, jak rozwiewają się nasze nadzieje.

Dłoń w czarnej rękawiczce przecięła powietrze.

- Nie mogę. Jeszcze nie teraz.

- Możesz, tylko nie chcesz. - Eric przysunął się do przyjaciela i zaczął mu tłumaczyć z przejęciem: - Nie myśl sobie, że uważam to za łatwe. Konfrontacja z twoim ojcem może się okazać dla ciebie znacznie trudniejsza niż koszmar, przez jaki przeszedłeś. Ja byłem cierpliwy. Czekałem, aż będziesz gotowy - u twego boku, jak ci obiecałem. Ale jest tyle rzeczy do zrobienia. Trzeba zdemaskować tylu zdrajców; naprawić wiele krzywd. Niczego nie osiągniemy, jeżeli nadal będziesz się ukrywał i nosił maskę.

Valbrand odwrócił wzrok

- Maską przysłużyła się nie tylko mnie, ale i mojemu ludowi. Nosząc ją, uratowałem wiele ludzkich istnień.

Było w tym sporo prawdy. Z początku, gdy Valbrand zgłosił się po Starkavina, czarnego ogiera odebranego renegatom, kiedy poprosił Astę, by uszyła mu czarną maskę oraz czarny strój, Eric był pełen nadziei. Wydawało mu się, że na początek to dobry krok. Że wizja grasujących band skłoni Valbranda, by znów wkroczył do akcji. Że w przebraniu legendarnego bohatera rozprawi się z nimi i przywróci spokój. Zakładał, iż z czasem przyjaciel dojrzeje do tego, by zrzucić maskę, że wróci do ojca i rozprawi się z wrogami. A gdy się z tym wszystkim upora, będzie mógł, jako prawowity spadkobierca i najlepszy pretendent, zasiąść na tronie Gullandrii.

Jednak czas mijał, a Valbrand nie okazywał najmniejszej ochoty, by zdjąć maskę i opuścić dzikie ostępy.

- Ja przysięgi dotrzymałem - powiedział Eric. - Trwałem wiernie u twego boku. Dla ciebie dopuściłem się kłamstwa. Jednak nie zamierzam pomagać ci w dalszym okłamywaniu samego siebie. Dobrze wiesz, że największe zło przyczaiło się na południu. Musisz je wykorzenić i stawić mu czoło bez maski Czarnego Rycerza!

- Kiedy będę gotowy. - Ton Valbranda świadczył o tym, że uważa dyskusję za zamkniętą.

Erica ogarnęła fala straszliwego zmęczenia. Zrobiło mu się ciężko na sercu.

- Skoro tak, nie ma o czym mówić. - Odwrócił się w stronę wejścia do tunelu. Zza pleców dobiegł go głos Valbranda:

- Tak czy inaczej, jutro będę się trzymał w pobliżu. Na wszelki wypadek.

- Wiem. - Eric przystanął, ale się nie odwrócił.

- Może jednak uda ci się ją przekonać, by porzuciła ten głupi pomysł.

- To niemożliwe.

Czyżby Valbrand nie zdawał sobie sprawy, że tylko on może powstrzymać Brit? W tym celu musiałyby się jej jednak pokazać.

Ericowi stanęła przed oczyma jej postać - wysmukła, silna, dumna i zdecydowana.

Z westchnieniem pomyślał, że może być już za późno, by ją powstrzymać. Nawet gdyby Valbrand postanowił zrzucić przed nią maskę, i tak będzie próbowała wykryć, kto uszkodził samolot.

Poza wszystkim dość długo przebywała sama w grocie i mogła się obudzić. A jeśli tak, gotowa napytać im nowej biedy.

Wkroczył do ciemnego tunelu, nie odwracając głowy, by spojrzeć na przyjaciela. I tak powiedział mu więcej, niż powinien.

Valbrand także już na pewno zniknął.

W swoim śnie Brit galopowała na czarnym ogierze. Popędzała go, czując na twarzy uderzenia wiatru. Krew żywej krążyła jej w żyłach, zmuszając serce, by dotrzymało tempa tętentowi kopyt na zmrożonej ziemi. Przed oczyma miała nagie skały, a za nimi bezkresne niebo. W pewnym momencie zobaczyła skalny próg, ale nawet nie próbowała zatrzymać konia, tylko spięła go do jeszcze szybszego galopu ku przepaści.

Rumak skoczył, przebierając kopytami w powietrzu.

Obudziła się, gdy oboje runęli w otchłań bez dna.

Leżała, jak zwykle na wznak, wśród skłębionych kołder. Przez moment mrugała nieprzytomnie, wpatrzona w szare, nierówne sklepienie, oświetlone migotliwym blaskiem płomieni.

Odwróciła głowę w stronę ognia, tam, gdzie powinien spać Eric.

Ale go nie było.

Poderwała się i zobaczyła zarys postaci wyłaniającej się z tunelu przy podziemnej sadzawce. Już sięgała po pistolet, gdy uświadomiła sobie, że to tylko Eric.

Odłożyła broń na pobliski kamień i zapytała:

- Mogę wiedzieć, co się dzieje?

- Nic takiego. Musiałem wyjść za potrzebą.

Patrzyła, jak się przybliża, czując, że ogarnia ją fala ciepła. Eric poruszał się z taką pewnością i gracją. Rzucił kurtkę na kamień, a potem przykucnął obok jej posłania. A wszystko jednym płynnym ruchem.

- Tam jest tak ciemno. Trzeba było wziąć latarkę.

- Znam tę grootę jak własną kieszeń. W tunelu potrafię się poruszać i bez światła.

- To dobrze.

- Zrobiłaś straszny bałagan na swoim posłaniu.

- Jak zwykle. Znów śniło mi się, że pędzę na czarnym rumaku ku przepaści.

- Bałaś się?

- Tylko pod sam koniec. Kiedy spadaliśmy.

- Niektórzy wierzą, że w snach zawiera się przesłanie.

- Może tak być, ale po co się nad tym zastanawiać.

- Powiem ci, że mnie zdumiewasz.

- Hm. Zdumiewam cię? To chyba dobrze.

Eric uniósł rękę. Brit ani drgnęła. Powoli obwiodł palcem zarys jej podbródka, budząc leciutki dreszczyk podniecenia.

Gdy jego dłoń powędrowała wyżej, spojrzała mu oczy. Pogłaskał ją po policzku, a potem odgarnął z czoła splątany kosmyk. Miała ochotę chwycić tę dłoń i wtulić w nią usta.

- Taka odważna - wyszeptał - i taka nierozsądna. Zachnęła się, a wtedy on opuścił rękę.

- Jedno mnie zastanawia - powiedziała. - Dlaczego mężczyzna może w spokoju spełnić swoją powinność? A jeśli robi to kobieta, zarzuca jej się głupotę?

- Nie powiedziałem, że jesteś głupia.

- Ale prawie.

- Czy to początek kłótni? - zapytał, marszcząc brwi.

- Może.

- Musimy to ciągnąć?

Przed chwilą była pełna czułości i podniecona. Teraz odczuwała już tylko zmęczenie.

- Masz rację - westchnęła. - Śpijmy.

Eric podszedł do swojego pośłania. Zdejmując but, zerknął spod oka na Brit.

- Zamierzasz siedzieć tak przez całą noc i przeszywać mnie wzrokiem?

- Przepraszam - mruknęła. Odrzuciła na bok kołdry, uklękła i zaczęła wygładzać pośłanie.

Wstali przed świtem, rozpalili ognisko, nakarmili konie i zjedli śniadanie, składające się z owsianych placków, suszonego mięsa i źródlanej wody. Potem odłożyli kołdry i resztę zapasów na skalną półkę, i przygotowali nowy stos polan w kamiennym kręgu. Kiedy już wszystko było gotowe, rozczesali koniom ogony i grzywy. Eric przez cały czas nie odezwał się ani słowem.

Dopiero gdy szykowali się do wyjścia, oznajmił ni stąd, ni zowąd:

- Muszę z tobą porozmawiać.

- Myślałam, że już nie przemówisz. - Brit westchnęła. Eric zapatrzył się w płomienie. Widocznie łatwiej mu było mówić, gdy nie patrzył na Brit.

- Miałem nadzieję, że zdecydujesz się zawrócić, zanim dotrzemy na miejsce katastrofy.

- Twoje intencje są dla mnie aż nadto zrozumiałe. Sugerujesz, że powinnam zacząć od nowa?

- Ani przez chwilę nie byłem na tyle naiwny, by przypuszczać, że uda mi się przekonać cię samymi tylko słowami. Liczyłem jednak na to, że zniechęcą cię ludzie na szlaku, trudny teren, burza...

Westchnęła.

- No to się przeliczyłeś.

- Muszę przyznać, że miałem taki plan, by cię poprowadzić w niewłaściwym kierunku.

Popatrzyła na niego z politowaniem.

- Znam w przybliżeniu kierunek, w którym powinniśmy jechać. Gdybyś tylko próbował wyprowadzić mnie w inną stronę...

Eric przerwał jej, unosząc rękę.

- Wiem. W końcu zdałem sobie sprawę, że nic cię nie odstraszy i nie powstrzyma przed wykonaniem zadania, jakie sobie wyznaczyłaś. Zmieniłem więc koncepcję.

Najwyższa pora, pomyślała Brit, a głośno zapytała:

- Jak mam to rozumieć?

- Są sprawy, o których musisz się dowiedzieć.

- Na przykład o czym?

- Jestem tego samego zdania co ty. Uważam, że katastrofa samolotu była wynikiem sabotażu.

Brit przez dłuższą chwilę patrzyła na niego w osłupieniu.

- Nareszcie znaleźliśmy się po tej samej stronie. - Wstała. - Wobec tego jedźmy to sprawdzić.

- To niemożliwe.

Opadła z powrotem na twarde głąz.

- Czemu nie?

- To zbyt niebezpieczne. Wraku pilnują strażnicy. Pytanie samo cisnęło się na usta.

- Strażnicy wysłani przez kogo?

- Przez twojego ojca - odparł niechętnie.

- Co w tym złego?

- To NIB, Narodowe Biuro Śledcze - powiedział, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

- NIB? - zapytała, zdezorientowana. - Przecież oni są po naszej stronie.

Eric popatrzył na nią zimnym wzrokiem.

- Ogólnie rzecz biorąc, są, jak to ujęłaś, „po naszej stronie.
- Ale wewnątrz organizacji są zdrajcy? Czy to chciałaś powiedzieć?
- Tego nie wiem na pewno.
- To pocieszająca odpowiedź.
- Zastanów się. Najłatwiej prowadzić wywrotową robotę, jeśli zdoła się przeniknąć do organizacji rządowych. Ma się wtedy dostęp do ściśle tajnych informacji. To wręcz idealna sytuacja, dlatego musimy przyjąć, że tak właśnie jest.

Zerknęła na niego z ukosa.

- Mówiąc „musimy”, miałeś na myśli również mojego brata, prawda?

Po raz pierwszy nie zaprzeczył wprost.

- W tej chwili nie mówię o twoim bracie.

- Nie, ale ja to robię - oświadczyła, lecz widząc jego groźne spojrzenie, szybko się poddała. - Dobrze już, niech ci będzie. Nie mieszajmy w to Valbranda. - Przysunęła się bliżej.

- Posłuchaj, co w tym wszystkim wydaje ci się podejrzanym?

Ci strażnicy są z NIB-u i zostali przysłani z rozkazu mojego ojca. Szukają tego samego co i my: śladów, które pomogłyby wyjaśnić powody katastrofy.

- Możliwe, że to właśnie robią.

Odczekała chwilę, ale Eric już nic więcej nie powiedział, więc zaczęła go niecierpliwie popędzać:

- No i? Co o tym sądzisz?

- Problem polega na tym, że ci ludzie mogą wykonywać rozkazy, ale nie prawowitego władcy. Mogą to być agenci kontrwywiadu, którzy przeniknęli w szeregi NIB-u, i choć teoretycznie pracują dla twojego ojca, w rzeczywistości wcale nie są po jego stronie.

- Skąd to wszystko wiesz? - zdumiała się Brit.

- Nie mam pewności, ale wszystkie przesłanki na to wskazują.

- Jakie znów przesłanki?

Eric spojrzał na nią wymownie.

- To wystarczy. - Poderwała się na równe nogi. - Jedźmy. Chcę przyjrzeć się tym ludziom.

- Nie znam drugiej tak upartej kobiety - stwierdził Eric. - Zawsze musisz sama wszystko sprawdzić?

- Zrozum mnie, proszę, i nie patrz tak na mnie - powiedziała, ale jej prośba nie odniosła skutku. Eric milczał i nadal patrzył na nią gniewnym wzrokiem. - Przyznam się, że w tej sytuacji nie wiem, w co wierzyć. Od wielu dni utrzymywałam, że katastrofa samolotu to z całą pewnością tragiczny wypadek. A teraz twierdzisz, że mogło być inaczej. Mówisz mi też, że ludzie, którzy go pilnują, są wprawdzie z NIB-u, ale to najprawdopodobniej zdrajcy. Przy tym nie chcesz mi powiedzieć, skąd to wszystko wiesz, i spodziewasz się, że ci uwierzę. A niby czemu? NIB znacznie bardziej mi pomogło niż ty. Dostałam od nich wiele przydatnych informacji.

Eric zmrużył oczy.

- To znaczy...?

- O co chodzi?

- Jak ci pomogli?

- Co cię tak dziwi? Że ktoś próbował pomóc mi w odnalezieniu brata?

-Ten ktoś... Kto to był?

Brit miała już dość tej dyskusji.

- Nie pójdę na to. Wybij to sobie z głowy.

- Musisz mi powiedzieć.

- Nie. Wykluczone. - Wbiła w niego rozwścieczony wzrok. A ponieważ nie nalegał dalej,

zapytała słodko: - Słuchasz mnie?

Eric skinął głową.

- To dobrze, bo mam ci parę rzeczy do powiedzenia i proszę cię o uwagę.

- W porządku.

- Oznajmiłeś, że cię zdumiewam. Pozwól, że odpłacę ci tym samym. To ty mnie zdumiewasz, i to wcale nie w dobrym tego słowa znaczeniu. Przecież to czysty obłąd. Przez jakiś czas sądziłam, że tobie i mojemu bratu oraz naszym ojcom przyświeca wspólny cel. Jednak przestałam w to wierzyć. Uważam, że się z tego wyłamałeś, o czym mój ojciec nie ma pojęcia. Teraz już wiem, że mój ojciec i Medwyn tylko dlatego poparli moją bezsensowną, ich zdaniem, wyprawę, że liczyli na to, że przyjadę tutaj i spotkam się z tobą, co skończy się ślubem. Tymczasem ty i mój brat, z niepojętych dla mnie przyczyn, wolicie ukrywać się po lasach. Wszyscy myślą, że on nie żyje, a tymczasem kręci się po górach w przebraniu Czarnego Rycerza i przed mistykami odgrywa rolę herosa. Nic z tego nie rozumiem. Dla mnie to bez sensu. Jeżeli ktoś próbował mnie zabić - a jak się domyślam, Valbranda także - to znaczy, że bardzo źle się dzieje. Powinniśmy stworzyć wspólny front, by rozwiązać podstawowe problemy, nie uważasz? Nasi ojcowie powinni dowiedzieć się nie tylko o tym, że Valbrand żyje, ale że było kilka zamachów na jego i moje życie, które mogły się powieść.

Brit urwała, by zaczerpnąć tchu, a może i liczyła na to, iż Eric wreszcie przemówi i powie jej coś, czego jeszcze nie wiedziała.

Jednak usta Erica były mocno zaciśnięte. Spojrzała mu w oczy i zrozumiała, że nic jej nie powie. Po raz pierwszy od chwili, gdy ocknęła się z choroby i Asta powiadomiła ją o śmierci przewodnika, poczuła pod powiekami gorące łzy.

Nie pozwoli jednak, by Eric je zobaczył.

- Kiedy wreszcie będziesz ze mną szczery i mi zaufasz? Kiedy wyjawisz mi wszystko, co wiesz, byśmy mogli wspólnie rozwiązać problemy?

Rozdział 13

Eric niczego bardziej nie pragnął, niż powiedzieć Brit, że ma absolutną rację. Wiązały go jednak śluby milczenia. Była także nadzieja, której się do końca nie wyzbył, że Valbrand z czasem dojdzie do siebie i pokaże się rodzinie oraz swojemu ludowi. Wszystkim tym, którzy uważali go za zmarłego.

Jeśli wyjawi Brit, że Valbrand żyje, będzie to oznaczało zdradę wobec najlepszego przyjaciela, któremu przysiągł dożgonną lojalność. Chodziło jednak nie tylko o to. Eric obawiał się skutków, jakie mogłoby to mieć dla wciąż kruchej równowagi psychicznej Valbranda. Widział przecież swojego najlepszego przyjaciela żyjącego jak stworzenie ledwie przypominające człowieka. Wywabił go z grotu, kusił i oswajał, aż ten nieszczęśnik znów zaczął się zachowywać jak ludzka istota. Obietnica bezwzględnego milczenia okazała się warunkiem koniecznym, by sprowadzić Valbranda do Gullandrii. Dlatego wolał nie ryzykować.

Brit wstała i zaczęła krążyć tam i z powrotem przed wciąż płonąącym ogniskiem. Nagle przystanęła i odwróciła się do Erica.

- No tak, widzę, że nic z tego nie będzie. Wobec tego powiem ci, co zamierzam zrobić. Pojadę, i to dziś, by obejrzeć szczątki samolotu. A potem wracam do Isenhalli, bo już niczego więcej się tu nie dowiem.

Eric poznał Brit na tyle dobrze, by mieć pewność, że jeśli się na coś nastawiła, nic jej nie powstrzyma. Co mógł jej powiedzieć? „Proszę, nie mów naszym ojcom o swoich podejrzeniach”? Raczej nie.

- Zrobisz to, co uznasz za konieczne.

- Dobrze, że to zrozumiałeś. A teraz ruszajmy.

- Jeszcze nie. Najpierw musisz mi powiedzieć, kto ci pomógł.

Brit rozsunęła poły kurtki i wzięła się pod boki, odsłaniając kolbę pistoletu, który zawsze starała się mieć w zasięgu ręki.

- Wyjašnjmy sobie coś. Każesz mi błądzić po omacku, a zarazem żądasz, żebym ci zdradziła wszystko, co wiem.

Eric nie odpowiedział. Milczenie w tym wypadku mogło się okazać lepszym wyjściem. Przekonał się, że Brit nie jest małostkowa. Jeśli da jej trochę czasu, żeby mogła to sobie przemyśleć, na pewno zrozumie, że nawet jeżeli on jej wszystkiego nie wyjawiał, zatajanie nazwiska człowieka z NIB-u nic jej nie da.

W końcu z ust Brit wyrwało się westchnienie.

- Wciąż nie mogę zrozumieć, czemu ci ufam, skoro albo nie odpowiadasz na moje pytania, albo kłamiesz, gdy pytam o brata...

- Ale postępuję uczciwie. Czyny znaczą więcej niż słowa.

- Oczywiście. Dzięki, że mi to wyjaśniłeś.

- A jeśli chodzi o tego człowieka z NIB-u...

- Ależ ty jesteś uparty.

- Pod tym względem mi nie ustępujesz.

Brit zapatrzyła się w ogień. Wiedziała już, że mu wszystko powie, a zwlekanie jedynie opóźnia ich wymarsz.

- No dobrze... Mam... sprzymierzeńca w NIB-ie. Kogoś, kogo zaczęłam nawet uważać za przyjaciela.

Eric zasepił się.

- Ten „sprzymierzeniec” to oczywiście mężczyzna?

- To nie jest żaden układ damsko-męski. Nic takiego, żebyś od razu musiał się denerwować. Poza tym to naprawdę nie twoja sprawa.

Eric nie podjął tego wątku, ale z jego spojrzenia wyczytała, że jest innego zdania. Szczerze mówiąc, była w stanie go zrozumieć. Może dlatego, że w duchu przyznawała mu rację.

- Opowiedz mi o tym przyjacielu - powiedział Eric.

- Nazywa się Jorund Sorenson i jest agentem służb specjalnych. Poznałam go w lipcu, dwa tygodnie po moim pierwszym przyjeździe do Gullandrii.

- W jaki sposób do tego doszło?

- Inicjatywa nie wyszła od Jorunda, jeśli właśnie to masz na myśli.

- Interesuje mnie tylko, jak doszło do waszego pierwszego spotkania.

- Byłam zbyt wścibska i nazbyt otwarcie wypytywałam o Valbranda. Znasz mojego ojca. W pewnym momencie zaczął się obawiać, że mogłabym się wpakować w tarapaty.

- Ciekawe, skąd mu to przyszło do głowy.

- Po co ten sarkazm? Mam mówić dalej?

- Bardzo proszę.

- Najpierw ojciec zwrócił się do Hauka, mojego szwagra.

- Znam go.

- Powiedział Haukowi, żeby przydzielił do pilnowania mojej osoby kilku swoich ludzi. Są świetnie wyszkoleni i bardzo dyskretni. Mimo to dość szybko rozszyfrowałam jednego z nich, o czym nie omieszkałam poinformować ojca. Obiecał mi wtedy, że nie będzie już więcej nasyłał na mnie ochroniarzy, po czym zwrócił się do NIB-u, pewnie w nadziei, że ich nie rozpoznam. Z początku tak było, ale po kilku dniach nie mogłam nie zauważyć potężnych facetów wciśniętych w przyciasne garnitury, którzy towarzyszyli mi jak cień, a ilekroć na nich spojrzałam, odwracali

wzrok. W końcu miałam tego dość, więc po prostu zaczęłam się na jednego w korytarzu Muzeum Historycznego. Kiedy mnie mijał, zdenerwowany, bo stracił mnie z oczu, wyskoczyłam i wrzasnęłam: Buu!

- Genialny pomysł.

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale zaskoczyłam go. Zaczął coś nieskładnie bełkotać i wycofywać się, a wtedy ja zażądałam nazwiska jego przełożonego. W ten sposób dowiedziałam się o istnieniu Jorunda. Namierzyłam go w biurach NIB-u. Jak sobie możesz łatwo wyobrazić, z początku nie palił się do współpracy. Wobec tego pogadałam z ojcem i już wkrótce agent służb specjalnych Jorund Sorenson sprawdzał podsłuchy w moich pokojach na zamku. Oczywiście był to podsłuch zainstalowany na rozkaz mojego ojca. A później Jorund powiedział mi wszystko, co było mu wiadomo na temat zniknięcia Valbranda.

Eric poderwał się.

- Co on wiedział?

- Szczerze mówiąc, niewiele. Tylko to, co i ty mi powiedziałaś, Valbrand wyprawił się na morze szlakiem wikingów i zginął podczas sztormu. Nic, czego bym już wcześniej nie wiedziała. Ale w przeciwieństwie do ciebie Jorund chciał ze mną o tym rozmawiać. Analizowaliśmy fakty i zrobiliśmy burzę mózgów.

- Burza mózgów?

- Tak się mówi, kiedy...

- Mniejsza o to. Domyślałam się, co to znaczy. Męczy mnie co innego. Próbuję zrozumieć, dlaczego agent NIB-u, zamiast cię pilnować, zdecydował się zostać twoim „sprzymierzeńcem”.

- Wiesz co? Mnie też zaczyna to zastanawiać. - Chociaż Eric nie przedstawił jej żadnych dowodów na to, że w NIB-ie są zdrajcy, udało mu się zasiać w jej duszy ziarno zwątpienia. To przykre uczucie, wątpić w lojalność człowieka, któremu zaufała.

- Czego jeszcze dowiedziałaś się od tego „przyjaciela”?

- Rozmawialiśmy też o tobie. Jorund powiedział, że bym raczej nie liczyła na to, że mi pomożesz w poszukiwaniach Valbranda. Muszę przyznać mu rację.

- Nie proponował ci, że będzie ci towarzyszyć? - zapytał Eric.

- Była o tym mowa, ale doszliśmy do wniosku, że gdybym się pokazała w towarzystwie agenta NIB-u, byłoby mi jeszcze trudniej wyciągnąć od ciebie informacje.

- Kto doszedł do tego wniosku?

- Nie pamiętam.

- A może on nie chciał być z tobą w samolocie albo gdzieś w pobliżu, kiedy spotka cię tragiczny koniec?

Brit poczuła przykry skurcz żołądka i nagle ogarnęło ją zniechęcenie. Miała już dość tej rozmowy.

- Możemy już jechać?

Czuła na sobie uważny wzrok Erica. Była pewna, że miał jej więcej do powiedzenia. Jednak on rzucił tylko:

- Jak sobie życzysz. Pozwól tylko, że zgaszę ognisko.

Wyłonili się z grotu tuż przed świtem. Słońce nie weszło jeszcze, tylko na horyzoncie widniała jaśniejsza smuga. Cienka warstwa zmrożonego śniegu, pozostałość po nocnej burzy, trzaskała pod końskimi kopytami. Wspinali się pod górę, aż na szczyt, by później zjechać w dół jego drugim zboczem.

Nowy dzień zapowiadał się na cieplejszy niż poprzedni. Im wyżej stało słońce, tym szybciej topniały resztki śniegu. Po kilku godzinach tylko niewielkie łaty leżały tu i ówdzie w zagłębieniach terenu. Nad Drakveden dotarli tuż po dziesiątej i przystanęli, by nie zsiadając z

koni, popatrzeć na roztaczający się przed nimi bajeczny widok. U ich stóp ziała poprzecinana smugami mgieł czarna kamienna przepaść, na której dnie połyskiwała granatowa wstążka wody. Z jej przeciwległego brzegu potężny wodospad opadał z hukiem w dół, wzbijając fontanny białej piany.

Brit popatrzyła na kompas. Przez ostatnie kilometry posuwali się równolegle do linii kanionu, ale dopiero w tym miejscu po raz pierwszy dotarli do jego krawędzi.

- Gdzie będziemy zjeżdżać? - zwróciła się do Erica, podnosząc głos, by przekrzyczeć szum wodospadu.

- Pojedziemy jeszcze ze dwa kilometry, a potem droga zacznie się z wolna opuszczać.

- Czyli jesteście już blisko?

Eric pokiwał głową, po czym znów ruszyli przed siebie, by wkrótce dotrzeć do miejsca, gdzie szlak skręcał w dół kanionu. Zjeżdżali krętą ścieżką, raz po raz schylając się pod nisko zwisającymi gałęziami drzew. Przez kolejną godzinę jechali na zachód, początkowo w górę, później w dół, a potem znowu do góry, mając u stóp spienione wody.

Wreszcie, po dłuższej wspinaczce, Eric zjechał ze szlaku, oddalając się od krawędzi kanionu. Przedarli się przez gęste zarośla i znaleźli się na niewielkiej polance.

Tam Eric zeskoczył z konia, wziął strzelbę, a z torby przytroczonej do siodła wyjął lornetkę.

- Spętaj konia - polecił. - Stąd już niedaleko do miejsca katastrofy. Droga jest taka wąska i kamienista, że bezpieczniej i ciszej będzie iść piechotą.

Brit pomyślała o grasujących renegatach, o niedźwiedziach i innych dzikich zwierzętach zamieszkujących góry Gullandrii i zapytała:

- Myślisz, że można bez obaw zostawić konie?

- Bezpieczniej zostawić je tutaj niż w pobliżu miejsca wypadku. Poza tym schodząc na nogach, zrobimy mniej hałasu. Oczywiście konie mogą zostać skradzione albo zaatakowane przez drapieżniki, jeżeli to masz na myśli - dorzucił, widząc jej spojrzenie.

Pokiwała głową.

- Tak, właśnie się nad tym zastanawiałam.

- Musimy zaryzykować, chyba że wolisz zawrócić.

- Nawet o tym nie myśl. - Zsiadła z konia. - Ruszajmy. Wspięli się tą samą ścieżką, którą wcześniej zjeżdżali

w dół, aż do głównego szlaku, po czym skręcili na zachód. Po przejściu kilkuset metrów znaleźli się w punkcie, z którego roztaczał się wspaniały widok na skały i wody kanionu.

- Pochyl się. - Eric osunął się na czworaki, po czym dał znak Brit, żeby poszła w jego ślady. Doczłógali się na skraj przepaści, gdzie dwa skalne bloki, mniej więcej metrowej wysokości, tworzyły naturalną zasłonę, i skryli się za nimi.

- Co teraz? - zapytała Brit.

- Najpierw wyjrzyj w dół przez szczelinę między skałami. Co widzisz?

Brit zobaczyła wąski pas ziemi, na którym wylądowała, oraz szczątki rozbitej maszyny i rozległą kępę drzew w miejscu, gdzie kończył się kamienisty grunt.

- Mój samolot - odpowiedziała. - A raczej to, co z niego zostało.

Zapadła cisza. Po chwili Brit zapytała:

- Co dalej?

- Poczekamy - odparł Eric.

- Na co?

Erie ostrożnie odłożył broń i wskazał na lornetkę, którą wyjął z torby przytroczonej do siodła. Potem skinął w stronę białego obłoku, sunącego po niebie w kierunku słońca.

- Ta chmura już za chwilę zakryje słońce. Tym samym zmniejszy się niebezpieczeństwo, że

jego promienie odbijają się od soczewek i zdradzą nasze pozycje ludziom, pilnującym samolotu.

- Czekanie nie jest moim ulubionym zajęciem.

- Już to zdążyłem zauważyć - burknął Eric.

Po jakichś pięciu minutach słońce schowało się za chmurę. Eric sięgnął po lornetkę, wyjrzał przez szczelinę między skałami i uważnie zlustrował teren w dole.

- Tam - wyszeptał bardziej do siebie niż do Brit. - I tam... - Podał jej lornetkę. - Sama zobacz. Stąd widać trzech strażników. - Przytknął jej lornetkę do oczu. - Najpierw popatrz przed siebie, na zbocze naprzeciw nas, a potem trochę niżej...

Między drzewami, na przeciwnym stoku, nieco poniżej poziomu ich kryjówek, Brit zobaczyła uzbrojonego mężczyznę.

- Widzę go.

- Teraz spójrz niżej i w lewo, na zachód.

- Tak, też go widzę. To już dwóch.

- A trzeci... trudno go wypatrzeć. Ukrywa się w zaroślach, za którymi rozpościera się pas ziemi.

- Eric wziął od Brit lornetkę i wycelował ją we właściwym kierunku. - Tam. Widzisz go?

Nastawiła ostrość i odnalazła trzeciego mężczyznę. Był ubrany podobnie jak reszta, w maskujący kombinezon, czarne buty i czarną czapkę, a w ręku trzymał broń. Stał zwrócony do niej plecami, a potem na moment odwrócił głowę i wtedy zobaczyła jego twarz - czerstwą, okrągłą, z wydatną szczęką, wąskimi ustami i parą blisko osadzonych oczu.

Opuściła lornetkę.

- Znam go. To znaczy, już go kiedyś widziałam. -Gdzie?

- Tego dnia, kiedy poszłam do biura NIB-u. Wychodził z gabinetu Jorunda.

- Z tego wniossek, że to podwładny twojego domniemanego przyjaciela.

- Możliwość równie dobra jak każda. Nie podoba mi się też ton, jakim wymówiłeś słowo „domniemany”.

- Zgodzisz się ze mną, że ci ludzie są z NIB-u?

- Oczywiście, ponieważ jednego z nich widziałam w biurze. Ale co z tego? Nie można zakładać, że są zdrajcami.

- Oni od wielu dni pilnują tego miejsca. Gdzieś w pobliżu ukrywa się też czwarty, prawdopodobnie na stoku pod nami, tak że nie da się go stąd zobaczyć. Prócz tej czwórki jest jeszcze dwóch, na łodzi, którą tu przyплыnęli. Zmieniają strażników, pilnujących samolotu. Nie mamy pewności, kiedy następuje zmiana warty. Nie wiemy też, ilu jest ich w tej chwili w pobliżu

- pięciu czy może nawet sześciu.

- Skąd to wszystko wiesz?

Obrzucił ją pobłażliwym spojrzeniem i powiedział:

- Samolot roztrzaskał się tak, że jest już nie do naprawienia. Twój ojciec uważa, że to był wypadek, to wszystko. Dość szybko rozeszła się wiadomość, że przeżyłaś katastrofę oraz napaść renegatów i przebywaś w mojej rodzinnej wiosce. Ci ludzie mieli masę czasu na to, by wszystko dokładnie obejrzeć i wymontować urządzenia, które twój ojciec chciałby zachować. Dawno powinni stąd odjechać, tymczasem wciąż tu tkwią. Po co mieliby tu siedzieć, jeśli nie w nadziei, że wrócisz - co właśnie zrobiłaś - dając im w ten sposób szansę na dokończenie tego, co zaczęli?

- Komunikujesz się z moim ojcem drogą radiową, przekazując swoją opinie o wydarzeniach, prawda? A on odpowiada ci w ten sam sposób.

- Tak właśnie jest.

- A może on podejrzewa to samo co ty i ja: że ktoś przyczynił się do katastrofy samolotu? Może wysłał strażników na wypadek, gdyby pojawili się mordercy, by usunąć ślady? Agenci NIB-u mogliby się wtedy z nimi rozprawić.

- Błędne rozumowanie.
- Można wiedzieć dlaczego?
- Znasz króla. Gdyby uwierzył, że przeżyłaś zamach, kazałby cię natychmiast ściągnąć do Isenhalli. Pragnąłby cię mieć przy sobie, by zapewnić ci maksymalne bezpieczeństwo. Chciałby cię też szczegółowo wypytać, żeby móc później odnaleźć i ukarać sprawców.
Argumenty Erica brzmiały całkiem logicznie. Zbyt logicznie.
- Dlaczego mam zakładać, że ci ludzie to zdrajcy? Nie zamierzam...
Eric przerwał jej groźnie:
- Dostyc już! Widziałaś ich. Nie możemy ryzykować tego, że zostaniemy zauważeni. Nie wiemy też, ilu ich jest oprócz tych trzech, których udało nam się wypatrzeć. Wracamy do wioski.
- Nie ma mowy!
Eric obrzucił ją gniewnym wzrokiem.
- Co jeszcze możemy zrobić?
- Musimy sprawdzić, czy to ludzie mojego ojca, czy nie.
- Nie ma sposobu, żeby to sprawdzić, bez... Tym razem to Brit mu przerwała.
- Mam pewien plan.
- Nie podoba mi się to - odparł Eric, krzywiąc się z niechęcią.
- Przecież jeszcze nie wiesz, o co chodzi.
- Ale z twojego wzroku mogę wywnioskować, że mi się ten projekt nie spodoba.
- Posłuchaj mnie. Daj mi wytłumaczyć.
- A mam inne wyjście?
- W tym wypadku nie masz. Opieramy się na niczym niepopartych podejrzeniach, a potrzebne nam dowody.
- Zdobycie dowodów może oznaczać twoją śmierć.
- Niekoniecznie. Jeśli zachowamy ostrożność, może uda nam się sprawdzić, czy ci agenci są po naszej stronie, czy nie.
- To zbyt niebezpieczne. - Eric odjął od oczu lornetkę i chwycił Brit za ramiona. - Posłuchaj, jedź ze mną. Wrócimy do wioski, zbiorę ludzi i przybędę tu z nimi. Schwytamy agentów, przesłuchamy ich i przekonamy się...
- Bzdura! - Brit wyrwała się z jego uścisku. - Wiesz, co ci powiedzą? Że są z NIB-u i zostali przysłani, żeby pilnować samolotu.
- Jeżeli to zdrajcy, wydusimy to z nich.
- Jak? Za pomocą tortur? Nie, dzięki. Mój sposób jest znacznie prostszy i nie powinien pociągnąć za sobą żadnych ofiar.
- Nie podoba mi się to - powtórzył po raz trzeci Eric.
- Jeszcze mnie nie wysłuchałeś. - Eric popatrzył na nią, jakby chciał ją udusić, ale usta miał zamknięte, więc szybko wykorzystwała tę szansę. - Zejdziemy teraz ostrożnie, tak by nie zauważyli nas mężczyźni na przeciwległym stoku. Przy okazji będziemy się rozglądać za pozostałymi. Okrążymy tego, którego rozpoznałam. Oczywiście będziemy musieli uważać, żeby nie zdążył zaalarmować reszty. Ty zajdziesz go od tyłu, a ja podejdzę od przodu i powiem: Cześć.
Eric zamrugnął.
- Cześć!? Powiesz mu... cześć?
- Tak jest. Jeżeli wysłali go po to, żeby mnie zabił, pewnie spróbuje to zrobić. Wtedy będziemy mogli go zatrzymać...
- Urwała, po czym niechętnie dodała: - Dowiemy się wówczas, czy mój przyjaciel z NIB-u jest przyjacielem, czy nie.
Eric patrzył na Brit takim wzrokiem, jakby nagle wyrosły jej rogi i ogon.

- To szaleństwo!
- Szaleństwo? Nie. Ryzyko - tak. Trzeba zrobić wszystko, by nam się udało. Przy okazji obejdzie się bez ofiar.
- Oszukujesz samą siebie - zauważył Eric. - Dobrze wiesz, że możesz przy tym zginąć. Albo przeżyć, jeśli bogowie okażą ci łaskę. Tak czy inaczej, jeżeli ten gość w dole wyceluje w ciebie broń, zginie na miejscu. Już ja się o to postaram.
- Nie, nie taki był plan.
- Umrze, możesz być tego pewna.
- Eric, nie słuchasz mnie.
- Bo wygadujesz groźne bzdury.

Puściła mimo uszu tę uwagę i wróciła do sedna sprawy.

- Nie chcę, żeby ktokolwiek został ranny. Mówię poważnie. Mam już dosyć rozlewu krwi, piękne dzięki. Jeżeli on wyceluje we mnie, możesz go obezwładnić. Będziemy strzelać tak, by zranić, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale mój plan polega na tym, żeby akcja przebiegła bez jednego wystrzału. Strzelając, zaalarmujemy resztę i ściągniemy ich sobie na głowę.
- To czyste szaleństwo!
- Przestań się powtarzać.
- Nie wezmę w tym udziału.
- Nie? To co proponujesz?
- Wracam do wsi. Natychmiast. A ty wracasz ze mną.
- Nie ma mowy. Wracaj sobie, skoro uważasz to za słuszne, ale ja...

Eric uniósł rękę. Zapadła cisza. Gdzieś w tyle, w koronach drzew, ptak wywodził swoje trele. Po chwili Eric zapytał zrezygnowany:

- Na miłość boską, co mam z tobą zrobić?
- To jedyny sposób - powiedziała Brit.
- Zostań tu, a ja zejdem na dół i...
- Wykluczone! On musi zobaczyć mnie, bo ciebie może zaatakować z wielu przyczyn. A jeżeli będzie próbował mnie zastrzelić, może to znaczyć tylko jedno: że zarówno on, jak i Jorund Sorenson biorą udział w spisku na moje życie.

Eric milczał.

- Jeżeli będziesz teraz próbował mnie zatrzymać, jeżeli posuniesz się do fizycznego przymusu, co najwyżej odwleciesz to, co nieuniknione. Ja muszę tam pójść. Jeżeli będziesz mi w tym przeszkadzał, ucieknę ci przy pierwszej okazji i wrócę tam sama.

Ericowi nagle stężyły rysy, a potem nieznacznie potrząsnął głową, tak że choć patrzyła mu prosto w twarz, ledwie to dostrzegła.

A może nie potrząsnął głową, tylko minimalnie przekręcił ją w lewo? A może to tik? Ale Eric Greyfell nie był człowiekiem podatnym na nerwowe tiki.

Nie odważyła się odwrócić, bo mu nie ufała. Bała się, że się na nią rzuci i obezwładni ją - oczywiście dla jej dobra. Była jednak święcie przekonana, że z tyłu stoi ktoś, komu Eric daje znaki.

I nagle ją olśniło.

- Valbrand? - zapytała półgłosem Erica, ale on tylko na nią spojrział ze źle ukrywaną złością. Wtedy, nie odwracając się, przemówiła do tego kogoś za jej plecami: - To ty, Valbrand, prawda?

Rozdział 14

Nie doczekała się odpowiedzi. To Eric się odezwał:

- Mylisz się. Tam nie ma nikogo.

Oczywiście w tym momencie już nikogo nie było.

- Rozumiem, że mamy wsparcie - powiedziała Brit. - Domyślam się, że to Czarny Rycerz.

- Już mówiłem, że nikogo tam nie ma. - W głosie Erica brzmiała furia.

- No tak, rzeczywiście, mówiłeś - przyznała, chcąc go udobruchać. - Co nie oznacza, że to prawda.

Eric przywiązał lornetkę do paska pod kurtką i sięgnął po strzelbę.

- Skoro koniecznie chcesz to zrobić, chodźmy. - Brit nigdy dotąd nie widziała go tak wściekłego. Nagle ogarnęło ją przeczucie, że Eric nigdy jej nie wybaczy tej akcji.

Zrobiło jej się ciężko na sercu. Wiedzioną impulsem, chwyciła go za rękę.

- Musisz być taki zły?

Zastygł z dłonią na kolbie. Uczepiła się jego kurtki, czując pod nią twarde mięśnie. Eric popatrzył na jej zaciśnięte palce, jakby budziły w nim odrazę, a potem bardzo cicho powiedział:

- Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz, ale wybrałaś niestosowną porę.

Chcąc nie chcąc, musiała przyznać mu rację. Puściła go i zobaczyła wbite w siebie spojrzenie zielonych oczu. W tym momencie odkryła prawdę o sobie - coś, czego wolałaby nie wiedzieć.

Zrozumiała, że z całej duszy pragnie ulec Ericowi. Niech ją weźmie znad tej przepaści i odprowadzi do wioski, gdzie ludzie są przyjaźni i żyje się bezpiecznie. Chciała mu też powiedzieć: Dobrze, masz rację. Jesteś większy i silniejszy, i chcesz się mną opiekować. Dlatego zrobimy tak, jak sobie życzysz.

Jednak wbrew własnym pragnieniom, nie mogła tego zrobić, gdyż uległość nie leżała w jej naturze. A już na pewno nie w sytuacji, kiedy uważała, że ma rację. Oczywiście to, co proponowała, było niebezpieczne. Jeśli jednak nie zaryzykują, pozostaną im podejrzenia i domysły - i niewiele ponad to. Natomiast jeżeli postąpią zgodnie z jej sugestią, może uda im się choć odrobinę przyspieszyć moment odkrycia, kto jest ich wrogiem.

- Nie rozumiesz tego, Eric? Musimy to zrobić. Nie odpowiedział, tylko z kamienną twarzą rzucił:

- Chodźmy!

Eric szedł przodem, a Brit tuż za nim. Powoli zaczęli się opuszczać w dół stoku, ostrożnie stawiając stopy, delikatnie odsuwając gałęzie i starając się robić jak najmniej hałasu. Każdy potracony kamyk mógł pociągnąć za sobą lawinę następnych, a wtedy uzbrojeni agenci z miejsca odkryliby ich obecność.

Ścieżka była teraz wąska jak półka wykuta w kamienistym zboczu. Szczęśliwym trafem, zamiast nagich czarnych skał, typowych dla większości kanionów, otaczał ich zielony gąszcz, będący dobrą zasłoną przed czujnym wzrokiem strażników.

Im dłużej posuwali się bez przeszkód, tym większej pewności nabierała Brit, że lada chwila stanie się coś strasznego. Nerwy miała napięte jak struny i mimo chłodu była zlana potem. Wiedziała, że niebezpieczeństwo musi nadejść - z tyłu albo z góry. Ktoś skoczy na nią, strzeli do niej albo wbije jej nóż między łopatki.

Mimo to nadal nikt ich nie atakował.

Brit próbowała odpędzić od siebie obsesyjną myśl, że ten czwarty strażnik, którego nie udało im się wytropić, musi być gdzieś w pobliżu. Gdzie miałby się zacząć, jeśli nie przy ścieżce? Przecież to logiczne.

Jednak zdarzył się cud. Nikogo nie było, a oni bez przeszkód schodzili coraz niżej. Zostało im już najwyżej pięćdziesiąt metrów. Już wkrótce zbliżą się do strażnika, który był podwładnym Jorunda, o ile oczywiście będzie nadal tam, gdzie go namierzili z ich punktu obserwacyjnego.

W górze, dziesięć, może dwadzieścia metrów za sobą, Brit usłyszała cichy chrobot. Zatrzymała się i stała przez chwilę bez ruchu. Eric zrobił to samo. Czekali, wyciągając wzrok, ale zarośla były zbyt gęste, by dało się coś zobaczyć.

Po kilku sekundach, które zdawały się ciągnąć jak wieczność, chrobot ustał.

Poczekali jeszcze chwilę. Brit zaczęła się zastanawiać, czy to Czarny Rycerz zlikwidował tajemniczego czwartego strażnika, czy to małe zwierzątko wspinało się po stoku.

Znów ruszyli przed siebie, by po chwili zastygnąć, gdy Brit nieostrożnie nastąpiła na kamień, który potoczył się po zboczu. Jednak szczęście znów się do nich uśmiechnęło. Kamień zatrzymał się na wystającym korzeniu, nim zdążył nabrać prędkości i spaść na dół.

Cisza. Poszli dalej, aż dotarli do dna doliny. Mieli przed sobą jeszcze jakieś dwadzieścia metrów lasu, za którym rozpościerał się skalisty pas gruntu z wrakiem samolotu, a dalej szmaragdowe wody.

Teraz musieli wytropić współnika Jorunda, zanim on ich wytropi. Eric przywołał gestem Brit. Zeszli ze ścieżki i zagłębili się w gęstwinię, a każdy krok wydawał im się głośny niczym armatni wystrzał.

W pewnej chwili Eric zatrzymał się, przykucnął i dał jej znak, żeby się pochyliła. Kiedy się za nim skuliła, wskazał na coś palcem.

Zobaczyła ciężkie wojskowe buciory, zwrócone do nich tyłem - może jakieś pięć, sześć metrów przed nimi. O wiele za blisko. Co za przerażający widok. Serce zaczęło Brit głucho walić w piersi. Buty poruszyły się i odwróciły z zabójczą powolnością, jakby człowieka, który je nosił, zaalarmował jakiś odgłos i teraz uważnie szukał, skąd pochodził.

Mimowolnie wstrzymała oddech, a gdy to sobie uświadomiła, wydmuchała cicho powietrze. Buty zatrzymały się, celując nosami w stronę ich kryjówki, jakby agent przeczuwał, że tam się przyczaili.

Brit dziękowała w duchu Ericowi za to, że kazał jej przykucnąć. Dzięki temu wzrok mężczyzny musiał błędzić ponad ich głowami. Buty znów poruszyły się i po chwili ona i Eric zobaczyli przed sobą obcasy.

Ręka Erica musnęła lekko jej zdrowe ramię, żeby przyciągnąć jej uwagę. Gdy zwróciła na niego oczy, kolistym ruchem narysował w powietrzu drogę, którą zamierzał przedrzeć się przez las, by zejść od drugiej strony właściciela ciężkich buciorów.

To długa trasa, jeśli chce się ją pokonać bezszelestnie. Wystarczy trzask gałązki albo źle ustawiona stopa, by człowiek w wojskowych butach odkrył obecność Erica i otworzył ogień...

Brit pomyślała, że Eric może zginąć. Oczywiście od początku o tym wiedziała. Miała również świadomość, że sama może przypłacić życiem tę wyprawę.

Teraz jednak niebezpieczeństwo było zbyt bliskie i namacalne. Znów targnął nią strach. Świadczył o tym zimny pot, dreszcz wzdłuż kręgosłupa oraz zbyt głośnie i zbyt szybkie bicie serca...

Eric może zginąć.

Jak ona to zniesie?

Poczuła na sobie jego wzrok i spojrzała mu w oczy. Była pewna, że odgadł, jak niewiele brakowało, by pokręciła głową i bezgłośnie wyszeptwała: Nie, nie róbmy tego. Wracajmy do domu.

Mimo wszystko się powstrzymała. Patrzyła mu tylko w oczy, póki moment słabości nie minął.

A potem, powoli i z namysłem skinęła głową.

Wtedy Eric zaczął się od niej oddalać. To niewiarygodne, jak cicho potrafił się poruszać. Bezszelestnie przemykał przez zarośla, a Brit nie przestawała wodzić wzrokiem od niego do wojskowych butów i z powrotem. Buty przemieszczały się teraz miarowo, jakby strażnik nie przeczuwał niebezpieczeństwa.

Niestety, Eric zbyt szybko zniknął jej z oczu.

Skulona, obserwowała buciory, a łomot serca rozsadzał jej uszy. Od czasu do czasu

przypominała sobie, że powinna odetchnąć. I nagle uświadomiła sobie, że nie ma pojęcia, kiedy powinna wkroczyć do akcji.

Czy Eric zajął już stosowną pozycję? Czy znalazł drzewo na tyle grube, by mógł się za nim ukryć; krzak na tyle gęsty, by za nim przykucnąć; skałę, która ochroniłby go przed wzrokiem właściciela butów?

To był zły plan, zganiła się w myślach. Plan wręcz idiotyczny. Do tego stopnia idiotyczny i zły, że trudno go w ogóle nazwać planem. Eric zginie, a ona umrze zaraz po nim albo do końca życia będzie żałować, że wraz z nim nie umarła.

Jak mogła go nie posłuchać? Czemu tak uparcie obstawała przy swoim?

Wreszcie powoli i bezszelestnie sięgnęła pod kurtkę i zacisnęła palce na zimnej kolbie pistoletu.

Nie! Cofnęła rękę i wygładziła kurtkę. Choć w ten sposób czułaby się bezpieczniej, nie mogła przecież podejść do agenta z bronią w ręku. Nie wolno jej dopuścić do tego, by poczuł się zagrożony. Mógłby ją przecież od razu zastrzelić z obawy, by go nie uprzedziła.

Wyteńczyła wzrok i słuch.

Nic, tylko lekki wietrzyk, szepczący w koronach drzew, a w oddali krzyk ptaka. Buty stały nieruchomo, wycelowane nosami w przeciwnym kierunku.

Czy buty te nie były... zbyt nieruchome?

Musiał zobaczyć coś pomiędzy drzewami, pomyślała. Żeby to tylko nie był Eric!

Ale Eric powinien już przecież do tej pory dotrzeć na miejsce, cokolwiek by to miało oznaczać.

A buty... buty znów podjęły miarową wędrówkę.

Brit poczuła, że nadeszła pora działania. Skąd wzięła tę pewność, nie potrafiła powiedzieć. Wiedziała po prostu, i już, a nie było czasu, żeby kwestionować instynkt. Był wszystkim, co jej teraz pozostało.

Pochylona, zaczęła posuwać się do przodu możliwie jak najciszej. Każdy krok zdawał się trwać całą wieczność. Jednak pomiędzy dwoma kolejnymi oddechami zdołała w końcu dotrzeć na miejsce, skąd już tylko trzy kroki dzieliły ją od uzbrojonego mężczyzny w wojskowych buciorach i panterce. Stał tyłem do niej, z bronią w pogotowiu. Musiał coś usłyszeć, bo wzrokiem przeszukiwał zarośla.

Teraz albo nigdy.

Wyprostowała się i odważnie postąpiła do przodu.

-Uhm...

Agent zastygł, a potem odwrócił się i zobaczył Brit, niespełna dwa metry przed sobą. Blisko osadzone oczy rozszerzyły się ze zdumienia, a wąskie usta utworzyły literę O. W mniej przerażających okolicznościach ta mina mogłaby ją nawet rozśmieszyć.

Teraz jednak nie było jej wcale do śmiechu. Musiała siłą rozciągnąć usta, po czym powiedziała:

- Cześć. Tak się cieszę, że pana widzę.

- Wasza Książęca Wysokość?

- We własnej osobie. Agent uniósł broń.

Tak kończy się historia o sprzymierzeńcach z NIB-u, pomyślała. A potem wszystko stało się tak nagle, a zarazem z tą zaskakującą powolnością jak zawsze, gdy trzeba działać szybko albo dać się zabić.

Rzuciła się w bok; dokładnie tak, jak przewidywał jej zły i głupi plan. Tymczasem Eric wyłonił się bezszelestnie za agentem, jakby znikąd, tylko z bronią w obu silnych rękach. Nim agent zdążył wycelować w Brit i wystrzelić, Eric przytknął mu do głowy lufę.

Rozległ się głuchy, przerażający odgłos, jakby coś twardego uderzyło w czaszkę agenta, a on osunął się bezwładnie na ziemię. Broń wypadła mu z ręki i wylądowała na leśnym poszyciu.

Brit wyprostowała się powoli i spojrzała na twarz leżącego. Jego klatka piersiowa unosiła się

lekko. Nadal żył. Czyli jej zły i głupi plan się powiódł, mimo wszystko. Wiedzieli już, co chcieli wiedzieć, i nikt przy tym nie zginął.

Trzeba było jednak szybko działać. Eric osunął się na klęczki, odłożył broń i wyjął z buta coś cienkiego i czarnego. Klik! Lśniące ostrze wystrzeliło z czarnej rękojeści.

No no! Widziała u Hauka taki nóż. Nie przypuszczała, że Eric ma taki sam.

Brit nie wierzyła własnym oczom. Eric chwycił nieprzytomnego mężczyznę za podbródek, odchylił mu głowę do tyłu, strącając przy tym czapkę, i odsłonił jego szyję.

- Nie! - wyszeptała z taką siłą, że zabrzmiało to w jej uszach jak wystrzał. Nachyliła się i chwyciła Erica za rękę, w której trzymał nóż. - Nikt nie może zginąć.

W spojrzeniu Erica błysnęła furia.

- Nie powinnaś się wtrącać.

- Błagam cię, Eric! - Nie mogła dopuścić, by zbrukał ręce krwią. - Nie zabijaj go!

Okropny grymas wykrzywił mu usta.

- On byłby cię zabił.

- Ale nie zabił. Eric, proszę.

Przez jedną przerażającą chwilę była pewna, że nie zdoła go powstrzymać. Tymczasem, ku swemu zdumieniu, usłyszała pogardliwe prychnięcie, a potem Eric schował nóż i puścił podbródek agenta. Na spodniach, na kolanie, w miejscu, którym przyciskał jego głowę, miał krew. Patrząc na leżącego, Brit zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle przeżyje.

Eric ukrył nóż w bucie, po czym sięgnął do kabury nieprzytomnego, wyjął pistolet, wysypał naboje, a broń wyrzucił między zarośla. Na koniec wziął jego strzelbę i podał ją Brit.

- Nie ma na co czekać - burknął. Biła z niego wręcz namacalna furia. - Zaraz będziemy mieli resztę tego towarzystwa na karku. - Odwrócił się i pomaszerował w stronę ścieżki.

Brit zabezpieczyła broń i ruszyła w ślad za nim.

Nieprzytomny agent głośno jęczał. Valbrand miał ze sobą sznur i knebel. W rękę trzymał świeżo załadowany pistolet agenta, wycelowany w jego głowę. Minęło piętnaście minut, odkąd jego dzielna i uparta siostrzyczka wraz z jego wściekłym przyjacielem odeszli górską ścieżką. Powinni już dotrzeć do miejsca, w którym zostawili konie. Miał nadzieję, że są bezpieczni.

Był oczywiście jeszcze jeden agent, wyżej, na szlaku. Jednak już im nie zagrozi. Valbrand rozważał, czy go zabić, ale w końcu zostawił go żywego, choć skrupowanego i przywiązanego do drzewa. Koledzy znajdą go przecież prędzej czy później, o ile zwierzę o ostrych zębach i pazurach ich nie ubiegnie. Jeśli zdrajca przeżyje, będzie miał potem co opowiadać.

Valbrand uśmiechnął się. Wiedział, że jego uśmiech, niegdyś czarujący, teraz jest przerażający. Wręcz czuł jego brzydotę, gdy rozciągał pokiereszowaną twarz w najdziwniejszych kierunkach. Na szczęście nikt nie domyśliłby się szpetoty za gładką, lśniącą skórą maski.

Czy agent, którego zostawił przywiązanego do drzewa, odważy się powiedzieć swoim kolegom, że zaatakował go Czarny Rycerz? A jeśli tak, czy nie dojdą do wniosku, że postradał zmysły?

Niech sobie wierzą, niech się boją i dziwią...

Niech ten, kto stał za tym wszystkim i pociągał za sznurki, ma się na bacności.

Valbrand czuł, że zbliża się czas, kiedy będzie musiał ujawnić się światu. Oczywiście Eric ma rację. To prawda, że bał się tego momentu, gdyż przeczuwał, że będzie to tysiącokrotnie trudniejsze niż koszmar, jaki wcześniej przeżył.

Zrobi to jednak, choć nie wie jeszcze jak. W swoim czasie. ..

Teraz dotyk maski na pokancerowanej twarzy dawał mu ukojenie. Podobnie jak świadomość, że kolejny zdrajca jęczy u jego stóp.

Agent otworzył oczy i zastygł z przerażenia. To dobrze.

Valbrand podniósł się i wycelowował pistolet w jego osłupiałą twarz.

- Twoje nazwisko, zdrajco! Mężczyzna jęknął.

Valbrand odbezpieczył pistolet. Nie było to konieczne w broni takiej jak ta, ale już sam dźwięk zdawał się sprawiać mu satysfakcję.

- Nazwisko! Mężczyzna uniósł głowę.

- Agent... Hans Borger.

- Komu służysz, Borger?

Borger znów jęknął i głowa mu opadła.

- Mojemu królowi - wyszeptał.

- Kłamiesz. Powinienem cię teraz zabić. - Valbrand machnął bronią. - Przewróć się. Na brzuch, psie, bo trudno cię inaczej nazwać.

Agent zaczął się przewracać, usiłując przy okazji po coś sięgnąć. Valbrand zaśmiał się i podniósł rękę, w której trzymał krótkofalówkę.

- Tego szukasz? - Mężczyzna wytrzeszczył oczy, a potem je zamknął, pokonany. Valbrand rzucił nadajnik na ziemię i zmiążdżył go butem. - Odwróć się!

Agent wykonał polecenie. Valbrand odłożył na moment broń, chwycił sznur, związał Borgerowi ręce i nogi, a na koniec zakneblował mu usta.

Następnie podniósł swoją strzelbę i wstał.

- Kiedy cię znajdą, powiedz im, że księżniczka Brit i księżę Eric Greyfell rozbili cię bez najmniejszego trudu i darowali ci twoje bezwartościowe życie, tak jak robię to teraz ja, Czarny Rycerz. Gra, którą ty i twoi kamraci uważaliście za prawie zakończoną, dopiero się zaczęła. A skończy się ona żalosną klęską i powolną, bolesną śmiercią tych wszystkich, którym marzyło się obalenie dynastii Thorów.

Z zakneblowanych ust agenta wydobywały się stłumione jęki. Próbował zerwać krępujące go więzy. Jasne, krótko obcięte włosy, były posklejane krwią.

Valbrand schował pistolet do kabury.

- Żałuję, że nie mam więcej czasu. Moglibyśmy sobie porozmawiać. Znam wiele sposobów na to, by zmusić takich jak ty do mówienia. Wydaje mi się, że twoi kamraci zaczną cię niedługo szukać. Dlatego zostawiam cię na pastwę zdrajców, którym służysz. Niech cię okrutnie ukarzą za twój błąd.

Niech cię wyśmieją, kiedy im opowiesz, jak to księżniczka Brit, którą miałeś zabić, przechytryła cię, a Eric Greyfell zaszedł cię od tyłu i obezwładnił. - Urwał i po namyśle dodał: - Może lepiej nie wspominaj im o naszej rozmowie. Tylu ludzi uważa mnie za legendarną postać. Jeśli im powiesz, że ze mną rozmawiałeś... Hm, gdybym był twoim przełożonym, pomyślałbym że postradałeś zmysły.

Agent Borger miał pewne kłopoty z udzieleniem odpowiedzi. Jęknął i zaczął się szamotać. Widok był prawdziwie żalospny.

Valbrand doszedł do wniosku, że zrobił swoje. Uśmiechnął się pod maską i zniknął w gęstwinie.

Rozdział 15

Przez resztę dnia poruszali się po drogach, na których nie napotkali ani ludzi, ani zwierząt. Eric jechał z ponurą miną i odzywał się do Brit tylko wtedy, gdy było to konieczne.

Gdy zmierzch kładł się długim cieniem na zboczach wzgórz, wyjechali na swoich zmęczonych koniach z lasu na zakurzony gościniec, prowadzący do wioski. Z wąskich, wysoko osadzonych okien chat biło ciepłe światło. Najstarszy synek Sigrid, nazwany po ojcu Brokk, wybiegł im naprzeciw, żeby ich powitać.

- Babcia Asta prosiła, żebym na was zaczekał. - Rudowłosy, piegowaty jedenastolatek pokraśniał z dumy, że przydzielono mu tak odpowiedzialne zadanie. Powiedział im też, że Asta zostanie na

noc u jednej z mieszkańek wioski.

- Ona będzie miała małego dzidziusia - tłumaczył chłopiec. - Zastąpię babcię. Napaliłem porządnie w piecu, umiem też obrządzić konie. Będę mógł się zająć waszymi końmi?

Po raz pierwszy od kłótni na skale ponad miejscem katastrofy Eric się uśmiechnął.

- Będzie nam bardzo miło. Z wdzięcznością oddamy nasze wierzchowce w tak godne ręce.

Zsiedli z koni i przekazali chłopcu obie pary lejców. Potem Eric odwrócił się do Brit. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Weź z torby broń zdrajcy i co tam jeszcze potrzebujesz - rzucił.

Zrobiła, jak kazał. Czowała się znużona i było jej ciężko na sercu. Stęskniła się za widokiem dobrej, poranej zmarszczkami twarzy Asty. Niestety, Asta była zajęta i wszystko wskazywało na to, że czeka ją długi i nieciekawny wieczór w towarzystwie ponurego Erica.

- W piekarniku są dla was placki - odezwał się Brokk. - Zajrzę do koni, a potem powiem babci, że wróciliście zdrowi i cali. Na pewno bardzo się ucieszy. - Chłopiec skreślił ku stajni, znajdując się za chatą Asty. Brit i Eric zostali sami na gościńcu.

Po chwili Eric ruszył w stronę chaty, nawet nie zaszczycił Brit spojrzeniem. Chcąc nie chcąc, poszła za nim. Czowała się jak skarcone dziecko, które coś przeskrobało, i nie było to wcale miłe uczucie.

Brit od razu podeszła do legowiska i położyła swoje rzeczy na futrzanej narzucie, ale zatrzymała strzelbę odebraną agentowi.

- Oddaj mi to - burknął Eric, a gdy podała mu broń, umieścił ją wraz ze swoją na stojaku przy drzwiach.

Potem Brit zdjęła kurtkę, powiesiła ją na kołku i wróciła do posłania, by się rozpakować.

Umyli twarze i ręce, wyjęli placki z piekarnika i zasiedli do stołu. Przez cały czas nie padło między nimi ani jedno słowo. Brit żuła i przełykała, starając się unikać wzroku Erica, co nie było wcale trudne, jako że nie zdradzał najmniejszej ochoty, by na nią patrzeć.

Pomyślała, że nie wygląda to dobrze. Chciała coś zrobić albo powiedzieć, żeby go skłonić do...

Do czego?

Aby jej wybaczył, że uparła się wprowadzić w życie głupi plan? Przecież dzięki temu zdobyli konkretną informację i dowiedzieli się, kto może stać za próbami zamachów na jej życie. Jeśli Eric jej wybaczy, może również przestanie się na nią wściekać za to, że mu przeszkodziła, gdy chciał poderżnąć gardło zdradzieckiemu agentowi.

Problem polegał na tym, że im dłużej Eric się dąsał, tym większa narastała w niej złość. To prawda, że działała bez namysłu, ale z natury nie lubiła siedzieć z założonymi rękami i deliberować, kiedy można było zrobić coś pożytecznego.

Faktem jest, że jej plan nie był przemyślany do końca. Ale powiódł się, do jasnej cholery!

Popatrzyła na Erica ze złością, a on odpowiedział jej tym samym.

Zjedli resztę placków, posprząтали ze stołu i zmyli naczynia. Brit była już pewna, że jeśli jeszcze chwilę pobędą razem, wybuchnie awantura.

- Wychodzę do łaźni - rzuciła w nabrzmiałą gniewem ciszę. - Wrócę za godzinę czy coś koło tego.

- Pójdę z tobą.

- Nie, chcę iść sama. Nie jesteś mi potrzebny do...

- Ja też chcę się wykapać.

Z jego spojrzenia Brit wyczytała, że ma ochotę chwycić ją za ramiona i tak długo nią potrząsać, aż zaczęłyby błagać o litość, i już nigdy więcej nie odważyłaby się na własne plany.

- Dobrze. Jak sobie życzysz. To wolny kraj - mniej więcej. Zabrali potrzebne rzeczy i wyszli w

nocny mrok.

W łaźni Brit rozebrała się, zdjęła bandaż i wzięła bezwstydnie długi, gorący prysznic. Jej rana już się na tyle zagoiła, że mogła ją sama opatrzyć. Założyła świeży gazowy opatrunek, przylepiła go plastrem, a potem przebrała się w czyste ubranie, poczynając od bielizny.

Wyszła z łaźni, mając nadzieję, że skoro tak długo się kąpała, Eric dawno zdążył wrócić do domu. Krótki spacer będzie znacznie miłszy bez jego towarzystwa.

Niestety, przeliczyła się, gdyż Eric na nią czekał. Na jej widok odwrócił się i bez słowa ruszył przed siebie.

Zabawna sytuacja, pomyślała, wlokąc się z tyłu. Sądziła, że Eric pójdzie przodem i zostawi ją samą na kilka drogocennych minut.

Nie zrobił tego jednak. Kiedy zdał sobie sprawę, że nie zamierza przyspieszyć, żeby się z nim zrównać, przystanął i popatrzył na nią ze złością.

- Idziesz? - Mimo znaku zapytania na końcu była to niecierpliwa komenda.

Brit zacisnęła mocno usta z obawy, by nie wyrwało się z nich parę niecenzuralnych słów, po czym wolno ruszyła przed siebie.

Po powrocie do chaty nic się między nimi nie zmieniło - milczeli i starali się na siebie nie patrzeć.

Było jeszcze wcześniej, ale nic nie wskazywało na to, by z czasem nastrój się poprawił. Mieli za sobą długi i męczący dzień, a ona nazajutrz będzie musiała przemyśleć, jak się wydostać z Vildelundu, by wrócić do Isenhalli. Może Eric zdoła skontaktować się z jej ojcem i poprosi go, by przysłał po nią samolot?

A może będzie musiała przeprawić się przez Góry Czarne? Wysokie, pokryte śniegiem pasmo, leżące jakieś trzydzieści kilometrów na południe od wioski i oddzielające Vildelund od bardziej cywilizowanego świata?

W gruncie rzeczy to wszystko jedno. I tak jutro stąd wyjedzie. Czekają ją niecierpiące zwłoki sprawy. Przede wszystkim musi rozprawić się z Jorundem. Chce też odbyć długą, szczerą rozmowę z ojcem. Ktoś musi mu wyjaśnić, jak sprawy stoją...

Brit wymyła zęby, rozebrała się i wślizgnęła pod futra w skarpetach i bieliźnie. Unosząca się w powietrzu aura wrogości sprawiła, że długo nie mogła zasnąć.

Była jednak bardzo zmęczona, a do twardego posłania zdążyła już przywyknąć. Futra otulały ją tak miękko, że poczuła się jak w wygodnym kokonie.

Eric odczekał, póki nie nabrał pewności, że Brit zasnęła. Narzucił kurtkę i na palcach wymknął się za drzwi, gdzie na moment przystanął, żeby włożyć buty.

Za padokiem, wśród drzew, czekał na niego Valbrand, jak najczarniejszy cień pośród cieni. Jego ogier tak rzadkiej w Gullandrii karej maści skubał zmarzniętą trawę kilka metrów dalej.

- Co z tym zdrajcą? - zapytał Eric.

- Żyje. Zostawiłem go związanego i zakneblowanego na łasce losu. Niech sobie czeka, aż go znajdą kamraci.

- A ten drugi, na zboczu?

- Zrobiłem z nim to samo.

- Udało ci się coś z nich wyciągnąć?

- Nie było okazji, żeby przepytac tego na zboczu. Zabrałem tylko jego strzelbę i pistolet.

- A ten drugi?

- Mam jego nazwisko. Nazywa się Hans Borger. Żałuję, że nie było czasu, żeby z niego wyciągnąć więcej.

- Wiemy przynajmniej, że nasze podejrzenia dotyczące infiltracji w NIB-ie nie są bezpodstawne.

- Dzięki pomysłom mojej niepokromionej siostrzyczki. - W głosie Valbranda zabrzmiał tłumiony śmiech. Ericowi wcale to się nie podobało. Uważał, że ani czas, ani temat nie upoważnia do żartów.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, że ta dziewczyna przy byle okazji pędzi na łeb na szyję ku śmierci? Jej lekkomyślność graniczy z szaleństwem. Jest wręcz samobójcza.

- Na moje oko, kiedy ją odprowadzałeś, wyglądała na całkiem zdrową.

- Owszem, wyszła z tego bez szwanku. Tym razem. - Eric schował ręce do kieszeni i zacisnął pięści. - Jutro wyjeżdża na południe.

- To twoja czy jej decyzja?

- Powiedziała mi, że jedzie. To pewnie jedyny punkt, w którym się zgadzamy.

- A co z waszym ślubem?

- Jak to co? Przecież odmawia mi przy każdej okazji.

- Może dajesz jej po temu powody?

Gniewne słowa cisnęły się Ericowi na usta, ale jakoś się pohamował.

- Ja tylko chcę zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Nawet ja rozumiem, że to nie jest kobieta, której zależy na bezpieczeństwie. Jeżeli rzeczywiście chcesz się o nią starać, będziesz ją musiał zaakceptować taką, jaka jest.

Eric popatrzył z gniewem na Valbranda.

- Prawisz mi kazania, drogi przyjacielu?

- Staram się tylko być obiektywnym doradcą. Obiektywnym doradcą... Dobrze sobie! To on, Eric, miał mu obiektywnie doradzać, a Valbrand rządzić.

- Nie mam nastroju, żeby wysłuchiwać twoich porad -burknął.

- Twoja wola...

Czarny rumak podrzucił kształtną głową i zarżał. Valbrand przemówił łagodnie do zwierzęcia:

- Uspokój się, Starkavin. Wszystko w porządku. - Znów zwrócił się do Erica. - Jaką drogą będzie wracać do pałacu?

- Musimy to jeszcze omówić.

- Bez względu na to, którądy pojedzie, grozi jej niebezpieczeństwo.

- Nie musisz mi o tym przypominać.

- Skoro niebezpieczeństwo jest nieuniknione, dlaczego by tego nie wykorzystać?

Gdzieś w ciemnościach zahukała sowa. Nad ich głowami, za lasem, pojawił się sierp księżyca. Noc była bezchmurna i cicha.

- Nie rozumiem. Do czego zmierzasz? - zapytał Eric. Valbrand przysunął się bliżej i zniżył głos do szeptu.

- Czemu by nie skłonić naszych wrogów do zastawienia na nas pułapki, ale na naszych warunkach?

Brit siedziała przy stole w kalesonach i grubych skarpetach, na ramiona zarzuciła szal, zrobiony przez Astę na drutach. Nagle drzwi uchyliły się i do izby wślizgnął się Eric, trzymając w rękach buty.

Brit domyśliła się, że wyszedł na spotkanie z Valbrandem, ale nie zamierzała z tego powodu wszczynać awantury. Miała dosyć kłótni.

- Dlaczego nie leżysz w łóżku? - zapytał Eric. Było to oczywiście prowokacyjne pytanie.

Nie twoja sprawa, pomyślała Brit i popatrzyła na lampę na stole, którą przed chwilą zapaliła. Niestety, jej ciepłe złote światło ani trochę jej nie uspokoiło.

- Obudziłam się i przekonałam się, że jestem sama. Po raz pierwszy od wielu godzin nikt na mnie nie patrzył ze złością i nie burczał. - Spojrzała na Erica. - Było to całkiem miłe uczucie. Postanowiłam wstać i nacieszyć się spokojem i ciszą.

- Niestety, zaczęła rozmyślać o Jorundzie i o tym, jaką naiwnością się wykazała. Jak mogła uwierzyć, że agent NIB-u chce się z nią bezinteresownie zaprzyjaźnić?

Eric wzruszył ramionami. Powiesił kurtkę na kołku i odstawił buty przy drzwiach. Kiedy się odwrócił, powiedział tylko:

- Życzę ci dobrej nocy.

Zgnębiona, pomyślała, że dłużej tego nie znieś. Że trzeba coś z tym zrobić.

- Eric...

Zatrzymał się w drodze do łóżka.

- O co ci znów chodzi?

Poczuła przypływ irytacji. Po co te ciągłe starania, żeby do niego dotrzeć?

Bo jej na nim zależy, i to bardzo. Dlatego nie może tego tak zostawić.

Otuliła się szczelniej szalem.

- Posłuchaj, nie moglibyśmy puścić tego w niepamięć? Jutro wyjeżdżam. Jesteśmy... przyjaciółmi, prawda? A przyjaciele nie powinni rozstawać się w gniewie.

- Jesteśmy kimś więcej niż przyjaciółmi. Dobrze o tym wiesz. Dlaczego wciąż próbujesz pomniejszyć znacznie łączącej nas więzi?

Brit chciała na niego krzyknąć, ale się powstrzymała. Chciała też dotknąć Erica, ale pewnie by mu się to nie spodobało.

Stłumione emocje nie pozwalały jej usiedzieć spokojnie. Wstała od stołu, a Eric cofnął się o krok. Podeszła do pieca i zapatrzyła się w tańczące płomienie, szukając w nich ukojenia. Po raz pierwszy w życiu Brit Thorson zapragnęła być rozsądna. Pomyślała, że Liv i Elli będą się z niej wyśmiewać. A matka? Ingrid nigdy w to nie uwierzy.

Odwróciła się do Erica i zaczęła mówić, starannie dobierając słowa:

- Ja nie pomniejszam tego, co jest między nami. Rzeczywiście jesteś dla mnie kimś więcej niż tylko przyjacielem. Uważam, że to ważne, by przyjaźnić się z człowiekiem, na którym mi tak bardzo zależy. -

Słuchał jej z kamienną twarzą. Domyśliła się, że z trudem tłumi gniewne słowa, a zarazem pragnie wziąć ją w ramiona. Z tym że mężczyzna pokroju Erica nigdy nie pozwoliłby sobie na uprawianie miłości z osobą, która byłaby jedynie przyjaciółką.

A ona? Co tu kryć. Ona chciałaby, żeby się z nią kochał. Czują to całym spragnionym pieszczot ciałem, przy każdym uderzeniu serca.

Najpierw jednak należało wyjaśnić sobie pewne sprawy.

- Posłuchaj - odezwała się błagalnym tonem - jeżeli masz mi coś do powiedzenia, zrób to; wykrztuś to z siebie.,

- Mówisz serio?

- Jak najbardziej.

- Ostrzegam cię, że ci się to nie spodoba.

- Nie liczę na to. Uważam, że powinieneś mi to powiedzieć, a ja muszę cię wysłuchać.

Widocznie jakimś cudem udało jej się do niego trafić, bo zaczął mówić stłumionym głosem:

- Boję się o ciebie, bo odniosłem wrażenie, że czekające nas kłopoty jawią ci się jako coś w rodzaju nęcącej, ryzykownej zabawy. Lękam się, że powoli i z namysłem potrafisz robić tylko jedno - ssać te swoje kolorowe cukierki, które tak uwielbiasz. Zamykam oczy i widzę cię martwą, ze skręconym karkiem lub poderżniętym gardłem. Jesteś tak bardzo nieostrożna. Rzucasz się na oślep w wir kolejnych akcji, następnych konfrontacji. Nie mogę cię wiecznie pilnować, a zarazem obawiam się zostawić cię samą. Na potężny młot Thora, kto może przewidzieć, w co się znów wpakujesz? Nie chcę ani o tym wiedzieć, ani być przy tym, kiedy za twój brak opamiętania przyjdzie ci w końcu zapłacić życiem.

Umilkł, lecz jego słowa zdawały się odbijać echem od ścian izby. Tylko spokój może nas uratować, pomyślała Brit. Spokój i rozwaga. A także szczerłość.

- Eric, tak mi przykro, że napędziłam ci stracha. Niemal żałuję, że jestem, kim jestem, oraz że przyjdzie czas, kiedy znów będziesz musiał się o mnie bać. Jednak mój dzisiejszy plan, który tak krytykowałeś, powiódł się. Nie mówiąc już o tym, że należało zrobić to, co zrobiłam. Gdyby przyszło co do czego, postąpiłabym tak samo.

Eric zaklął. Przez moment Brit sądziła, że chwyci buty i kurtkę, i znów wyjdzie z chaty.

Nie uczynił tego jednak, tylko zatrzymał się w pół kroku i raptownie odwrócił.

- Nie zdajesz sobie sprawy z potęgi tego, co jest między nami, bo nie chcesz się z tym pogodzić. Niebezpieczna gra dopiero się rozpoczęła. Zdrajca, którego kazałaś mi dziś oszczędzić, może się okazać tym, który cię zabije.

- Tak - przyznała cicho. - To możliwe.

- Dlaczego, na Odyna, nie pozwoliłaś poderżnąć mu gardła?- To nie było konieczne. Został unieszkodliwiony. - Tak bardzo pragnęła dotknąć Erica! Nie zrobi jednak tego, póki on sam nie zapragnie. Mocno zacisnęła pięści. - Nie możesz mnie uchronić przed każdym zagrożeniem. Nie tego od ciebie chcę i nie tego potrzebuję. Jeżeli mamy naprawdę być razem, ty i ja, musisz się nauczyć brać mnie taką, jaka jestem.

Eric zwrócił na Brit spojrzenie zielonych oczu.

- O co chodzi? - zapytała. - Wyduś to z siebie.

- Nie, nic takiego. - Machnął ręką.

- Proszę, nie okłamuj mnie. Nie teraz. Ja naprawdę chcę cię zrozumieć.

Eric odwrócił wzrok.

- Spójrz na mnie, Ericu, proszę...

- Chodzi o to... - Urwał, by zaczerpnąć tchu. - Ktoś powiedział mi niedawno coś podobnego: że nie należysz do kobiet, które szukają bezpieczeństwa; że będę musiał zaakceptować cię taką, jaka jesteś.

- Ktoś?

Eric nie odpowiedział.

Tym kimś musiał być Valbrand. Brit ucieszyła się, że choć brat prawie jej nie znał, tak dobrze ją rozumiał.

Nawet jeśli tak było, Eric na pewno jej tego nie powie. Dlatego o nic nie pytała, tylko ciągnęła:

- Przecież ty także podejmowałeś ryzykowne kroki, które ktoś inny mógłby nazwać szaleństwem. Pamiętasz obóz *kvina soldars*? Wkroczyłeś tam jakby nigdy nic, chociaż wiedziałeś, że mogą cię zabić. Jeżeli to nie była brawura, to co?

- To było starannie wykalkulowane ryzyko. Wiedziałem, że tam jesteś i że się mnie nie wyprzesz. Wiedziałem też, że wojowniczkami to kobiety honoru.

- Dzisiejsze ryzyko także było przemyślane. I nie możesz zaprzeczyć, że przyniosło spodziewane owoce. Zdobyliśmy przecież tak bardzo nam potrzebne informacje. Mówiłam już, że gdybym mogła cofnąć czas, bez wahania postąpiłabym tak samo. Powinieneś pogodzić się z tym, że zawsze będę robić to, co uznam za konieczne.

- Nie! - sprzeciwił się Eric. W dwóch krokach pokonał dzielącą ich przestrzeń i chwycił Brit mocno za ramiona.

Niechący zacisnął palce na świeżo zagojonej ranie. Brit krzyknęła z bólu.

Eric puścił ją, ale tylko po to, by znów ją złapać, tym razem za ręce. Wełniany szal ześlizgnął się na podłogę.

- Nigdy się z tym nie pogodzę. Zwłaszcza gdy stawką jest twoje życie. Przecież dziś o mały włos nie zginęłaś. - Mówił z pasją, z wykrzywioną gniewem twarzą. - Ten drań z NIB-u mógł cię

zabić.

- Och, Ericu - wyszeptła Brit. - Kiedy wreszcie zrozumiesz, że mamy takie same prawa?

Eric puścił ją i cofnął się o krok.

- Ta rozmowa nie ma sensu - powiedział głucho. - Kręcimy się w kółko, do niczego nie dochodząc. A ty jutro wyjeżdżasz.

- Jedź ze mną - wyrwało jej się mimowolnie. Odpowiedź była łatwa do przewidzenia:

- To niemożliwe.

- Ale dlaczego?

- Dobrze wiesz dlaczego.

Zabrzmiało to nieomal jak przyznanie, że Valbrand żyje. Popatrzyła pytająco na Erica.

- Z powodu mojego brata, prawda? Bo on...

- Nie mogę o tym mówić. - Eric podniósł rękę. - Proszę, nie wracajmy do tego.

Nie wracajmy do tego?

Prychnęła pogardliwie. Powinien już wiedzieć, że to nie w jej stylu.

Czas uciekał, a on nadal nic nie rozumiał. On i Valbrand nie mogą już sobie pozwolić na to, by błąkać się po lasach. Trzeba się rozprawić ze zdrajcami, ratować królestwo. Powinni teraz zjednoczyć siły i pojechać we trójkę na południe. Każda godzina zwłoki działa na korzyść wrogów, którzy z dnia na dzień rosą w siłę.

Miała już na końcu języka to wszystko, co Eric powinien usłyszeć, a ona powinna powiedzieć.

A potem nagle ją olśniło i zrozumiała, że te logiczne argumenty były jedynie zbędnym okrucieństwem, niczym więcej.

Po co go dręczyć, skoro widzi troskę w jego przygaszonych teraz oczach, skoro wreszcie pojęła, że nie powie mu nic, czego by nie wiedział?

- Dobrze - odezwała się cichym głosem. - Nie będę do tego wracać. - Schyliła się, żeby podnieść szal, a potem nagle się wyprostowała. - Ja tylko... - Spojrzała na Erica i zapomniała, co chciała powiedzieć.

Stała bez ruchu i wpatrywała się w niego jak urzeczona.

Był taki piękny - dumna postura, ciemne włosy, połyskujące w świetle lampy, gorzko zaciśnięte usta i zielone przygaszone oczy, pełne bezbrzeżnego smutku.

Wtedy szeptem wyznała mu prawdę, która tak ciążyła jej na sercu:

- Ja... nie wiem, jak to powiedzieć... będę za tobą tęsknić. ..

Poczuła zdradziecki rumieniec wypływający jej na policzki - czerwony i palący.

Po co to wyznała? Eric znów będzie grać przed nią macho; zacznie jej wydawać rozkazy, typu „to nie jedź!” albo „to zostań!”.

Ale on tylko wyszeptał:

- Ja też będę za tobą tęsknił.

Ciche, łagodne słowa sprawiły, że Brit odezwała się rozmarzona:

-Chciałabym...

Nim zdążyła powiedzieć coś więcej, potrząsnął głową, a kąciki jego ust uniosły się w czułym uśmiechu.

- Pamiętaj, że jestem tylko mężczyzną. Jeżeli wyjawisz mi życzenie, będę starał się je spełnić.

To zaskakujące. Ciągłe się kłócili, nie chciał zaakceptować jej taką, jaka jest, a przecież znał ją lepiej niż ona samą siebie. Wcześniej niż ona rozumiał, że jej pragnienia oraz ich spełnienie zależą przede wszystkim od niej samej.

Nagle Brit ogarnęła nieśmiałość, nie miała nawet odwagi spojrzeć na Erica. Wbiła wzrok w czerwone skarpety i nie wiedziała, czy zdobędzie się na to, by na niego popatrzeć. W końcu rzuciła mu nieśmiałe spojrzenie zza rzęs.

- Mam jedno życzenie, a ty mógłbyś je spełnić...

Eric natychmiast zrozumiał, o co jej chodzi. Domyśliła się tego po sposobie, w jaki gwałtownie wciągnął powietrze, po nagłym błysku w jego oczach.

- Jesteś pewna? Skinęła głową.

- Nawet jeżeli nie jestem taka, jak byś sobie życzył, chcę być w twoich ramionach. Nie mogę tak po prostu odjechać jutro bez... - jęknęła cicho. Gdzie się podziały słowa, kiedy są jej tak bardzo potrzebne? Przycisnęła do piersi szal.

- Och, proszę, Ericu. Przynajmniej na tę noc...

Eric spojrzał na nią z żalem.

- Jestem Gullandryjczykiem.

- Co to znaczy? - zapytała.

- Żadne z moich dzieci nie przyjdzie na świat jako bękart. Nie mam niczego, by zabezpieczyć cię przed ciążą. A ty?

Prawdę mówiąc, ona też nie miała. Do Vildelundu przyjechała przygotowana do akcji, ale nie tego rodzaju.

- Przykro mi - wyszeptała wstydliwie - ale nie.

- Wobec tego musisz mi coś przysiąc. Jeżeli będzie z tego dziecko, zostaniesz moją żoną.

Czy to jakiś podstęp? Czy chodzi mu o to, żeby zaszła w ciążę, a wtedy, chcąc nie chcąc, będzie musiała wyjść za niego, do czego ją od dłuższego czasu namawiał?

Nie, to bez sensu. Gdyby myślał w ten sposób, pozwoliby namiętnościom wziąć górę już wcześniej, w namiocie Rindy, nie mówiąc już o wczorajszym wieczorze w grocie, gdzie schronili się przed burzą. Przecież w obu wypadkach nie zachowywała się jak niewinna panienka.

Nie, to żaden podstęp. To cały Eric, honorowy i uczciwy.

Teraz, na przykład, daje jej szansę, by się wycofała. Jeśli ma choć za grosz rozumu, powinna z niej skorzystać.

Pomyślała, że już jutro wróci do pałacu, gdzie w każdym kącie czają się zdrajcy, i Bóg wie, co może ją spotkać. Z dotkliwą jasnością uświadomiła sobie, że mogą się już nigdy więcej nie zobaczyć.

Ach, niech się dzieje, co chce!

- Hm, przyszło mi właśnie do głowy... - Eric czekał i nie zamierzał jej w tym pomóc. Najwyraźniej uznał, że ma to być decyzja Brit. To miło z jego strony.

- Będę szczerą. Za kogo innego mogłabym wyjść, jak nie za ciebie, gdybym się zdecydowała na małżeństwo?

Wypowiedziane drżącym głosem wyznanie nie zrobiło na nim większego wrażenia.

- Nie ma żadnego gdybania - powiedział. - Chcę mieć twoje słowo, że jeśli zajdziesz w ciążę, zostaniesz moją żoną.

Trzeba mu było przyznać, że nie owijał w bawełnę. Brit wyprostowała się dumnie i opuściła ręce.

- Zgoda. Jeżeli zajdę w ciążę, weźmiemy ślub.

- Gdyby tak się stało, natychmiast mnie zawiadomisz. Pobierzemy się, jak tylko uda mi się do ciebie przyjechać.

- Dobrze. Jeżeli zajdę w ciążę, od razu weźmiemy ślub. No więc... umowa stoi?

Eric nie odpowiedział, tylko wyciągnął ramiona.

Rozdział 16

Eric podprowadził Brit do swojego postania, gdzie rozebrali się pośpiesznie, nie patrząc na siebie. Zrzucali ubranie na ziemię, jakby każde z nich się bało, że przy najmniejszym wahaniu jednej strony druga gotowa się rozmyślić.

Posłanie było wąskie, nieco tylko szersze niż pojedyncze łóżko. Brit przysunęła się jak najbliżej szorstkiej, drewnianej ściany. Wbiła wzrok w falujące słoje na belkach i zaczęła się zastanawiać, czy to, o co przed chwilą niemal błagała, nie jest jednak złym pomysłem.

Po pierwsze, nie wszystko między nią a Erikiem zostało wyjaśnione.

A po drugie, Asta mogła wejść w każdej chwili...

Usłyszała czuły szept:

- Twoje słodkie ciało mówi mi, że się wahasz.

- No tak - odparła, po czym uświadomiła sobie, że przemawia do ściany. Odwróciła głowę. Eric leżał tuż obok, pachnący mydłem i świeżością. Wyglądał tak apetycznie, że chciałoby się go schrupać. Chrząknęła z zażenowaniem i ciągnęła: - Przez cały dzień się kłóciliśmy, nie wiemy, co nas jutro czeka, i nagle wylądowaliśmy tutaj i... - nie wiedziała, jak dokończyć.

Ericowi zdawało się to nie przeszkadzać. Uniósł się na łokciu i spojrzał na Brit. Futra odchyliły się lekko i wtedy Brit zobaczyła srebrny medalion, połyskujący na jego nagiej, muskularnej piersi.

Medwyn zapewniał ją, że medalion ten zapewni bezpieczeństwo temu, kto go nosi. Oby miał rację. Jeżeli to prawda, to nie musi się obawiać o życie i zdrowie Erica.

Och, proszę cię, Boże, bez względu na to, co się stanie, miej go w swojej opiece, modliła się w duchu.

Eric dotknął czoła Brit ciepłą ręką, a potem delikatnie pogładził ją po włosach. W kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

- Mam zgasić światło?

- Nie. - Zmusiła się do uśmiechu. - Nie chodzi tu o światło.

- A o co? -Eric...

- Tak?

- Bez względu na to, co się stanie...

Eric nachylił się i musnął wargami jej skroń w miejscu, gdzie widniał blady siniec - pozostałość po katastrofie lotniczej.

Potem pocałował ją w czubek nosa, a na koniec musnął wargami jej spragnione usta.

Wtedy wyznała mu zaskakującą prawdę, z której nie zdawała sobie sprawy aż do tego momentu:

- Kocham cię. Zawsze będę cię kochać. Eric odsunął się odrobinę i wyszeptał:

- Ja też zawsze będę cię kochał.

Radość i smutek w równej mierze wypełniły jej serce. Zrobi to, co powinna, ale nikt i nic nie odbierze im radości tej chwili. To cudowne, że leżą oboje nadzy pod futrami, tak blisko siebie, choć się jeszcze nie dotykają...

Eric odwinął róg okrycia. Brit poczuła na sobie jego czuły i spragniony wzrok, ześlizgujący się wzdłuż jej szyi i piersi. Zbliżył głowę do jej lewego ramienia i wycisnął delikatny pocałunek na białym bandażu okrywającym ranę.

Smutki Brit uleciały w jednej chwili.

Pozostała tylko radość.

Uwolniła rękę spod futer i położyła ją na muskularnym ramieniu Erica. Przyciągnęła go ku sobie, a gdy zetknęły się ich ciała, jęknęła cicho.

Gdy ich wargi złączyły się w pocałunku, poczuła ucisk medalionu na piersi. Dłonie Erica błądziły po całym ciele Brit, pozostawiając po sobie rozpalony szlak. Głaskał ją po ramionach, poznawał kształt piersi, zwężenie talii, krągłość bioder...

Potem jego ręce powędrowały jeszcze niżej...

Zaczął muskać palcami wewnętrzną stronę jej ud, a w końcu, nie przestając jej całować, objął ją mocno i przekręcił się tak, by ona znalazła się na górze, a on pod nią.

Poczuła jego pobudzoną męskość, przyciśniętą do złączenia jej ud, i zrobiła to, co wydawało jej się najnaturalniejsze pod słońcem - rozchyliła uda.

Eric jęknął wprost w jej usta. A potem oboje zastygli. Brit oderwała wargi od jego ust i popatrzyła na jego rozpłomienioną twarz i oczy, szarozielone jak wzburzone morze. Wyszepiała jego imię. Eric chwycił ją w tali i lekko uniośł, by zyskać dostęp do piersi.

Wziął w usta różowy koniuszek i zaczął go pieścić językiem, wysyłając rozkoszne sygnały do najdalszych zakątków ciała Brit. Nachyliła się nad nim, spragniona pocałunków. Całowali się coraz namiętniej i coraz bardziej zachłannie. Eric nie przestawał jej pieścić. Aż wreszcie Brit poczuła, że już tego dłużej nie wytrzyma. Uniosła biodra i powoli opuściła się tak, by stopili się w jedno.

W nocnej ciszy rozległ się stłumiony jęk. Jego? A może jej? Trudno powiedzieć. Dźwięczał jej w uszach, podczas gdy język Erica penetrował jej usta. Brit opuściła się wolno, centymetr po centymetrze, a gdy go wreszcie przyjęła całego w siebie, zastygła i odepchnęła jego ręce.

Eric trzymał ją jeszcze, z początku mocno, a potem poddał się i puścił Brit.

Odrzuciła futra i wyprostowała się.

- Nieustraszona - odezwał się Eric urywanym szeptem, w którym pobrzmiwała nuta gniewu.

Przyłożyła mu palec do ust. Żeby go uciszyć? Być może.

A może tylko po to, by poczuć gorący czubek jego języka na opuszkę palca? Jęknęła cicho. Eric wciągnął jej palce do ust, napierając jednocześnie biodrami, jakby chciał wejść w nią jak najgłębiej.

Czuła, że już dłużej nie wytrzyma; że musi doprowadzić to do końca.

Zamknęła oczy i zaczęła kuliście poruszać biodrami. Nocną ciszę raz po raz przerywały ciche jęki i stłumione okrzyki. Eric zamknął Brit w uścisku. Przekreścili się na bok, wciąż złączeni, zwróceniu twarzami do siebie. Brit odchyliła głowę, popatrzyła na Erica i uśmiechnęła się radośnie.

A potem nie była już w stanie się uśmiechać. Oczy same jej się zamknęły, a z ust zaczęły się wyrywać coraz głośniejsze jęki.

Wtedy Eric objął ją i zagarnął pod siebie. A potem zaczął się w niej poruszać coraz szybciej i mocniej, aż zapomniała o całym świecie.

Wzlatywali coraz wyżej i wyżej, na gorącej fali namiętności, aż wreszcie osiągnęli szczyt. Brit jęknęła przeciągle, a Eric wykrzyknął jej imię.

Cisza, jaka po tym zapadła, była jak miękkie płatki śniegu, wirujące na wietrze. Brit doznała błogiego uczucia, jakby unosiła się w powietrzu. Nareszcie była dokładnie tam, gdzie zawsze chciała się znaleźć.

Eric przygarnął ją mocno. Wtuliła się w niego i pomyślała, że stanowią jedność, tak jak być powinno. I że los może już nigdy nie dać im drugiej szansy.

W najmroczniejszą noc, tuż przed świtem, Asta zmierzała do swojej chaty. Było tak zimno, że drżała mimo grubego szala, a jej oddech tworzył małe obłoczki.

Szła krokiem ociężałym ze zmęczenia, ale było jej lekko na sercu. Narodzoną tej nocy dziewczynkę zostawiła śpiącą smacznie w ramionach wyczerpanej, lecz szczęśliwej matki.

Poza tym, Brokk, grzeczny chłopaczek, przyniósł jej wiadomość, że Brit i Eric wrócili zdrowi i cali.

Z wąskich okien chaty sączyło się ciepłe światło. Czyżby młodzi jeszcze nie spali? Asta zmarszczyła brwi.

A może się kłóca?

Zdaniem Asty to się zdarzało zbyt często. Młodzi ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jak krótkie jest życie, że szkoda je marnować na sprzeczki.

A przecież to jasne jak słońce, że Eric kocha Brit, a uparta królewska córka odwzajemnia jego uczucie. Mimo to walczą ze sobą jak dwa psy o kość.

Oczywiście na drodze do ich szczęścia spiętrzyły się liczne przeszkody. Brit wie, że wiadomość o śmierci Valbranda jest kłamstwem. A Eric, podobnie jak Asta, z powodu złożonej przysięgi nie może powiedzieć prawdy. Wszystko to nie pomaga im w budowaniu wzajemnego zaufania i utrudnia szczerą rozmowę.

A sam Valbrand... Asta cmoknęła, kręcąc głową. Tak straszliwie oszpecony... I nie chodzi tylko o jego twarz. Powinien zostać u niej, korzystać z wygod, spać na ciepłych futrach i jeść przy jej stole. Już ona by o to zadbała, żeby choć trochę zdrowego tłuszczu odłożyło się na jego kościach.

On tymczasem, niemal od dnia, w którym Eric przywiózł go do wsi przed pięcioma miesiącami, zaszył się w dzikich górskich ostępach. Mieszkał w grotach, a za jedynego towarzysza miał czarnego konia Starkavina.

Asta przystanęła przed drzwiami i nadstawiła ucha. Nie chciała wkraczać w sam środek kłótni. Jednak w chacie panowała głęboka cisza.

Z westchnieniem ulgi otworzyła drzwi i weszła do ciepłej izby. Płomienie buzowały w piecu, a na stole paliła się lampa.

Na podłodze leżało coś, w czym rozpoznała swój stary wełniany szal. Ale gdzie są młodzi?

Ach!

Ostrożnie, żeby ich nie obudzić, Asta zamknęła drzwi. Zmęczenie minęło, przestało jej też być zimno. Z miną zdecydowanie zbyt łagodną jak na kobietę, która wychowała synów i podłożyła ogień pod żalobną łódź męża, ruszyła wiejską drogą w kierunku, z którego przed chwilą przyszła. Zawsze mogła liczyć na ciepłe łóżko w domu Sif. Albo u Sigrid, gdyby zaszła taka potrzeba...

Rozdział 17

Gdy Brit się obudziła, był jasny dzień. Eric już wstał i zdążył się ubrać, i właśnie chochlą rozlewał gorącą owsiankę na talerze.

Spojrzał w stronę Brit i uśmiechnął się. Cała miniona noc zawierała się w tym uśmiechu, a także w jego przepastnych, mądrych oczach.

Brit miała nadzieję, że się nie zaczerwieniła, jednak policzki zrobiły jej się podejrzanie gorące. Usiadła, odgarnęła włosy z czoła i podciągnęła futra pod brodę, żeby zakryć nagie piersi, co było dość głupie, jeśli się nad tym zastanowić. Przecież Eric i tak zdążył im się dokładnie przyjrzeć.

Jak również pozostałym częściom jej ciała, jeśli już o tym mowa.

- Chodź - odezwał się. - Zjedz coś.

- Uhm... - chrząknęła i od razu pomyślała, że powinna panować nad takimi odgłosami. - Gdzie Asta?

- U Sif.

Skąd on to wiedział? Zresztą, czy to ważne? Pewnie nie. Eric tymczasem odstawił garnek na piec i podszedł do blatu przy głębokim, staroświeckim zlewie.

Ledwie zobaczyła jego plecy, wychyliła się z łóżka, chwyciła kalesony, które w nocy cisnęła na podłogę, i założyła je pod kołdrę.

Kiedy Eric znów się odwrócił, siedziała już na brzegu pościelenia, naciągając skarpety.

- Muszę wyskoczyć na moment - rzuciła.

Eric pokiwał głową, nalał sobie kubek herbaty i usiadł przy stole. Brit wsunęła stopy w drewniaki, pożyczone od Asty, zdjęła szal z haka i wyszła na dwór.

Wróciła po chwili. Podeszła do swojego pościelenia, wyciągnęła z plecaka stanik i założyła go pod osłoną koszuli. Potem włożyła dzinsy i sweter, a na koniec przeciągnęła szczotką po włosach.

Można powiedzieć, że była mniej więcej gotowa na przyjęcie nowego dnia.

Umyła ręce i dosiadła się do Erica. Po śniadaniu sprzątnęli ze stołu i umyli miski, kubki oraz łyżki. Brit odstawiała właśnie drugą miskę na półkę, kiedy poczuła przelotne muśnięcie w szyję.

- W nocy kusicielka, a rano troszkę zdenerwowana, choć udaje, że wcale tak nie jest.

- Och, Ericu... - Brit westchnęła. Odłożyła ściereczkę i położyła mu głowę na ramieniu.

Gdy ją mocno przygarnął, pomyślała, że jest jej naprawdę dobrze. Wtuliła usta w jego ciepłą szyję.

- Co my teraz zrobimy?

Eric odsunął ją lekko i spojrzął na nią z góry.

- Naprawdę chcesz, żebym ci powiedział?

Nie chciała, o czym oboje wiedzieli. Eric ujął jej dłoń i przycisnął do piersi. Pod grubą wełnianą koszulą wyczuła kształt medalionu. A potem wyrzekł jedno słowo:

- Zostań!

Może to szaleństwo, ale prawda wyglądała tak, że to właśnie chciała zrobić. Przez moment miała ochotę mu to wyznać, ale...

- Nie możesz, prawda? - dokończył Eric, jakby czytał w jej myślach. - Wyznaczyłaś sobie pewne zadanie i wykonasz je do końca, bez względu na to, jaki będzie ten koniec.

Zajrzała mu głęboko w oczy.

- Powinieneś być ze mną. Dobrze o tym wiesz. - Eric zamierzał coś powiedzieć, ale położyła mu palec na ustach. - Mniejsza o to. Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja cię rozumiem. Mój brat chce cię mieć przy sobie. A ty go nie opuścisz.

Eric ujął jej rękę i ucałował kolejno każdy palec.

- Nigdy czegoś takiego nie powiedziałem.

- Zostawmy to. Wybaczam ci.

- Czy prosiłem cię o przebaczenie? - zapytał, marszcząc brwi.

- To nieważne. Masz je, tak czy inaczej. - Delikatnie uwolniła rękę. - Mam nadzieję, że będzie cię ono rozgrzewać w długie zimowe noce, kiedy mnie tu nie będzie.

Eric uśmiechnął się.

- Masz ostry języczek. Wolę, kiedy go używasz do pocałunków i pieszczot - oznajmił i nachylił się nad Brit. Uniosła ku niemu twarz i zrobiła to, co tak lubił - pocałowała go. Jej też się to zresztą podobało, i to bardzo.

Z westchnieniem przesunęła dłońmi po szerokim torsie Erica, a potem zarzuciła mu ręce na szyję.

- Powiadomiłem twojego ojca o naszych planach - oświadczył Eric.

Odsunęła się lekko.

- Skontaktowałeś się z nim drogą radiową? - Tak.

- Interesuje mnie to urządzenie. Nie wiedziałam, że wysyłasz mojemu ojcu informacje na bieżąco.

- Gunnolf ma warsztat za domem. Umieściliśmy w środku generator i radio. Pewnie chciałabyś obejrzeć nadajnik?

- Niekoniecznie. Zastanawiałam się po prostu, gdzie go ukryliście. - Cofnęła się. - Chciałabym się też dowiedzieć, jakie nasze plany miałaś na myśli.

- Wyruszamy, jak tylko będziesz gotowa, i pojedziemy konno. Na drugą stronę Gór Czarnych przedostaniemy się przez przełęcz Helmutha.

Przełęcz Helmutha. Intrygująca nazwa.

Orientowała się, gdzie to jest, a przynajmniej widziała to miejsce na mapie. Przełęcz zaczynała się jakieś trzydzieści kilometrów na południowy wschód od wioski i wiła się między górami.

- Szlak jest jeszcze przejezdny - ciągnął Eric. - Dopiero później zasypią go śniegi. Przenocujemy w połowie drogi, wysoko w górach, w myśliwskiej chatce. Po drugiej stronie powinniśmy się znaleźć jutro przed południem. Tam będzie już czekał na ciebie Hauk, który ma ci towarzyszyć przez pozostałą część drogi do Isenhalli. Tak zdecydował twój ojciec.

- A mój pomysł, żeby wysłać mały, wygodny helikopter? Mógłby przecież bez trudu wylądować na pastwiskach za wioską i zabrać mnie do pałacu. W ten sposób najszybciej dotarłabym do Isenhalli.

- Wolałabyś to? - zapytał z powagą.

- Ja tylko mówię, że byłoby to znacznie prostsze.

- Będzie, jak sobie zażyczysz. - Czy jej się wydawało, czy rzucił to zbyt obojętnym tonem? -

Może, wobec tego, zechcesz mi towarzyszyć, kiedy będę wysyłał drugą wiadomość?

Przyjrzała mu się uważnie. Jego niewinna mina wydała jej się mocno podejrzana.

- O co chodzi?

- Pomyślałem sobie, że może chciałabyś zabrać swojego konia. Jeżeli wolisz polecieć helikopterem, obiecuję ci, że Svald będzie tu miała dobrą opiekę.

Jej klacz. Racja. Całkiem o niej zapomniała.

- Eric, czy są jakieś ważne powody, dla których nie możesz mi zdradzić swoich zamiarów?

Teraz on obrzucił ją uważnym spojrzeniem, marszcząc brwi, a w końcu stwierdził:

- Chyba nie... Oczywiście prócz niezmiennego pragnienia, żeby cię chronić, kompletnie niestosownego w tym przypadku. Wybacz. Mam nadzieję, że uda nam się przejść przez góry bez przygód. Jednak powinnaś zdawać sobie sprawę z zagrożenia.

- Masz na myśli niedźwiedzie i dzikie koty, prawda? Nie wolno też zapominać o renegatach, no i... teraz już wszystko rozumiem. Największym zagrożeniem będą niegrzeczni chłopcy z bronią, rzekomi agenci NIB-u.

Eric wzruszył ramionami.

- Sama widzisz.

- Jeżeli wybierzemy drogę lądową, możemy wpaść w zasadzkę.

Pokiwał głową.

- Nawet ty to rozumiesz. Moja propozycja oznacza, że twoje życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Dlatego już nigdy więcej nie chcę słyszeć oskarżeń, że chciałbym cię zamknąć w bezpiecznym kokonie. - Mówił to żartobliwym tonem, bo chciał za wszelką cenę podtrzymać lekki nastrój.

Brit zdawała sobie jednak sprawę z tego, czego Eric głośno nie powiedział: jeśli natkną się na ludzi Jorunda, mogą już nigdy nie mieć okazji do oskarżenia go o cokolwiek.

Trudno formułować oskarżenia, kiedy jest się martwym.

Rozdział 18

Cała rodzina Borghildów przyszła, żeby się z nimi pożegnać. Była Asta, Sif z Gunnolfem, a także Sigrid z Brokkiem seniorem, no i oczywiście wszyscy mali Borghildowie. Wymieniano gorące uściski i serdeczne całusy.

- Błit, włączaj sybko - nakazała mała Mist.

- Na pewno wrócę - przyrzekła Brit, starając się nie słyszeć cichego głosu sumienia, upominającego, że składa obietnicę, nie wiedząc, czy zdoła jej dotrzymać. Podniosła wzrok i spojrzała w zatroskane oczy Asty.

- Nie podoba mi się to - powiedziała Asta. - Droga przez góry jest bardzo niebezpieczna. Poza tym, czy naprawdę musisz wyjeżdżać?

Na to Brit nie miała odpowiedzi, więc tylko wyciągnęła ręce, a Asta, pochrząkując z dezaprobatą,

pozwoliła się po raz drugi uściskać.

- Dzięki za wszystko - wyszeptła jej Brit do ucha.

- Nie ma za co - mruknęła Asta, a gdy Brit ją puściła, sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła chustkę do nosa. - Uhm...

- Przytknęła ją do oczu, po czym starannie wytarła nos. -Uważaj na siebie! Słyszysz, co do ciebie mówię?

- Słyszę, słyszę - zapewniła ją Brit. - Obiecuję ci, że będę na siebie uważać.

Dosiadając konia, czuła na sobie pełne wyrzutu spojrzenie Erica. Ale co innego mogła powiedzieć? Po chwili Eric wskoczył na siodło.

- Ty też bądź ostrożny - napominała go Asta. - Szczęśliwej drogi!

Pojechali bitym gościńcem w kierunku przeciwnym niż ten, z którego przybyli przed dwoma dniami. Brit co chwila odwracała się, by po raz ostatni ogarnąć wzrokiem wioskę i drogich jej sercu przyjaciół. Za każdym razem widziała Borghildów, stojących pośrodku drogi i machających na pożegnanie. Gunnolf wziął małą Mist na barana i figurka dziecka górowała nad resztą.

Zbyt szybko wjechali do lasu. Wioska mistyków, wraz z małą grupką na drodze, zniknęły im z oczu.

Podążali na południe. Do następnej osady dotarli dwie godziny później. Bardzo przypominała wioskę, w której mieszkała Asta: szeroki gościniec, po obu stronach rząd podłużnych drewnianych chat, a za nimi stodoły, stajnie i pastwiska, podchodzące pod las.

Brit przypomniała sobie, że kiedy się ocknęła z gorączki, Asta powiedziała jej, iż ciało przewodnika odesłano do jego rodzinnej wioski, leżącej nieco dalej na południe.

- Czy to właśnie tu mieszka rodzina Rutlanda Gottshilda? - zapytała.

- Nie mamy czasu, żeby się tu zatrzymywać - zauważył Eric.

- Tylko na chwilę, proszę. Chciałabym przekazać im wyrazy współczucia.

- Dobrze, ale się pospiesz.

Podjechali do drugiej z brzegu chaty, po lewej stronie gościńca. Na ich spotkanie wyszła kobieta w średnim wieku. Rude włosy były poprzetykane pasmami siwizny. Brit przedstawiła się i powiedziała, że pragnie złożyć kondolencje. Niestety, tak bardzo im się spieszy, że nie mogą nawet wejść z Erikiem do środka. Wdowa po Rutlandzie, która przedstawiła się jako Trine, pozdrowiła ich zgodnie ze starym gullandryjskim obyczajem, kładąc zaciśniętą dłoń na sercu. To dla niej wielki zaszczyt, powiedziała, iż Jej Wysokość zechciała ją odwiedzić. Powiedziała też, że król dobrze zabezpieczył i ją, i czwórkę jej osieroconych synów, którzy w tej chwili pracują na polu i w lesie. Na koniec nieśmiało dodała, że nigdy nie przestanie opłakiwać męża, lecz jest dumna, że zginął mężną śmiercią, służąc swojemu królowi.

Brit stanęła przed oczyma poblądła twarz Rutlanda i jego trzęsące się ręce, kiedy wsiadali na pokład samolotu.

- Tak - powiedziała wdowie. - Mąż zginął jak bohater. - Następne słowa zaczerpnęła z bajek, których wysłuchiwała jako dziecko, na kolanach matki. - Niech po wsze czasy uczuje w pałacu Odyna.

Kiedy odjeżdżali, wdowa wyszła na gościniec i pomachała im na pożegnanie. Brit obejrzała się za siebie i przypomniała sobie Borghildów. Nagle ogarnęło ją przygnębiające uczucie, że zmiernają ku czemuś groźnemu i straszliwemu, zostawiając za sobą całą życzliwość i dobroć.

Droga wydawała się znacznie łatwiejsza niż ta, która prowadziła nad Drakveden - przynajmniej na początku. Wiodła przez łagodne wzgórza, poprzedzielane płytkimi dolinami. Była też na tyle szeroka, że mogli jechać obok siebie.

Jak na razie los oszczędził im przykrych niespodzianek. Nie zaatakowali ich renegaci. Dzikie

koty i niedźwiedzie chowały się w lasach, z dala od drogi. Jeżeli nawet zdrajca czaił się w pobliżu, to tylko dlatego, żeby patrzeć i czekać na stosowną okazję.

W południe zrobili krótki postój na posiłek złożony z placków i suszonego mięsa. Po kolejnej godzinie znaleźli się u stóp skalistych gór o ośnieżonych szczytach i rozpoczęli mozolną wspinaczkę. Droga zaczęła się stopniowo zwężać, wciśnięta między ściany z czarnego granitu. Eric jechał przodem.

Jechali przeważnie w cieniu, gdyż promienie słońca nie dosięgały dna głębokiego wąwozu. Tylko hen, w górze, widniał wąski pasek błękitu. Wiatr wzmagął się i poświstywał coraz głośniej. Po pewnym czasie niebo zasnuły chmury

Niedobrze. Brit pomyślała, że matka natura jej nie lubi. Ostatnimi czasy zauważyła, że ilekroć musiała udać się gdzieś w ważnych sprawach, następowało załamanie pogody. Naciągnęła na uszy wełnianą opaskę i szczelniej otuliła się kurtką, której, jak zwykle, nie śmiała zapiąć aż do samej góry, by w razie czego móc sięgnąć po broń.

Kierowali się na południe pod osłoną skał, lecz gdy szlak skręcił na północ, wiatr dmuchnął im w twarz. Kamienne ściany utworzyły coś w rodzaju tunelu, przez który wionęło na nich lodowate powietrze. Wkrótce Brit miała zdrętwiałe wargi, a podbródek rozboleł ją z zimna. Dlaczego nie pomyślała o kominiarce?

A potem - oczywiście! - sypnęło śniegiem, który kłuł ją boleśnie w policzki i zbierał się na brwiach i rzęsach. Brit naciągnęła kaptur na głowę i zdrętwiałymi z zimna palcami zawiązała tasiemki pod brodą. Niewiele jej to pomogło, ale przynajmniej śnieg nie dostawał się za kołnierz. Płatki śniegu, coraz większe i cięższe, wirowały wokół, miotane silnym wiatrem. W końcu Brit poddała się i zapięła kurtkę aż po samą szyję. Palce i tak już miała do tego stopnia sztywne i zlodowaciałe, że nie potrafiłaby zrobić użytku z broni.

Niezmordowanie brnęli naprzód pośród śnieżnej zamieci. Czasami zjeżdżali w dół, w głąb kanionu lub skalistego przesmyku, ale na ogół droga wiodła pod górę, ku ołowianym chmurom i strzelającym w niebo groźnym turniom.

W pewnym momencie Brit gotowa była przyznać, że nie jest aż taka wytrzymała, jak jej się wydawało. Wiele razy miała ochotę poprosić Erica o postój, gdyby tylko znaleźli miejsce, w którym mogliby się zatrzymać. Niestety, śnieg tworzył coraz głębsze zasy i naprawdę nie było gdzie się schronić. Gdyby teraz przerwali podróż, pewnie zamarzliby na śmierć.

Dlatego jechali dalej, godzina za godziną. Czasami przestawało padać, wiał tylko lodowaty wiatr, ale już za chwilę wszystko zaczynało się od nowa.

Skostniała i obsypana śniegiem, który ją oślepiał, Brit podciągnęła rękaw kurtki i spojrzała na zegarek. Dochodziła siódma. Pewnie zapadał zmrok, ale trudno było powiedzieć. Chmury były tak ciemne, a skalne ściany takie wysokie, że już od trzeciej po południu odnosiła wrażenie, że to środek nocy.

A potem nagle w samym oku śnieżnej zamieci - bezpieczne schronienie! Za ostrym zakrętem, na kawałku płaskiego terenu obok szlaku, wznosiła się chata z poczerńiałego drewna.

Brit nigdy w życiu nie ucieszyła się tak jak na ten widok. Czy to możliwe, że ze szczytu dachu wystawał komin? To znaczy, że wewnątrz jest palenisko.

Eric poprowadził Brit wokół chaty. Po najbardziej zacisznej stronie, zwróconej ku skalnej ścianie, znajdował się zadaszony ganek o zabudowanych bokach.

Zeskoczyli szybko z siodła na pokrytą śniegiem ziemię i schronili się pod daszkiem.

Eric podał jej wodze.

- Popilnuj koni, a ja tymczasem rozpalę ogień.

-Ogień...

Eric wszedł do chaty i starannie zamknął za sobą drzwi.

Konie parsknęły i potrząsnęły ośnieżonymi grzywami. Kolejna dobra wiadomość: śnieg był suchy i łatwo się obsypywał - czyli mniej roboty dla niej i Erica. Poza tym pod daszkiem było znacznie lepiej niż na zewnątrz, wśród zamieci. Owszem, zimno, ale jeszcze znośnie. Koniom na pewno będzie tu dobrze. Po obu stronach drzwi znajdowały się uchwyty, do których można będzie uwiązać konie.

Drzwi otworzyły się i stanął w nich Eric z zapaloną lampą naftową w ręku. Za nim, pod ścianą, ogień trzaskał już w kominku.

Rozsiodłali konie, wyszczotkowali im boki i nakarmili owsem, który Eric wyniósł z chaty, po czym wnieśli uprząże do środka, gdzie już zrobiło się ciepło. Brit nabrała nadziei, że wkrótce odtaje.

Chata, składająca się z jednej izby, miała dwie pary drzwi: jedne prowadziły na zadaszony ganek, na którym zostawili konie, a drugie na drogę. Dwie pary drzwi i ani jednego okna. W domku, podobnie jak w grocie, w której niedawno nocowali, zgromadzono podstawowe zapasy. Mebli nie było wiele: mały stół i dwa masywne krzesła z oparciem.

Eric wziął jedno i zablokował nim klamkę otwierających się do wewnątrz drzwi od strony drogi.

- To nie powstrzyma napastników - powiedział - ale może nas ostrzeże.

Drugie drzwi, te, przez które weszli, otwierały się na zewnątrz, więc blokowanie ich nie miało sensu. Eric musiał zauważyć spojrzenie Brit, bo powiedział:

- Wątpię, żeby chcieli wejść tymi drzwiami. Spłoszyliby tylko konie, które narobiłyby hałasu.

- Może być i tak, że zaatakują nas z obu stron.

- Wobec tego zastawimy te drzwi stołem.

Zgasił lampę i postawił ją w kącie obok kołder, wiadra, puszek z naftą i worka z paszą. Potem wraz z Brit przewrócili stół na bok i podparli białym drzwiami. Stół, niezbyt duży, nie sięgał framugi, ale zrobili, co mogli. A na koniec rozłożyli posłania przed kominkiem i usiedli, opierając się o siodła, by zjeść plaster suszonego mięsa i owsiane ciasteczka.

- Ćśś - odezwał się po chwili Eric. - Posłuchaj!

Czy usłyszał kroki na śniegu? Brit poczuła zimny dreszcz, pełznący wzdłuż kręgosłupa.

- Nic nie słyszę - odparła szeptem.

Zobaczył jej szeroko otwarte oczy i uśmiechnął się.

- Nie denerwuj się. Chciałem tylko zwrócić ci uwagę, że wiatr się uspokoił. Najgorsze już przeszło i jutro będzie ładny dzień. Gotów jestem też założyć, że warstwa śniegu ma co najwyżej piętnaście centymetrów i szybko stopnieje.

Brit oparła się wygodnie o siodło.

- Jak na razie, ani śladu Jorunda i jego ludzi - stwierdziła z ulgą.

- Tak, ale przed nami długa noc.

Brit zapatrzyła się w płomień tańczący na kominku.

- Podejrzewam, że jeśli są gdzieś w pobliżu, sprowadzi ich dym z komina.

Eric spojrział na nią z kwaśną miną.

- O to właśnie chodziło...

- Miejmy oczy szeroko otwarte i broń pod ręką.

- Dobrze powiedziane. - Eric położył obok siebie strzelbę. - Albo nas zaatakują, albo nie.

Przeżyjemy lub zginiemy.

Zrobiło jej się ciepło, ale nie od ognia. Nareszcie Eric zaakceptował ją jako równorzędną partnerkę, godną walczyć u jego boku. Była w siódmym niebie.

- Bądź gotowa - przestrzegł. Posłała mu wymowne spojrzenie.

- Na pewno będę.

Wtedy wyciągnął rękę, objął ją i przygarnął do siebie. Wargi ich spotkały się w namiętym,

zachłannym pocałunku.

- Chciałbym cię doprowadzić do szaleństwa tej nocy - wyszeptał wprost w jej usta. - I zwiększyć szansę na to, żebyś, zgodnie z przysięgą, musiała mnie poślubić.

- Hm... Znowu powraca temat potomstwa, tak? Eric westchnął.

- Niestety, lepiej się nie rozbierać, gdy za progiem czai się wróg.

- Och, sama nie wiem. To nawet podniecająca wizja.

- Zbyt podniecająca. I zbyt absorbująca. A poza wszystkim, jak by to wyglądało, gdybyśmy się musieli bronić na golasa?

- Coś takiego już ci się przydarzyło, prawda? Eric zaśmiał się cicho.

- W każdym razie nie ostatnio.

- Muszę przyznać, że wołałabym umrzeć w butach.

- To ich nie zdejmuj. Włóż bluzę.

- Pewnie zaraz mi powiesz, żebym przypięła kaburę. Eric pokiwał głową.

- Musisz być gotowa zarówno do obrony, jak i do ucieczki. A to znaczy, że potrzebna ci będzie...

- Wierzchnia odzież, prawda?

- Tak jest.

Brit przypomniała sobie o charakterystycznych symptomach kobiet z rodziny Freyasdahl.

Powinna o tym pomyśleć minionej nocy.

Mówiąc pokrótce, kiedy kobieta z rodziny Freyasdahl zaszła w ciążę, już po dwudziestu czterech godzinach pojawiały się u niej nieomyślne objawy: wymioty, omdlenia, a na koniec czerwona wysypka na piersiach. Brit była przy tym, gdy coś takiego przydarzyło się jej najstarszej siostrze Liv.

Warto też pamiętać, że Liv zaszła w ciążę po jednej szalonej nocy z Finnem Danelaw...

Poczuła na sobie badawczy wzrok Erica. Musiał wyczuć, że coś ją gnębi.

Ach, czemu nie pomyślała o tym, kiedy się kochali?

Swoją drogą, skąd mogła wiedzieć, że już następnego wieczoru utkną w przełęczy Helmutha i będą czekać na atak bandy zdrajców?

Wolała jednak nie mówić o tym Ericowi. Już i tak mieli zbyt wiele zmartwień.

Gdyby jednak wystąpiły u niej owe objawy, mogłoby się to okazać bardzo niewygodne. Eric powinien być przygotowany na to, że może zacząć mdleć i wymiotować w samym środku walki o życie.

- Uhm... - zaczęła.

Obrzucił ją uważnym spojrzeniem.

- Obawiam się, że nie brzmi to zbyt zachęcająco - stwierdził.

- No więc... - W kilku zdaniach wyjaśniła mu, w czym rzecz, i nieśmiało dodała: - Uznałam, że powinieneś wiedzieć.

Eric podniósł do ust jej rękę.

- Nie kłopotz się.

- Łatwo powiedzieć.

- Przecież to mało prawdopodobne.

Miał rację, więc uznała temat za zamknięty.

- Eric...

- Tak, moje kochanie?

- Jak myślisz, ilu ich będzie?

- To zależy od tego, jak wysoko oceniają swoje szanse. Jeżeli przyjdą tu wyćwiczeni zawodowi mordercy, wystarczy jeden czy dwóch, żeby się wślizgnąć do chaty i poderżnąć nam gardła. Może też być ich kilku, jeśli będą to ci sami ludzie, którzy pilnowali samolotu.

- A co z moim przyjacielem, agentem Sorensonem?
- Ach, rzeczywiście. On pewnie też się pojawi. Przyjadą konno i może zostawią jednego człowieka do pilnowania koni. A jednego czy dwóch mogą postawić na straży na zewnątrz.
- Z tego, co mówisz, wynika, że nie masz pojęcia, ilu ich będzie.
- To właśnie chcę powiedzieć.
- Chyba postradaliśmy rozum, żeby się na coś takiego porywać.
- Och tak. Ponad wszelką wątpliwość.

Wkrótce po północy Eric zaproponował Brit, żeby się trochę zdrzemnęła.

Świetny pomysł z tą drzemką. Grunt, żeby była wypoczęta i świeża, kiedy przyjdą mordercy.

-A ty?

- Później się prześpię. Kiedy cię obudzę, przejmiesz wartę.
- Dobrze.
- No to śpij.
- Muszę cię o coś zapytać... W razie czego mamy wsparcie, prawda?
- Mamy - odparł z szerokim uśmiechem.
- Chyba nie muszę pytać, o kogo chodzi? Eric popatrzył na nią ciepło i powtórzył cicho:
- Śpij.

Co jej pozostawało? Oparła się wygodniej o siodło i zamknęła oczy.

To nie do wiary, ale musiała rzeczywiście zasnąć, bo następne, co dotarło do jej świadomości, to dotyk ręki Erica na ramieniu.

- Już są...

Coś trzasnęło - krzesło przy drzwiach.

Brit poderwała się i sięgnęła po broń.

Eric odwrócił się i wycelował strzelbę w drzwi. Pierwszy strzał, ogłuszający w tak ciasnej przestrzeni, padł, gdy krzesło ustąpiło i drzwi otworzyły się do środka.

Mężczyzna w kominiarce wpadł do izby i osunął się bezwładnie na podłogę. Za nim pojawił się następny. Eric znów wystrzelił. Napastnik runął do tyłu, za próg, i zniknął w głębokich ciemnościach.

Zapadła cisza - martwa i przerażająca.

A potem od strony drugich drzwi dobiegł ich głos:

- Rzućcie broń!

Rozdział 19

Było ich dwóch - jeden ze strzelbą, a drugi z automatycznym pistoletem. Wykorzystali chwilę zamętu podczas frontalnego ataku, aby otworzyć tylne drzwi i zająć pozycje. Stół, zdecydowanie za mały, nadal tkwił tam, gdzie Brit ustawiła go z Erikiem. Zasłaniał teraz aż do piersi napastników, którzy, podobnie jak leżący nieruchomo w progu mężczyzna i ten drugi, na dworze, mieli na głowach kominiarki.

- Rzućcie broń na podłogę. No już!

Eric dał wzrokiem Brit ledwie dostrzegalny znak. Pochylili się wolno i położyli broń na podłodze.

- Teraz wstać! Ręce do góry!

Posłuchali. Brit serce waliło tak mocno, jakby chciało jej wyskoczyć z piersi. Pomyślała z żalem, że nie zdążyła oddać ani jednego strzału. Nie miała też na tyle rozumu, by pilnować drugiego wejścia. Wszystko stało się za szybko. Następnym razem - o ile w ogóle będzie następny raz - postara się być bardziej przewidująca.

Jedno co dobre, to że nie zemdląca i nie zaczęła wymiotować. Czują wprawdzie przykry skurcz

żołądka, ale nie miało to nic wspólnego z symptomami Freyasdahlówien. Sprawcą był niemal zwierzęcy strach.

Była to jej pierwsza bitwa z użyciem broni palnej. Niestety, nie popisała się. Dobre choć to, że i ona, i Eric wciąż oddychają. Spojrzała na nieruchome ciało w progu i poczuła lekkie wyrzuty sumienia. Bo przecież cieszyła ją myśl, że człowiek ten najprawdopodobniej nie żyje.

- Można już spokojnie wejść - odezwał się mężczyzna, który trzymał ich na muszce. W tej samej chwili jego kompan, leżący w drzwiach, uniósł się z głośnym jękiem. A jednak nie umarł, choć, szczerze mówiąc, nie wyglądał zbyt zdrowo. Twarz miał sinawą i krwawą dziurę na wysokości pasa. To była rana postrzałowa! Brit, która obejrzała w swoim życiu wiele filmów akcji, zdawała sobie sprawę, że postrzał w brzuch to nie przelewki.

Ranny zachwiał się, a potem runął z jękiem na wznak, znikając za progiem.

Z ciemności wyłonił się kolejny napastnik - na oko metr siedemdziesiąt kilka, za to solidnej postury. Wszedł do izby przez szeroko otwarte drzwi, ustawił się naprzeciwko Erica i wycelował w niego pistolet. Następny, znacznie wyższy, lecz szczuplejszy, wkroczył za nim i zajął pozycję naprzeciw Brit. Obaj, podobnie jak ich kamraci pilnujący drzwi, byli uzbrojeni.

Czterech napastników w wojskowych butach, maskujących kombinezonach i nasuniętych na twarze kominiarkach. Cztery lufy wycelowane w Erica i Brit. Pomyślała, że jej serce nigdy nie przestanie walić jak szalone.

Ten niższy, przysadzisty, którego z miejsca rozpoznała po sylwetce i pewnych, zamaszystych ruchach, ściągnął kominiarkę, odsłaniając krótko ostrzyżoną głowę.

Twarda sztuka, pomyślała, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła. Sprawny i bezlitosny, za to z ujmującym uśmiechem. Wiele tygodni temu (tygodni? miała wrażenie, że minęły całe wieki) siedziała z nim przy stoliku w Diablim Dołku - zacisznym pubie w pobliżu siedziby NIB-u, do którego tak lubili zaglądać agenci. Ze szklanką słodkiego piwa w ręku przedstawiała mu swoje teorie co do losów Valbranda, zachwycona własną mądrością, która kazała jej utrzymywać z kimś takim kontakty.

- Witaj, Jorund!

Agent do spraw specjalnych Jorund Sorenson uśmiechnął się czarująco, odsłaniając równe białe zęby.

- Wasza Wysokość, co za miłe spotkanie, choć jest to pewnie przyjemność czysto jednostronna. Niestety, to wyłącznie pani wina. Trzeba było sprzątnąć Hansa, kiedy trafiła wam się okazja. - Stojący obok niego mężczyzna zdarł z głowy kominiarkę i rzucił ją na ziemię. Okazało się, że to Hans Borger.

Hans się nie uśmiechał. Trzymał Brit na celowniku i czekał na komendę, kiedy odstrzelić jej głowę. Brit miała wrażenie, że komenda ta padnie już wkrótce.

Jednak Jorund miał jej więcej do powiedzenia.

- Na szczęście dla mnie, ma pani, księżniczko, zdecydowanie zbyt miękkie serce. Przecież to pani darowała Hansowi życie. A on, kiedy już przestał pleść te swoje bzdury o zmartwychwstałej legendzie, przypomniał sobie, że widziała go pani, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy się w moim biurze. W ten sposób zostałem, jak by to powiedzieć, rozpracowany. Co musiało oznaczać, że lada moment królewscy żołnierze zapukają do moich drzwi. Wniosek był jeden: muszę panią znaleźć, zanim zdąży pani porozmawiać z ojcem. - Jorund zaśmiał się z nieukrywaną satysfakcją. Wyglądało na to, że świetnie się bawi.

„Zmartwychwstała legenda?” Brit domyśliła się, że chodzi o Czarnego Rycerza. Widocznie Valbrand złożył mu wizytę po ich odjeździe.

Potem Jorund skierował zimne spojrzenie na Erica i cmokając, pokręcił głową.

- Komunikaty przesyłane drogą radiową? Tak łatwo je przechwycić. - Machnął w stronę dwóch

zamaskowanych agentów przy tylnych drzwiach. - Już my się wszystkim zajmimy. Wy stańcie lepiej na straży.

Mężczyźni opuścili broń i zniknęli w ciemności.

Brit modliła się w duchu, by wsparcie, które obiecał jej Eric, nadeszło odpowiednio szybko. Na razie postanowiła zaryzykować.

- Dla kogo pracujesz, Jorund?

Musiała go rozśmieszyć, bo cicho parsknął.

- Wasza Wysokość zawsze zadawała za dużo pytań. Jaki jest sens pytać teraz, w godzinie śmierci?

- Tak się tylko zastanawiałam.

Jorund przekrzywił głowę, jakby się namyślał.

- Chociaż... Czemu nie? Jedno słówko czy dwa, zanim Hans skończy z tobą i księciem Greyfellem. To zbyt piękne, za dużo szczęścia naraz: pozbyć się za jednym zamachem waszej niewygodnej dwójki. Bo razem, o czym może nawet nie wiecie, stanowicie poważne zagrożenie dla planów pewnej grupy. Gdybyście przeżyli i nie daj Boże wzięli ślub, jednocząc dwa rody... - Potrząsnął głową. - To byłaby klęska. Obecny tu książę Greyfell z całą pewnością zostałby następnym królem.

Brit wzruszyła ramionami. Gest ten miał wyrażać obojętność i lekceważenie. Nikt by się nie domyślił, że ze strachu miała skurczony żołądek i galopujące tętno. Nie wolno jej tylko patrzeć na Erica i dopuszczać do siebie myśli, że za kilka minut może być martwy. Może jej się to uda, jeśli będzie omijać go wzrokiem.

- No tak, jeżeli umrzemy, nie będziemy mogli się pobrać. Jorund znów się zaśmiał.

- Wasza Wysokość, chylę czoło przed pani inteligencją i zdolnością dedukcji. Trafione w dziesiątkę.

- A ci ważni ludzie, o których mówiłeś, czy chcą przejąć władzę?

Jorund głośno cmoknął.

- Ktoś musi przecież przejąć władzę, gdy przyjdzie czas na kolejną elekcję. Niestety, obaj książęta Thorsonowie nie żyją, a pojutrze nie będzie już żadnego Greyfella, który mógłby pretendować do tronu. Tym bardziej ktoś będzie nam potrzebny. Elekcja może mieć miejsce w każdej chwili. Można nawet powiedzieć, że prędzej, niż wam się wydaje.

- Chcecie zabić mojego ojca?

- Nie martw się, księżniczko. Jeszcze nie od razu. Niech najpierw trochę pocierpi, opłakując kolejne dziecko. Jakie to smutne...

- A Valbrand? - zapytała. - To też wasza sprawka? Jorund westchnął obłudnie.

- Co za nieszczęście. Biedak zaginął na morzu. A wy z Greyfellem zaginięcie w górach, przy próbie przejścia przez przełęcz Helmutha. - Dał znak Hansowi, który wycelował broń w Brit. - Gotowy?

- Tak jest - huknął Hans, z palcem na spuście. Brit pomyślała, że strzał z tak bliskiej odległości zostawi jej olbrzymią dziurę w piersi.

Co za ironia losu! Stało się dokładnie tak, jak przewidywał Eric. Oszczędziła życie agenta, żeby ten ją później zabił.

- Obawiam się, księżniczko, że pora się pożegnać.

Coś głucho uderzyło o północną ścianę chaty. Jorund i Hans jak na komendę odwrócili głowy.

Wystarczył ten jeden moment nieuwagi, by Eric zaatakował Jorunda, a Brit Hansa.

W następnej chwili rozpętała się strzelanina. Kule odbijały się rykoszetem od kamiennej obudowy kominka. Brit udało się wytrącić Hansowi z ręki karabin. Puścił go i rzucił się na nią.

Brit wprawdzie wzięła kilka lekcji samoobrony, ale Hans był wyższy, cięższy i świetnie

wyszkolony. W walce wręcz nie miała z nim żadnych szans. Spróbowała kopnąć go w czułe miejsce, ale i na to był przygotowany. Cofnął się, chwytając ją jednocześnie za nogę, a kiedy upadła, przygniótł ją swoim ciężarem do ziemi i zdzielił pięścią w szczękę.

Zobaczyła gwiazdy przed oczyma. Hans uderzył ją po raz drugi. Zaczęło jej się dwoić w oczach. Widziała dwóch Hansów i zbliżające się dwie prawe pięści. Wtedy zrozumiała, że już po niej. I nagle huk, jakby świat rozpadał się na kawałki.

Na czole Hansa pojawiła się czerwona dziura. Brocząc krwią, opadł na Brit, twarzą w dół, tuż ponad jej uszkodzonym ramieniem i o kilka centymetrów obok jej głowy. Kiedy spojrzała w górę, zobaczyła nad sobą Erica z jej pistoletem w ręku.

Zamrugła, bo wciąż widziała podwójnie, a za Ericem dostrzegła...

Tak, to był Valbrand, bez maski Czarnego Rycerza! W progu zamajaczyła jego biedna zniekształcona z jednej strony twarz - dokładnie taka, jak ją zapamiętała. On także miał broń. Trzymał Jorunda od tyłu za szyję, i przytykając mu pistolet do głowy, wycofywał się wraz z nim na zewnątrz.

- Brit! - Eric osunął się na kolana i zepchnął z niej bezwładne zwłoki. Wciąż była oszołomiona i nagle usłyszała cichy szum. Uniosła głowę i wytrzeszczyła oczy.

Co to takiego?

Czy ją wzrok mylił, czy ogień wylewał się kominka i płynął szeroką wstęgą po podłodze? Jak to możliwe?

- Chodźmy stąd! - Eric pociągnął ją za rękę i pomógł wstać.

Zachwiała się na nogach, świat zawirował wokół, a płomienie. ..

Płomienie lizały stare deski podłogi, podpełzając coraz bliżej. Dym wypełnił jej płuca. Rozkaszała się, a wtedy Eric otoczył ją ramieniem i niemal wywłókł przez otwarte drzwi.

Potknęli się o próg. Byłaby upadła, ale Eric ją podtrzymał i pociągnął w ciemność, byle dalej od płomieni, na zasypaną śniegiem drogę.

Nareszcie była bezpieczna. Wciągnęła do płuc haust rześkiego nocnego powietrza. Silne ramię Erica nie pozwalało jej upaść. Przyłgnęła do niego kurczowo i oboje patrzyli, jak ogień pochłania chatę.

Zawroty głowy zaczęły z wolna ustępować.

- Ten ogień... jak to się stało? - spytała Erica.

- Lampa naftowa. Przewróciłem ją, kiedy walczyłem z Sorensonem.

-A Hans...- Nie żyje - odparł z ponurą satysfakcją. - Nie waż się mnie prosić, żebym wszedł do środka i wyciągnął jego ciało na wypadek, gdyby jednak nie umarł.

- Nie będę, na pewno. - Brit przytuliła się do Erica i spróbowała ogarnąć myślą to, co się wydarzyło. A potem zwróciła wzrok w stronę pustych drzwi, za którymi szalały krwiste płomienie. - A ci dwaj, których zastrześliłeś, kiedy wpadli do chaty?

Męski głos za jej plecami odpowiedział:

- Są ranni, ale żywi. Jeden może nawet przeżyje. Drugi dostał w brzuch, więc raczej nie.

Eric puścił Brit. Zachwiała się, a potem powoli wyprostowała. Serce waliło jej jak młotem. Wiedziała, czyj to głos, choć słyszała go tylko raz, kiedy była chora.

- Valbrand!

Brat skinął głową.

Z okrzykiem radości zrobiła krok w przód, a potem drugi.

Valbrand wyciągnął ramiona.

Rozdział 20

Chata płonęła, ogień strzelał w niebo. Valbrand poprowadził Brit i Erica do miejsca, gdzie

czekali na nich z końmi Gunnolf, Brokk senior oraz dwaj inni mężczyźni z wioski Asty. Na śniegu, u ich stóp, leżeli rzędem związani zdrajcy, a wśród nich Jorund.

- Dobrze, że udało nam się to załatwić tej nocy - oznajmił z dumą Gunnolf. Klacz Brit zarżała radośnie, potrząsając lśniąca grzywą, jakby się z nim zgadzała.

Brit odwróciła się do brata. - I co dalej?

Odpowiedział uśmiechem - szpetnym, a zarazem najpiękniejszym, jaki widziała.

- O świcie pojedziemy wszyscy na południe. Trzeba postawić zdrajców przed sądem i ratować nasz kraj.

To właśnie chciała usłyszeć. Temu poświęciła wszystkie swoje siły. W imię tego omal nie zginęła.

Pozostawała jeszcze jedna sprawa, którą należało załatwić tej nocy.

Odwróciła się do Erica.

- Moglibyśmy pomówić w cztery oczy?

Zostawili na chwilę resztę towarzystwa i trzymając się za ręce, odeszli w stronę płonącej chaty, by stanąć na wprost zięjącego prostokąta otwartych drzwi. Patrzyli na żarłoczne płomienie, na snopy iskier, strzelające w niebo i zmieniające się w popiół.

Eric otoczył Brit ramieniem.

- Noc wydaje się czarna jak smoła, ale świt przyjdzie w mgnieniu oka dobrego Odyńa.

Odwróciła się ku niemu, objęła w pasie i z błogim westchnieniem oparła mu głowę na piersi. Było jej tak dobrze, jak nigdzie na tym świecie.

- Och, Ericu, chciałam tylko odszukać brata, a znalazłam po stokroć więcej...

Eric dotknął delikatnie jej policzka. Syknęła cicho. Twarz miała obolałą od ciosów Hansa.

- Masz krew na brwiach, na rzesach i na policzkach. A jutro będziesz cała w sińcach. Mimo to jesteś jak zwykle bardzo piękna.

- Ojciec dostanie szału, kiedy mnie zobaczy.

- Krew można zmyć, a sińce i zadrapania się zagoją.

- Lepiej, żeby tak było, bo chcę ładnie wyglądać, kiedy będę ci wręczać mój weselny miecz.

- Czy to mogłoby oznaczać... ?

- O tak, jak najbardziej!

- A ponieważ ani nie było ci niedobrze, ani nie zemdlałaś...

- Szczerze mówiąc, niewiele brakowało. Przynajmniej wtedy, kiedy sądziłam, że już po nas. A także potem, kiedy Hans zaczął mnie okładać pięściami. Ale przyczyną był tylko strach i kilka prawych sierpowych.

- Czyli nie nosisz mojego dziecka?

- Nie, jeżeli jestem taka sama jak reszta kobiet z mojej rodziny. To jednak nie ma najmniejszego znaczenia. Nie chcę wychodzić za ciebie tylko dlatego, że jestem w ciąży. Ani dlatego, że było nam to pisane czy że byłoby to druzgocącym ciosem dla wroga, którego jak dotąd nie udało nam się odkryć. Zamierzam wyjść za ciebie, bo... - Urwała i westchnęła. Gdzie się podziały słowa?

Eric czekał cierpliwie.

- Bo cię kocham. Jesteś mężczyzną, na którego czekałam nawet wtedy, gdy nie zdawałam sobie sprawy, że na kogokolwiek czekam.

- Tak jak ja czekałem tylko na ciebie.

Pochylił głowę, a ona uniosła ku niemu usta. Ich pocałunek był długi i słodki. Odsunęli się od siebie jedynie po to, by Eric mógł zdjąć z szyi medalion i przekazać go narzeczonej.

- Teraz i zawsze - powiedział.

- I na wieki wieków - dokończyła szeptem.

Wtedy wygładził srebrny łańcuch i umieścił medalion tam, gdzie było jego miejsce, czyli na jej

sercu.

Odwrócili się do ognia w chwili, gdy chata zapadła się z głośnym trzaskiem. W niebo wystrzeliła fontanna iskier, by gasnąć, wylądować na topniejącym śniegu. Żarłoczne płomienie wzbity się w górę, w momencie złudnego triumfu, a po chwili z cichym sykiem, przypominającym westchnienie rezygnacji, zamieniły się w kupkę popiołów.

Na wschodzie, nad postrzępioną granią gór, blada poświata zwiastowała nadejście nowego dnia.